tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 40 (1395)
28.09-4.10.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Obajtek – szejk z Pcimia i przekręt stulecia

Nowa wojna o historię w szkole
Mniej Bieruta, więcej „Inki"

Krzysztof Pilawski
AfD idzie po władzę. Koniec dominacji CDU?

Agnieszka Smoczyńska
AI: pomoc czy kontrola

Oblężenie kierunków medycznych
Obietnice bez pokrycia
Masowa produkcja dyplomów

KTO NAS BĘDZIE LECZYŁ?



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Zamów prenumeratę

PRZEGLĄDU

InPost Paczkomat 24/7

Darmowa dostawa do paczkomatu już w PONIEDZIAŁEK



sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Z siekierą na sędziów

Gdy powołano Polską Fundację Narodową, byli ludzie, którzy wierzyli, że nawet PiS może zrobić coś sensownego. Bo przecież u nas nadzieja umiera ostatnia. Ta wiara nie powinna jednak dotyczyć partii, która przez osiem lat pokazała, że do czegokolwiek się weźmie, zajęcie ma prokuratura. Nie bez powodu ekipa Ziobry i Święczkowskiego z taką determinacją budowała równoległą prokuraturę. Masowo awansowano ludzi, którzy dawali rękojmię wierności. Wiedzieli, co zrobić, bez względu na fakty. Tak też było w przypadku kampanii „Sprawiedliwe Sądy" wymyślonej i zrealizowanej przez duet Anna P. i Piotr M. Z budżetu Polskiej Fundacji Narodowej, na który składały się spółki skarbu państwa. Było więc co wydawać. I wydawano. Na wspieranie partyjnych projektów i przejmowanie kolejnych obszarów władzy.

Wraz z zagarnianiem prokuratury rozpoczęła się niezwykle agresywna kampania ekipy Ziobry wymierzona w sądy i sędziów. Za pieniądze z fundacji wynajęto firmę marketingową Solvere. I ruszyła jedna z najbardziej upiornych kampanii propagandowych w historii. Realizowana za pomocą siekiery. Pokazująca na ogromnych bilbordach, co z sądownictwem mieli zamiar zrobić Kaczyński i Ziobro. Czarne płachty z krzyczącymi białymi bredniami są dziś dowodem na bezpośrednie relacje partii z wykonawcami kampanii. PiS, a zwłaszcza Ziobro potrzebowali specjalistów od brudnej roboty. Nie musieli długo szukać. Anna P. i Piotr M. pracowali wcześniej dla rządu Szydło i robili kampanie partyjne. Zwycięskie. I to było atutem przy wyborze wykonawców kolejnych kampanii. Aż do tej, którą robili Nawrockiemu w wyborach prezydenckich.

Czy tak pożytecznych ludzi można zostawić bez kasy? Nawet jeśli biedni nie są, bo tylko za walkę z sędziami zarobili ponad 1 mln zł. Po ich zatrzymaniu przez CBA politycy PiS prześcigali się w dowalaniu rządowi. Szczególnie były wicepremier Sasin, promotor Piesiewicza i twórca doktryny, że gdy on rządzi, spółki skarbu państwa mają być na gwizdek i płacić za najgłupsze pomysły jego partii. Bo przecież Sasin chciał, by Polska stała się „uczciwym krajem, o pewnych standardach". Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby dalej mógł te swoje standardy wprowadzać. Jego zasady to tłuste posadki dla Anny P. w NBP, PZU i Pekao SA. Dziś jest zatrudniona jako dyrektor w Kancelarii Prezydenta RP. I to akurat mnie nie dziwi. Ta kancelaria stała się przytuliskiem dla tak szemranych postaci jak choćby Adam Andruszkiewicz, zastępca szefa kancelarii i organizator zlotu młodzieży w Jastarni. Człowiek, którego oskarżała nawet prokuratura Ziobry. Ale co się odwlecze…

BĄKOWSKI



eprasa.pl e6ffbd3fc1

W NUMERZE

KRAJ

8 Fort Trump – to brzmi służalczo
Fetysz polskich polityków

10 Kto nas będzie leczył?
Po co mnożyć kierunki medyczne

14 Szejk z Pcimia i przekręt stulecia
Zabawa w biznes za 1,5 mld zł Orlenu

17 Czy historii da się sensownie uczyć?
Nowa podstawa programowa

21 Kto zarabia na jabłkach, gdy sadownicy tracą
Trzeba powołać bank rolny

53 Chemia z Cieszyna
Sukces inż. Józefa Ziętka

ZAGRANICA

24 Wiatr od Wschodu
Pasmo sukcesów AfD

28 Liberalna Francja chroni swoich urzędników
Korespondencja z Francji

30 „Fauda" kontra „Naza"
Dwie wizje konfliktu izraelsko-palestyńskiego

33 Cicha katastrofa
Dlaczego lekceważymy zmiany klimatu

OPINIE

36 Stankomir Nicieja
Miękka siła Chin

40 Antonio Scurati
Jak Duce uwiódł Włochy

KULTURA

44 Dyktatura sztucznej inteligencji
– rozmowa z Agnieszką Smoczyńską

47 Qulturalia

66 „Nieustające wakacje" Rafała Ereta

SPORT

48 Znów zstąpił Duch Puszczy
Alkoafera w PZPN

PSYCHOLOGIA

50 Nie bójmy się kryzysów, bo one prędzej czy później do nas przyjdą
– rozmowa z Robertem Kowalczykiem i Katarzyną Waszyńską

OBSERWACJE

54 Czerwone złoto Morza Śródziemnego
Walka z przemytem koralowców

56 O biedzie w górach różne są opinie
Na Głównym Szlaku Sudeckim

60 Grand Press Photo 2026
„Credo" Jacentego Dędka

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Z siekierą na sędziów

7 Jerzy Bralczyk
Ja

27 Andrzej Romanowski
Tryptyk warmiński I. Jesienna Warmia

39 Roman Kurkiewicz
Tam berlingowcy, tu korowcy

43 Tomasz Jastrun
Ślimak i „Lalka"

59 Wojciech Kuczok
Paszport zbrojny



21
KRAJ

KTO ZARABIA NA JABŁKACH, GDY SADOWNICY TRACĄ

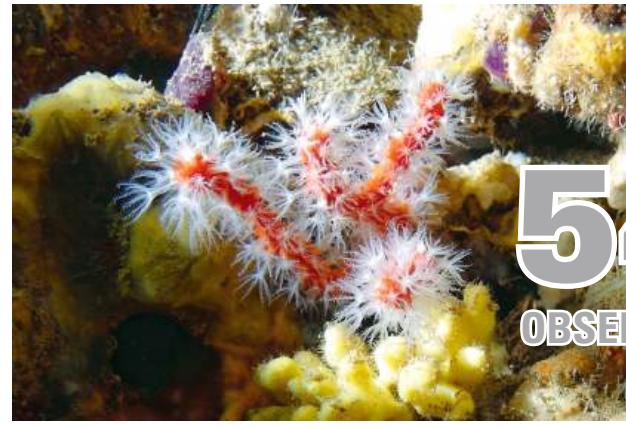
Trzeba powołać bank rolny

44
KULTURA

DYKTATURA SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

– rozmowa z Agnieszką Smoczyńską





54
OBSERWACJE

CZERWONE ZŁOTO MORZA ŚRÓDZIEMNEGO

Walka z przemytem koralowców

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



eprasa.pl e6ffbd3fc1

Fundusz Kościelny a finansowanie partii

Kiedy oburzamy się na istnienie Funduszu Kościelnego, nasuwa mi się nieodparcie analogia do istnienia i ciągłego wzrostu funduszu na utrzymanie partii politycznych. Zarówno partie, jak i Kościół wykorzystują ten sam model finansowania. Partie mają raczej symboliczne przychody ze składek członków, do tego dochodzi finansowanie z budżetu państwa. Kościół ma przychody z tacy od malejącej (i to zdrowy objaw) liczby wyznawców plus Fundusz Kościelny. Też z budżetu państwa. Co ciekawe, w obu przypadkach współfinansującymi są w większości przeciwnicy tych organizacji. Lekarstwo na tę patologię jest jedno: ustawa zakazująca finansowania przez budżet państwa organizacji religijnych i partii politycznych. Ale kruk krukowi oka nie wykole.

Ryszard Jankowski

Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

Felieton prof. Andrzeja Szahaja na temat ochrony zdrowia jest rzeczowy i celny. Niestety, muszę się zgodzić z autorem, że nie należy liczyć na większe zmiany w tej dziedzinie. Największą przeszkodą jest fakt, że zbyt wiele osób jest zainteresowanych utrzymaniem obecnego stanu rzeczy. Władza też nie chce zmian. A przecież można by skorzystać ze wzorów z innych krajów, np. Niemiec.


Andrzej Szahaj
Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

Nie przypisuję jednak źródła obecnej sytuacji wolnorynkowym poglądom rządzących, raczej zwykłemu złodziejstwu. Media przytaczają przykłady pojedynczych lekarzy, którzy w złodziejski sposób zarabiają miliony. Bo jak inaczej nazwać fikcyjną pracę w kilku miejscach jednocześnie i kilkaset godzin w miesiącu? A problem wynika z tego, że kiedyś uchwalono przepisy, które umożliwiają to złodziejstwo. Stworzono – zapewne celowo – złodziejski system. Bez protestów jakiejkolwiek partii i jej przywódców. Jakoś nie wspomina się o autorach tych przepisów ani celu ich wprowadzenia – więc część lekarzy z nich korzysta. A kto zatwierdzał należność za lewe dyżury i lewe godziny pracy w kilku miejscach jednocześnie? I o tym cicho. Lekarze zaś już protestują przeciw ujawnianiu ich dochodów. Dlaczego jawne mogą być dochody nauczycieli, policjantów, żołnierzy, a lekarzy nie?

A. Arski

Tabletki wielkiego ryzyka


TABLETKI
WIELKIEGO RYZYKA
CIEMNA STRONA RYNKU SUPLEMENTÓW DIETY

To zadziwiające, że w tak ważnej sprawie jak rynek suplementów milczy pewna grupa społeczeństwa, ta która zawzięcie walczy ze szczepieniami. A przecież jak na dłoni widać olbrzymie zyski tzw. Big Pharmy kosztem zdrowia ludzi. Prawdopodobnie niemała część antyszczepionkowców, przekonanych o swojej omnipotencji, zamiast kontaktu z lekarzem specjalistą wybiera samoleczenie za pomocą suplementów diety, preparatów homeopatycznych, doradztwa astrologa albo szeptuchy. Od biedy, w trudniejszych do zdiagnozowania przypadkach, pójdą na biorezonans. A co na to wszystko politycy? Skąd u nich taka niemoc? Sprzęt wojskowy przecież kupią, idąc po trupach.

Michał Błaszczak

Bronię Rosjan


Andrzej Bonarowski
Bronię Rosjan

Zawsze należy szanować tłumacza i jego pracę, budowanie przez niego mostów, ale w obecnych okolicznościach szczególnie należy docenić Rosjan tłumaczących polskie teksty. Nie dostaną żadnej nagrody od swoich władz, a mogą się narazić na nieprzyjemności, jeśli nie coś gorszego. Więc tak! Szanować i wspierać myślących ludzi, w tym braci Rosjan.

Katarzyna Mroczkowska-Brand

ZDJĘCIE TYGODNIA



Protest przeciw polityce Beniamina Netanjahu w dniu wystąpienia izraelskiego premiera na 81. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku, 24 września 2026 r.

FOT. WALEED ZEIN/ANADOLU/AFP

eprasa.pl e6ffbd3fc1

77,1% Polaków nie wierzy, że wojna w Ukrainie przeniesie się na terytorium Polski (sondaż **IBRiS dla „Rzeczpospolitej"**).

•

Pentagon jest drugim największym pracodawcą na świecie. Zatrudnia ok. 2,91 mln cywilów i wojskowych.

•

50 lat temu, 22 września 1976 r., po protestach w Radomiu zawiązał się **Komitet Obrony Robotników**. Byli w nim m.in. Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski, Adam Michnik, Aniela Steinsbergowa, Edward Lipiński i Stanisław Barańczak.

•

Trwa proces przywracania emerytur i rent zmniejszonych ustawą dekomunizacyjną z 2016 r. Od grudnia 2023 r. MSWiA wydało ponad 2,7 tys. takich decyzji na prawie 436 mln zł. Łącznie w wyniku prawomocnych wyroków sądowych wypłacono niemal 2,6 mld zł.

•

Julia Przyłębska, była prezes Trybunału Konstytucyjnego, według Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka w latach 2015-2020 wpływała na zmiany składu sędziowskiego. Dotyczy to 885 spraw, z czego w co najmniej 176 z naruszeniem prawa.

•

W 2025 r. zawarto tylko **133 tys. małżeństw**. Najmniej od zakończenia wojny. Do 69,4 tys. wzrosła za to liczba umów majątkowych, tzw. intercyz.

•

W 2025 r. lekko spadło w Polsce spożycie alkoholu: piwa (z 85,9 do 81,7 litra), wina (z 5,4 do 4,9 litra) i alkoholi spirytusowych (z 3,4 do 3,2 litra).

•

Najmniej zaludnione są: Warmińsko-Mazurskie (55 mieszkańców na 1 km kw.), Podlaskie (56) i Lubuskie (69).

PRZEBŁYSKI

Obrońca Librusa



Zaskoczymy was. Coraz częściej z Nawrockim jest jak z kurą. Kurą, która grzebie. A jak grzebie, to coś zostanie wygrzebane. Tygodnik „Nie" sprawdził, co mogło kierować Nawrockim, gdy kompletnie bez sensu zawetował ustawę umożliwiającą pilotaż państwowego bezpłatnego e-dziennika. Kto na tym wecie zarobił? Ten ktoś to PCG Polska, która jest częścią Public Consulting Group z Bostonu. Czyli właściciele Librusa. Tego samego, z którego korzystają miliony polskich uczniów, rodziców i nauczycieli. Oczywiście nie za darmo. Czy przyjaźń Nawrockiego z Amerykanami musi nas tyle kosztować?

Moskal i nic nie jest jasne

Nazywa się Moskal. Ma 32 lata. Jest posłem PiS i ulubieńcem Kaczyńskiego. Był nawet szefem jego gabinetu politycznego. I największym numerantem. Pamiętamy jego zaręczyny. Zjechał 960 m w dół w kopalni Bogdanka, by wręczyć swojej dziewczynie pierścionek. Załatwił mu to wiceprezes Kasjan Wyligała, który na tę fetę zamknął część kopalni. Opłaciło mu się. Szybko został prezesem Bogdanki.

Moskal jest tak zabiegany, że zapomniał nawet, ile ma mieszkań. W oświadczeniu majątkowym w 2025 r. podał, że ma dom o powierzchni 110 m kw. i wartości 764 tys. zł. Wypadło mu z głowy, że ma też mieszkanie o wartości 720 tys. zł. Przypomniało mu o tym CBA. W sierpniu ub.r. był z kolei na Ibizie u Przemysława Krala. Szef Zondacrypto przeszkolił go. I Moskal zgłosił poprawki do ustawy o rynku kryptowalut. Samowolka Moskala czy partyjna misja po kasę?

PYTANIE TYGODNIA | Czy misja mediów publicznych to dziś puste hasło?

PROF. STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI,
socjolog, medioznawca, Akademia Leona Koźmińskiego

Nie, to nie jest puste hasło. Jednak może nim się stać, jeśli instytucje przestają ją realizować. Misja mediów publicznych to konkretne zadania polegające na dostarczaniu rzetelnej i dokładnej informacji, wspieraniu kultury i edukacji oraz tworzeniu przestrzeni na debaty społeczne i polityczne także tym grupom, które rynek pomija. W erze algorytmów i fragmentaryzacji publiczności ta funkcja jest bardziej potrzebna niż dawniej. Problem w tym, że powinności mediów publicznych są spełniane tylko pod warunkiem niezależności od polityki i polityków, przejrzystego finansowania i mierzalnego rozliczania z realizacji zadań. Tam, gdzie media publiczne służą władzy albo ścigają się z sektorem komercyjnym o oglądalność/słuchalność, misja rzeczywiście stacza się do poziomu frazesu. Ale wówczas winne są instytucje i system nadzoru, a nie sama idea.

PROF. UW TADEUSZ KOWALSKI,
ekonomista, medioznawca, członek KRRiT

Misja mediów publicznych – bezstronność, różnorodność i uwzględnianie potrzeb całego społeczeństwa – to nie puste hasło, lecz fundament demokratycznego państwa. Czym innym jest jednak idea zapisana w art. 21 Ustawy o radiofonii i telewizji, a czym innym praktyka. Od 2016 r. media te konsekwentnie niszczono, przez co stały się zakładnikiem bieżącej walki politycznej. Podjęta w 2023 r. próba postawienia telewizji z głowy na nogi idzie w dobrą stronę – widać to po Teatrze Telewizji czy jakości dokumentów – ale to nie wystarcza. Spółka w likwidacji, zależna od budżetowej kroplówki, nie ma stabilności. Potrzebna jest porządna ustawa tworząca jasne reguły powoływania władz, finansowania oraz odpowiedzialności. Takie rozwiązania eksperci przygotowali już dawno, ale politycy ich nie wdrażają.

DR MAŁGORZATA BULASZEWSKA,
kulturoznawczyni, filmoznawczyni, medioznawczyni, Uniwersytet SWPS

Pojęcie misji od dawna jest pustym sloganem. Czym właściwie jest misja? Miarą wartości mediów publicznych powinna być ambitna oferta kulturalna i edukacyjna. Tymczasem od początku XXI w. programy misyjne i edukacyjne spychano na peryferie ramówki, nadając je w godzinach późnonocnych. Telewizja publiczna na długo przed obecnymi zawirowaniami postawiła na komercję, rywalizację o oglądalność. Bez systemowej reformy finansowania, uniezależnienia od polityki i realnego przywrócenia treściom edukacyjnym priorytetu hasło „misja" pozostaje jedynie wygodnym frazesem.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl e6ffbd3fc1

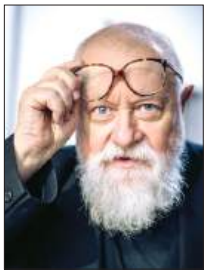


mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

Ja

Może to tylko wrażenie, ale silne: w ostatnich kilku(nastu?) latach coraz częściej przestaje nam, nawet w swobodnej rozmowie, wystarczać zwykła końcówka czasownikowa, pokazująca, że to chodzi o tego, kto mówi (o mnie, gdy to ja). Nie tylko zamiast „myślę” pojawia się często „ja myślę”, ale nawet zamiast „byłem” – „ja byłem”. Prawda, niektórzy dodają jeszcze „osobiście” (kiedyś krytykowano mnie za to „osobiście” w „ja osobiście uważam”, choć to miała być raczej tylko sugestia, że sam nie chcę nikomu narzucać opinii), a nawet mówią „moja osoba” – ale to co innego, tu, w tym miejscu, chodzi o rzecz znacznie poważniejszą, o gramatykę.

Przez stulecia, kiedy wpływ na polszczyznę miał a to język niemiecki, a to język rosyjski, konieczność umieszczania tego egoistycznego zaimka „ja” nie upowszechniła się aż tak bardzo. Niemieckie „ich bin” tłumaczono raczej na „jestem”, a rosyjskie „ja był” – na „byłem”. Końcówka wystarczała. A teraz nagle: „ja jestem”, „ja byłem”. Kiedyś naturalne było przede wszystkim „ja” np. w odpowiedzi na „kto”, a w szczególniejszych autoprezentacjach „to ja”, teraz wszędzie niemal, gdy o mnie chodzi. Ja, nikt inny.



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Może to pokazywać, że wpływ angielskiego, gdzie „I” jest konieczne, jest silniejszy, choć jego użytkownicy przecież muszą, bo w czasowniku nie ma informacji o tym, kto. Tyle że dawniej nasze „ja” było raczej tłumaczeniem „me” niż „I” (i francuskiego „moi”, nie „je”). Byliśmy, jak nie przymierzając Rzymianie, skromniejsi, mniej egotyczni, i jak oni „ego”, tak my „ja” używaliśmy z umiarem.

Może ma to pewien związek z zanikiem jednej z form zaimka pierwszej osoby. Już mało kto w mowie, a nawet w piśmie, używa formy „mnie” w celowniku. Zamiast „mnie się wydaje” słychać powszechnie „mi się wydaje”, często z wyraźnym akcentem na „mi”. A nawet „mi to dałeś, nie jemu”. Kto wie, może ta gramatyczna oszczędność ma równoważyć zbytni rozwój egotyczności związany z ekspansją mianownikowego „ja”…

Co do mnie, to ja osobiście (a nawet moja osoba) chciałbym w języku, zwłaszcza w tej najbardziej osobistej sferze, sferze zaimków osobowych, widzieć przynajmniej pewien samoregulujący się mechanizm… ■

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Fort Trump – to brzmi służalczo

Politycy ścigają się, kto bardziej chce amerykańskiej bazy

Robert Walenciak



Camp Kościuszko. Uroczystość przekształcenia amerykańskiej Regionalnej Grupy Wsparcia w Garnizon Sił Zbrojnych USA. Poznań, 21 marca 2023 r.

Oto szaleństwo władzy. I prezydent Nawrocki, i wicepremier Kosiniak-Kamysz bezustannie powtarzają, że chcą amerykańskiej bazy w Polsce. I prześcigają się w wiernopoddańczych deklaracjach.

W zasadzie, jeśli wsłuchać się w to, co mówi Nawrocki, sprawa bazy jest przesądzona. Konsultanci amerykańscy odwiedzili Polskę, wizytowali potencjalne miejsca bazy i do listopada ostateczna decyzja zapadnie. Dopięcia wymagają jedynie „kwestie administracyjne i finansowe". A baza jest potrzebna, ponieważ – jak mówi Nawrocki – „obecność wojsk USA w Polsce zapewnia nam stabilność w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej". „Gdy prace zostaną zakończone przez administrację USA, przez oba rządy, prezydent Trump będzie mógł osobiście wziąć udział w inauguracji Fortu Trump", przymilał się w wywiadzie dla serwisu Bloomberg. A jego minister Marcin Przydacz dopowiadał: „Zachęcałbym rząd i apeluję o intensyfikację działań".

W ten klimat pośpiechu i ulegania Amerykanom we wszystkim wpisuje się też ekipa MON. Chociaż wizytę Władysława Kosiniaka-Kamysza zo-Amerykanie przełożyli, a stało się to, jak słyszymy, na skutek zabiegów ludzi Nawrockiego, bo to on chce być najważniejszym pośrednikiem w kontaktach z ekipą Trumpa. Może tak było, może nie – w każdym razie do Waszyngtonu na rozmowy m.in. z wiceszefem Pentagonu Elbridge-'em Colbym pojechali wiceministrowie MON, Magdalena Sobkowiak-Czarnecka i Paweł Zalewski. „Dzisiaj usłyszałam też dużo ciepłych słów ze strony amerykańskiej, że widać przygotowanie po naszej stronie i widać naszą motywację", chwaliła się Sobkowiak-Czarnecka.

Zastanówmy się, o co w tym wszystkim chodzi. Skąd ten pośpiech i ta służalczość? Przecież nikt – ani Nawrocki, ani jego urzędnicy, ani Kosiniak-Kamysz i jego zastępcy – nie jest zdolny odpowiedzieć na najprostsze pytanie: w jaki sposób baza wojsk USA zwiększy bezpieczeństwo Polski? Zamiast odpowiedzi słyszymy wykręt, że baza zmieni naszą sytuację geopolityczną, bo to będzie dla Rosji sygnał, że atak na Polskę jest atakiem na USA.

Cóż, z tych słów wynika, że dziś Polska jest państwem mało bezpiecznym i można ją atakować. Mimo że jesteśmy członkiem NATO i na terenie Polski przebywają żołnierze państw sojuszniczych. A także na stałe ok. 800 żołnierzy amerykańskich i parę tysięcy w formie rotacyjnej. Amerykańscy żołnierze stacjonują m.in. w Redzikowie koło Słupska, w Poznaniu, Powidzu, Bolesławcu, Balicach i we Wrocławiu.

O co więc chodzi? Dodajmy, że baza ma być na zachodzie kraju, w okolicach albo Wrocławia, albo Poznania, albo Szczecina – bo takie miejsce preferują Amerykanie. Gdyby była np. w Białymstoku, można by mówić o jakiejś demonstracji. Ale jeśli amerykańscy żołnierze będą przebywać przy granicy niemieckiej, daleko za plecami polskich żołnierzy, cóż taka obecność zmieni? To przecież proste pytanie, lecz na razie nikt nie udzielił na nie odpowiedzi.

Warto zwrócić za to uwagę, z jaką dezynwolturą ludzie Nawrockiego i kierownictwo MON mówią o kosztach tej bazy, czyli o „kwestiach administracyjnych i finansowych". Wiceminister MON Paweł Zalewski szacował kwotę na 15-18 mld zł. Bo trzeba będzie zbudować infrastrukturę dla żołnierzy amerykańskich i ich rodzin. A potem ich

eprasa.pl e6ffbd3fc1

utrzymywać. Rok temu Władysław Kosiniak-Kamysz mówił, że przeznaczamy rocznie ok. 15 tys. dol. na jednego amerykańskiego żołnierza. Wtedy utrzymanie amerykańskich żołnierzy kosztowało nas co roku około pół miliarda złotych. A ile będzie w przypadku stałej bazy?

Zastanawiająca jest zresztą sama postawa polskich polityków. Otóż nie zachowują się jak osoby gotowe do negocjacji. Oni proszą Amerykanów, by zechcieli założyć w Polsce swoją bazę. Co na to Amerykanie? Wprawdzie Donald Trump już powiedział, że dobił ze swoim przyjacielem Karolem Nawrockim targu, ale to bardziej emocja chwili.

Po pierwsze, wiemy, że Trump nie pamięta wieczorem, co mówił o poranku. Warto wspomnieć, że jeszcze w maju Ameryka niespodziewanie zatrzymała rotację 4 tys. żołnierzy, którzy mieli przyjechać do Polski. Zrobił się wówczas szum, no i Trump szybko zapewnił, że wyśle do Polski 5 tys. żołnierzy. Ale na gadaniu się skończyło. Na początku września Kosiniak-Kamysz tłumaczył, że sprawa zostanie uregulowana za kilka tygodni, więc czekamy.

Po drugie, to nie Karol Nawrocki, ale rząd RP jest władny te sprawy załatwiać. A po trzecie, Amerykanie nie podjęli jeszcze decyzji. Mają to zrobić do końca listopada. I to oni sobie wybiorą, gdzie będzie baza, zadecydują, ilu będzie tam żołnierzy i w jakim kształcie baza będzie funkcjonować – czy będzie jedna, czy kilka rozproszonych. Mamy zatem kuriozalną sytuację, że to Amerykanie wszystko sobie ustalają, jak im wygodnie, a my klaszczemy z radości i płacimy. Skąd bierze się ta służalcza postawa?

Miłość do Ameryki jest na pewno mocna w prawicowej części elektoratu, gdzie jeszcze pokutuje mit, że USA to najpotężniejsze państwo świata. Czyli trzeba się schronić pod skrzydłami silnego patrona? W każdym razie Karol Nawrocki postawił na uległość wobec Trumpa. Może więc powinniśmy patrzeć na bazę jako na projekt polityczny i ideologiczny, którego symbolem jest nazwa, Fort Trump? A dla innej grupy wyborców projekt bazy jest z kolei pewnym rodzajem „polaczkowania": ściągniemy Amerykanów do Polski i będą nas chronić. Tyle że to złudne nadzieje.

Raz: amerykańska baza niczego nie gwarantuje. To iluzja, że gdy powstanie, Rosja nas nie zaatakuje, bo Ameryki się nie zaczepia. Kraje Zatoki ściągnęły sobie amerykańskich żołnierzy, amerykańskie bazy są w Kuwejcie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Bahrajnie, lecz Iran tym się nie przejmuje, atakuje te bazy regularnie.

Dwa: Ameryka nie jest firmą ochroniarską, tylko ma swoje interesy. Polska dla Waszyngtonu nie jest Ziemią Świętą, ale trzeciorzędnym elementem do wykorzystania w światowej rozgrywce. A ta rozgrywka nie wygląda już tak jak kiedyś, że po jednej stronie był Zachód, po drugiej Wschód. Dziś świat jest wielobiegunowy i Ameryka inaczej go rozgrywa. Widzimy to zresztą, gdy grozi Europie, gdy chce ją rozbić i gdy wdzięczy się przed Rosją.

Miejmy świadomość: jeżeli w Polsce powstanie baza wojsk amerykańskich, przecież nie będziemy mieli na nią żadnego wpływu. To będzie baza amerykańska, a nie polska. Każdy scenariusz będzie zatem możliwy. Na przykład taki, że do Moskwy pojadą Steve Witkoff i Jared Kushner, po czym nas poinformują, że dogadali się z Rosją i teraz my musimy się dogadać. A oni do tego nie będą się wtrącać. Życzą nam dobrych rozmów, chociaż, jak pewnie napomkną, nie mamy kart.

Ten scenariusz – patrząc na dzisiejsze działania Trumpa i jego ekipy – jest bardzo realny. A w każdym razie trzeba go uwzględniać. Przypomnijmy sobie wydarzenie sprzed ponad roku, gdy do Polski wleciały rosyjskie drony. Prezydent Trump przez kilka dni udawał, że nic się nie stało i Rosjan by o to nie winił.

Przypomnijmy w tym miejscu również inną sytuację. Gdy wybuchła wojna rosyjsko-ukraińska, wojska amerykańskie wylądowały na lotnisku w Jasionce i tam stacjonowały. Potem, już za czasów Trumpa, szybko się zwinęły. Czy Polska miała na to jakiś wpływ?

Jeżeli tak zależy nam na zwiększeniu bezpieczeństwa, czy nie logiczniej byłoby, zamiast inwestować w pobyt amerykańskich żołnierzy, którzy w każdej chwili na rozkaz z Waszyngtonu mogą wyjechać, przeznaczyć te pieniądze na rozwój polskich sił zbrojnych, dronów i systemu obrony? Dlaczego mamy nasze bezpieczeństwo uzależniać od kaprysów Ameryki? Te pytania w przestrzeni publicznej nie istnieją. A przecież budżet Polski nie jest nieograniczony. Zamiast tego słyszymy,

W jaki sposób baza wojsk USA w Polsce zwiększy nasze bezpieczeństwo?

że decyzja w sprawie bazy zapadnie w ciągu kilku tygodni. To znaczy, Amerykanie ją podejmą.

A podejmą ją zgodnie z własnymi kalkulacjami. Częściowo biznesowymi, bo dlaczego nie skorzystać z kilkunastu miliardów, które ktoś daje. Ale raczej ważniejsze będą kalkulacje polityczne. Nie wykluczajmy też, że amerykańska baza w Polsce będzie jedną z kart przetargowych w rozmowach Trump-Putin. I teraz, i w przyszłości.

W tym całym szaleństwie ścigania się o miano największego miłośnika USA ciekawą pozycję – co warto zauważyć – zajął Radosław Sikorski. Wiemy, że w prywatnych rozmowach ładnych parę lat temu ubolewał nad „murzyńskością" Polaków wobec Ameryki. Teraz tak nie mówi. „Rząd i prezydent działają wspólnie na rzecz stworzenia stałej bazy amerykańskiej w Polsce, ale proponowanie nazwy Fort Trump uważam za demonstrowanie takiej uniżoności. Ja wiem, że to w Stanach taka się przyjęła maniera, ale to nie buduje szacunku, a po drugie jest ryzykowne" – to jego słowa. Czyli też chce bazy, choć nie na kolanach.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl e6ffbd3fc1

KTO NAS BĘDZIE LECZYŁ?

Naczelna Rada Lekarska apeluje o ponowną akredytację uczelni niemedycznych kształcących przyszłych lekarzy.

Kornel Wawrzyniak

Mimo licznych skandali nowe kierunki lekarskie stają się elementem krajobrazu szkolnictwa wyższego. W nadchodzącym roku akademickim lekarzy będzie kształcić aż 39 uczelni. Część z nich do niedawna nie miała nawet prosektorium. Ministerstwo Zdrowia zwiększa limity studentów i przyklaskuje działalności kierunków medycznych w tzw. wyższych szkołach rozpalania grilla. Tymczasem Naczelna Rada Lekarska w związku z aferą korupcyjną w Państwowej Komisji Akredytacyjnej apeluje o ponowną akredytację uczelni niemedycznych kształcących przyszłych lekarzy. Według NRL istnieją uzasadnione wątpliwości co do tego, czy część kierunków uzyskała akredytację legalnie.

Eskalacja błędu

Jeszcze kilkanaście lat temu lekarzy kształciły wyłącznie uniwersytety medyczne. Dziś medycynę można studiować na uczelniach niepublicznych, akademiach nauk stosowanych, politechnikach, a nawet w szkole medialnej ojca Rydzyka. Ten gwałtowny rozrost od początku budził sprzeciw części środowiska medycznego, zwłaszcza że niektóre nowe kierunki otrzymywały zgody na działalność od ministra Przemysława Czarnka mimo krytycznych opinii PKA.

Po zmianie władzy kontrowersyjne kierunki nie zostały jednak szybko zamknięte. Zamiast tego otrzymywały kolejne szanse na naprawę błędów pod hasłem walki z niedoborem lekarzy. W efekcie część uczelni poprawiła warunki kształcenia i uzyskała akredytację, a cały projekt zdobył polityczną legitymizację. Tak powstał mechanizm, który można nazwać doktryną pobłażliwości: im więcej dowodów na niewydolność części kierunków, tym trudniej je zamknąć. Po kilku latach problem przestał dotyczyć tego, czy takie uczelnie powinny kształcić lekarzy. Zaczął zaś dotyczyć tego, jak zalegalizować ich dalsze funkcjonowanie.

„Uważam, że uruchamianie nowych kierunków powinno się odbywać wyłącznie w ośrodkach, które dysponują odpowiednią kadrą akademicką, zapleczem klinicznym i infrastrukturą dydaktyczną. Do nich należą m.in. centra symulacji medycznej czy chociażby prosektoria, które są kluczowe dla kształcenia anatomii, a których nie posiadało wiele uczelni otwierających kierunki lekarskie", tłumaczył niedawno w rozmowie z portalem XYZ rektor Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego dr hab. Michał Markuszewski.

Lekarzy na papierze będzie coraz więcej, a specjalistów przyjmujących pacjentów wcale nie przybędzie.

Obecnie możliwość przyjmowania studentów uzależniono od pozytywnej opinii Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Mimo to nadal istnieją duże wątpliwości co do zaplecza dydaktycznego kierunków lekarskich na uczelniach niemedycznych. Chodzi o studentów, którzy na początku uczyli się w szkołach bez akredytacji PKA, np. nie odbywając zajęć w prosektoriach w pierwszych latach studiów. Inni uczyli się na plastikowych kukłach. Część uczelni krzaków miała też kłopoty z kadrą dydaktyczną, np. ginekolog uczył kardiologii. Inny wykładowca zmarł, ale był wpisany na listę dydaktyków.

Drugim poważnym problemem jest to, że w ostatnim czasie pojawiły się wątpliwości co do działania samej PKA. Według ustaleń „Gazety Wyborczej" część procesów akredytacyjnych prowadzonych przez Polską Komisję Akredytacyjną mogła być obciążona nieprawidłowościami korupcyjnymi. Z aktu oskarżenia wynika, że były dyrektor biura PKA miał przyjmować korzyści majątkowe od przedstawicieli uczelni w zamian za pomoc w przygotowaniu dokumentacji i uzyskiwaniu pozytywnych opinii dotyczących nowych kierunków studiów. Informacje te wywołały szczególne zaniepokojenie w środowisku medycznym, jako że okres objęty śledztwem pokrywa się z dynamicznym rozwojem nowych kierunków lekarskich w Polsce.

W odpowiedzi na te doniesienia Naczelna Rada Lekarska zaapelowała o ponowną akredytację uczelni kształcących przyszłych lekarzy oraz wymianę składu PKA. Ministerstwo Zdrowia brnie tymczasem w doktrynę pobłażliwości i zapewnia, że nowe kierunki pozostają pod stałym nadzorem i są regularnie kontrolowane. Czyli tematu nie ma.

Nie ilość, ale… specjalizacje

Rozbudowa kierunków lekarskich w Polsce od lat jest uzasadniana niedoborem lekarzy. Problem okazuje się jednak bardziej złożony, niż sugerują hasła polityczne. Według danych przywoływanych przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji w 2024 r. w Polsce przypadało ok. 3,95 lekarza na 1 tys. mieszkańców. To wynik zbliżony do średniej unijnej i o niemal 16% wyższy niż w 2019 r. Dane pokazują, że

eprasa.pl e6ffbd3fc1

liczba lekarzy systematycznie rośnie. Nie oznacza to jednak automatycznej poprawy dostępności świadczeń zdrowotnych.

Na koniec 2025 r. specjalizację odbywało ponad 31,4 tys. lekarzy, czyli niemal 8 tys. więcej niż dekadę wcześniej. Jednocześnie pacjenci nadal mają problem z dostępem do wielu specjalistów, szczególnie poza dużymi miastami. Eksperci zwracają uwagę, że najważniejsze wyzwania dotyczą dziś nie ogólnej liczby lekarzy, lecz ich rozmieszczenia oraz struktury specjalizacji.

Choć liczba studentów medycyny rośnie, polski system ochrony zdrowia nadal opiera się na starszych pokoleniach lekarzy. Średni wiek osób mających prawo wykonywania zawodu wynosi ok. 59 lat, a wśród lekarzy aktywnych zawodowo – 51--53 lata. Jeszcze wyraźniej widać to w grupie specjalistów, których średni wiek sięga 56 lat. W przypadku części lekarzy pracujących na kontraktach cywilnoprawnych przekracza on nawet 65 lat. Innymi słowy, znaczna część systemu funkcjonuje dzięki osobom, które formalnie osiągnęły już wiek emerytalny.

Jednocześnie najliczniejszą grupę aktywnych zawodowo lekarzy stanowią obecnie osoby między 25. a 39. rokiem życia, które weszły do zawodu w okresie rozbudowy systemu kształcenia. Co bynajmniej nie oznacza, że problem został rozwiązany. Lekarze po 60. roku życia to nadal prawie jedna trzecia wszystkich aktywnych zawodowo medyków. Bez ich pracy wiele szpitali, szczególnie poza największymi miastami, miałoby dzisiaj poważne trudności z utrzymaniem ciągłości świadczeń.

Prognozy zawarte w Mapach potrzeb zdrowotnych wskazują, że do 2034 r. liczba lekarzy w Polsce wzrośnie z ok. 143 tys. do ponad 180 tys. osób. Sam wzrost liczebności kadry nie oznacza jednak końca zmartwień. W części specjalizacji liczba lekarzy odchodzących na emeryturę będzie bowiem większa niż liczba nowych specjalistów. Najbardziej niepokojące prognozy dotyczą specjalistów w zakresie chorób wewnętrznych, ale niedobory przewidywane są również w chirurgii ogólnej, rehabilitacji medycznej, chorobach płuc, medycynie pracy i otorynolaryngologii.



Znacznie lepiej wyglądają perspektywy pediatrii i medycyny rodzinnej, gdzie liczba nowych specjalistów ma przewyższyć liczbę lekarzy kończących aktywność zawodową. To pokazuje, że samo zwiększanie liczby miejsc na studiach nie wystarczy. O przyszłości systemu zdecyduje również to, jakie specjalizacje wybiorą absolwenci i czy będą gotowi pracować poza największymi ośrodkami akademickimi. W przeciwnym razie lekarzy będzie statystycznie więcej, ale kolejki do niektórych specjalistów pozostaną równie długie jak dziś. Nie potrzebujemy po prostu więcej lekarzy, chodzi o konkretnych specjalistów w konkretnych miejscach na mapie Polski.

Dobry biznes

Kierunki lekarskie niezależnie od prestiżu uczelni stały się bardzo oblegane. Na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym o 2233 miejsca walczyło w tym roku niemal 16 tys. kandydatów. W Lublinie liczba zgłoszeń wzrosła o prawie 67%. Wysokie wzrosty dotyczą również uczelni w Szczecinie i Białymstoku. Rekrutacja pokazała, że nowe kierunki lekarskie cieszą się obecnie ogromnym zainteresowaniem. Uniwersytet Kaliski odnotował niemal 49 kandydatów na miejsce, Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie ponad 42, a wałbrzyska filia Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu ponad 34. Dla porównania – trzy lata wcześniej w Wałbrzychu o jedno miejsce ubiegało się ok. 10 osób.

Zainteresowanie zawodem lekarza nie wynika wyłącznie z pasji potencjalnych studentów ani z prestiżu zawodu czy niedoborów kadrowych. Coraz większe znaczenie mają też informacje o zarobkach lekarzy, które przyciągają wielu młodych ludzi.

Uruchamianie nowych kierunków powinno się odbywać wyłącznie w ośrodkach, które dysponują odpowiednią kadrą akademicką i zapleczem klinicznym.

Chociaż na papierze zainteresowanie płatnymi kierunkami lekarskimi jest ogromne, w rzeczywistości duża część kandydatów traktuje je jako rezerwę. Roczne opłaty sięgają od 40 tys. do 76 tys. zł, dlatego po zakończeniu rekrutacji na studia stacjonarne liczba chętnych na prywatnych uczelniach gwałtownie maleje. Ostatecznie konkurencja bywa symboliczna, a kluczowym kryterium przyjęcia stają się możliwości finansowe.

Przez lata słyszeliśmy, że o studiach medycznych decydują wiedza, pracowitość i wyniki matur. Dziś coraz częściej decyduje coś innego: możliwość zapłacenia kilkudziesięciu

eprasa.pl e6ffbd3fc1

tysięcy złotych rocznie. Na najbardziej prestiżowych uczelniach kandydaci walczą o każdy punkt. Na części nowych kierunków wystarczy natomiast znaleźć zasoby w domowym budżecie. Zniesienie wymogu uzyskania minimum 30% na maturze rozszerzonej tylko przyśpieszyło ten proces. W rezultacie powstał system, w którym bariera merytoryczna obniża się, a bariera finansowa podwyższa.

To nie jest sposób na rozwiązanie problemów ochrony zdrowia. To sposób na stworzenie rynku edukacyjnego, który zarabia na marzeniach o zawodzie lekarza. Wszystko przy aprobacie decydentów, którzy zwiększają limity przyjęć na uczelniach.

Jest tylko jeden szczegół, o którym autorzy kolejnych rekordów rekrutacyjnych wolą nie mówić. Ukończenie studiów medycznych nie oznacza jeszcze, że ktoś zostanie specjalistą. Prawdziwe wąskie gardło robi się dopiero później. Ministerstwo Zdrowia



Roczne opłaty to 40-76 tys. zł, więc liczba chętnych na prywatnych uczelniach spada. Kluczowym kryterium przyjęcia stają się możliwości finansowe.

z entuzjazmem produkuje kolejne tysiące absolwentów, ale znacznie mniej chętnie tworzy dla nich miejsca specjalizacyjne. W efekcie za kilka lat nowe wydziały medyczne zaczną wypuszczać następne roczniki młodych lekarzy prosto na korek. I nikt nawet nie próbuje udawać, że ten korek rozładowuje.

To klasyczny przykład mylenia statystyki z rzeczywistością. Łatwo otworzyć nowy kierunek i pochwalić się większą liczbą studentów. Znacznie trudniej znaleźć szpitale, opiekunów specjalizacji i miejsca szkoleniowe. Efekt może być taki, że lekarzy na papierze zrobi się bardzo dużo, a specjalistów przyjmujących pacjentów wcale nie przybędzie. Budujemy bowiem nie system kształcenia, lecz fabrykę dyplomów z permanentnie zatkanym wyjściem ewakuacyjnym.

Mimo to Ministerstwo Zdrowia nie naciska hamulca, przeciwnie – wciska gaz do dechy. Efekty widać na konkretnych przykładach. Akademia Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, uczelnia kojarzona przede wszystkim z działalnością ojca Tadeusza Rydzyka, otrzymała w tym roku aż 80 miejsc na kierunku lekarskim. Trudno o lepszy symbol polityki, w której najważniejsze staje się nie pytanie, gdzie można kształcić lekarzy najlepiej, ale gdzie można ich kształcić więcej.

Przypomnijmy, że na toruńskiej uczelni kładzie się duży nacisk na znajomość encykliki Jana Pawła II. Studenci powinni również mieć przekonanie, że wiara wzmacnia rozum. Jednocześnie słyszymy, że standardy kształcenia przyszłych medyków określa rozporządzenie ministra nauki dotyczące przygotowania do wykonywania zawodu lekarza. To właśnie na zgodności z tymi wymaganiami Polska Komisja Akredytacyjna miała opierać oceny zaplecza kadrowego, organizacyjnego i dydaktycznego każdej uczelni. Standardy mają stawiać wyraźną granicę między rzetelną medycyną a dydaktyczną fikcją.

Pytanie jednak, na ile te standardy funkcjonują poza ministerialnymi rozporządzeniami. Jeszcze w zeszłym roku OZZL Porozumienie Rezydentów alarmowało, że na jednej z nowych uczelni aż 46 osób z kadry dydaktycznej nie miało kompetencji spójnych z efektami uczenia przypisanymi do prowadzonych przez tych wykładowców zajęć. W innym ośrodku okazało się, że 42 nauczycieli akademickich otrzymało przydział do prowadzenia zajęć niezgodny z ich kompetencjami.

Powstał system, w którym bariera merytoryczna obniża się, a bariera finansowa podwyższa.

Na tym jednak wyścig o dyplom lekarza się nie kończy. Pojawiają się również alternatywne ścieżki prowadzące do zawodu. Firma Dream-MED pośredniczy w rekrutacji na kierunki lekarskie w Ukrainie, reklamując ofertę, w której słabe wyniki

eprasa.pl e6ffbd3fc1

maturalne, a nawet brak matury, nie muszą przekreślać marzeń o medycynie. Według przedstawianych informacji część zajęć może się odbywać zdalnie, a koszty nauki są znacząco niższe niż na płatnych kierunkach w Polsce. Trudno o lepszy symbol kierunku, w jakim zmierza rynek kształcenia lekarzy. Gdy wymagania okazują się przeszkodą, zawsze znajdzie się ktoś gotowy zaoferować krótszą drogę do białego fartucha.

Nic dziwnego, że takie rozwiązania budzą niepokój samorządu lekarskiego. Problem dotyczy bowiem nie samego czesnego czy formalności, ale kontroli jakości kształcenia. Ukraińskie uczelnie nie podlegają nadzorowi polskich instytucji, a mimo to ich absolwenci mogą później ubiegać się o prawo wykonywania zawodu w Polsce. W państwie, które oficjalnie deklaruje troskę o standardy kształcenia lekarzy, jest to kolejny przykład zaskakująco szeroko otwartych drzwi.

Łatwo otworzyć nowy kierunek i pochwalić się większą liczbą studentów. Znacznie trudniej znaleźć szpitale, opiekunów specjalizacji i miejsca szkoleniowe.

Czy pacjenci zaufają?

Przez lata zapewniano, że wszystkie kontrowersje i wątpliwości dotyczące nowych kierunków lekarskich rozstrzygną akredytacje, kontrole i decyzje ministerialne. Dziś można odnieść wrażenie, że prawdziwą ocenę tylko odroczono, licząc, że „samo się zrobi". Innymi słowy, najpierw otwórzmy kierunki, a później zobaczymy, jakich będziemy mieć absolwentów i czy zostaną lekarzami z krwi i kości.

Problem polega na tym, że pacjent nie jest ekspertem od szkolnictwa wyższego. Osoba czekająca miesiącami na wizytę nie analizuje raportów PKA, nie sprawdza liczby prosektoriów ani dorobku naukowego wykładowców. Chce dostać się do lekarza, usłyszeć trafną diagnozę i wrócić do zdrowia. Sam fakt posiadania prawa wykonywania zawodu traktuje jako gwarancję, że państwo wcześniej zweryfikowało kompetencje medyka odpowiednim egzaminem.

Badania pokazują jednak, że ten kredyt zaufania nie jest bezwarunkowy. Z raportu „Nowy kontrakt społeczny dla ochrony zdrowia" przygotowanego przez Human Answer Institute, Centrum im. Adama Smitha i panel badawczy Ariadna wynika, że 62,1% Polaków pozytywnie ocenia lekarza, z którym ma osobisty kontakt, ale już tylko 49,9% deklaruje zaufanie do środowiska lekarskiego jako całości. To bardzo wymowna różnica. Pacjenci są gotowi zaufać konkretnemu lekarzowi, znacznie ostrożniej podchodzą natomiast do działalności całego systemu. Tymczasem to właśnie system zdecydował się na bezprecedensowy eksperyment polegający na masowym otwieraniu kierunków lekarskich.

Jeśli absolwenci nowych uczelni okażą się dobrze przygotowani, większość pacjentów nigdy nie zapyta, gdzie zdobyli dyplom. Jeśli jednak pojawią się błędy wynikające ze słabego kształcenia, konsekwencje nie ograniczą się do jednej uczelni czy jednego lekarza. Uderzą w zaufanie do całego systemu ochrony zdrowia. Tym bardziej że dyplom lekarza nie daje już automatycznie społecznego autorytetu. Z badań On Board Think Kong wynika, że publicznym wypowiedziom lekarzy wykraczającym poza ich specjalizację ufa zaledwie 29,1% badanych. Społeczne zaufanie jest więc coraz bardziej warunkowe i coraz częściej zależy od rzeczywistych kompetencji, a nie od samego tytułu zawodowego.

To największy paradoks całej reformy. Oficjalnie miała zwiększyć bezpieczeństwo zdrowotne Polaków. W praktyce może doprowadzić do sytuacji, w której odpowiedzialność za ocenę jakości kształcenia zostanie po cichu przerzucona na samych pacjentów. A oni nie zweryfikują jej poprzez analizę programów studiów czy akredytacji. Zweryfikują ją w najprostszy możliwy sposób: podczas stawiania pierwszej diagnozy, przy pierwszym zabiegu i pierwszym błędzie, którego można było uniknąć. Wtedy okaże się, czy doktryna pobłażliwości była reformą, czy tylko kosztownym eksperymentem na społecznym zaufaniu i zdrowiu pacjentów.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl



eprasa.pl e6ffbd3fc1



Wszyscy wiedzieli, kim jest Daniel Obajtek i jak trafił na stołek prezesa Orlenu.

Szejk z Pcimia i przekręt stulecia

Daniel Obajtek, kradzież 1,5 mld zł i łaskawość prokuratora

Andrzej Sikorski

„Cały świat o tym czyta. Wstyd na cały świat", ubolewał premier Donald Tusk, komentując artykuł w „Financial Timesie". Brytyjski dziennik, którego czytelnikami są światowi przywódcy polityczni i elity biznesowe, napisał o aferze spółki córki Orlenu – Orlen Trading Switzerland (OTS), odsłaniając nieznane dotychczas kulisy. Dziennikarze dotarli m.in. do akt z postępowania przed sądem arbitrażowym w Dubaju, gdzie Orlen próbował odzyskać utracone pieniądze. Chodzi o gigantyczną kwotę ponad 1,5 mld zł.

Wysokie ryzyko defraudacji

Latem 2022 r. w mieście Baar w szwajcarskim kantonie Zug, ulubionym raju podatkowym nafciarzy z Rosji, zarejestrowana została spółka Orlen Trading Switzerland. Daniel Obajtek stworzył ją rzekomo po to, aby kupować po konkurencyjnych cenach paliwa na rynkach światowych. Tyle że Orlen miał już w strukturze wyspecjalizowany dział zakupów paliw. I jak proroczo ostrzegały wewnętrzne służby bezpieczeństwa Orlenu – Biuro Kontroli i Bezpieczeństwa, specjalna komórka powołana do strzeżenia kluczowych interesów koncernu – w notatce rozesłanej do najważniejszych osób w spółce i państwie, nie można było wykluczyć, „że projekt ma na celu wyprowadzenie środków z PKN Orlen, a tym samym istnieje wysokie ryzyko defraudacji".

Jednak premier Mateusz Morawiecki ani odpowiadający za służby specjalne Mariusz Kamiński nie zareagowali. A przecież doskonale wiedzieli, kim jest Obajtek i jak trafił na stołek prezesa Orlenu. Warto w tym miejscu przypomnieć, że gdy PiS doszło do władzy, ten „niezwykły człowiek" – jak mówił o nim Jarosław Kaczyński – był wójtem Pcimia i zasiadał na ławie oskarżonych w procesie grupy przestępczej gangstera o pseudonimie „Prezes". Obajtek miał wyłudzić z firmy swoich wujów 1,4 mln zł i podzielić się pieniędzmi z zaprzyjaźnionymi gangsterami, a także przyjąć 50 tys. zł łapówki od „Prezesa" w związku z ustawieniem gminnego przetargu, za co groziło mu nawet 10 lat więzienia.

Prezes PiS postanowił za wszelką cenę ratować Obajtka. W tym celu… zmieniono Kodeks postępowania karnego, tak by prokurator mógł z sądu wycofać akt oskarżenia wobec Obajtka, a potem umorzyć śledztwo. Operacja ta została zainicjowana w Ministerstwie Sprawiedliwości, przeprowadzona przez parlament, a nowe prawo zatwierdził prezydenckim podpisem Andrzej Duda. Czyli aby ratować jednego gościa przed więzieniem, obóz władzy zmienił prawo.

Szemrane towarzystwo

Wróćmy jednak do Orlenu i OTS. Na czele spółki córki stanął Samer A., obywatel Polski urodzony w palestyńskiej rodzinie w Libanie. Zdaniem „Financial Timesa" mężczyzna był członkiem Organizacji Wyzwolenia Palestyny w Tunisie, a potem studiował w Polsce. Natomiast według ustaleń Biura Kontroli i Bezpieczeństwa PKN Orlen Samer A. miał utrzymywać kontakty z terrorystyczną i finansowaną przez Iran organizacją Hezbollah, a także był zamieszany w nielegalny handel ropą pochodzącą z tego kraju. Jakby tego było mało, kiedy Samer A. trafił do Orlenu, jego nazwisko przewijało się w śledztwie bydgoskiej prokuratury w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej wyłudzającej podatek VAT, o czym za moment.

Zastępcą Samera A. w OTS został Marcin O., menedżer związany ze spółkami PGNiG i według służb bezpieczeństwa Orlenu zamieszany „w afery korupcyjne i piramidy finansowe badane przez CBA".

W 2023 r. Samer A. spotkał się z 25-letnim Kam Ho „Alexem" Tse, szefem dopiero co zarejestrowanej w Dubaju spółki Hannon International. Prezes OTS zwrócił się do młodego Chińczyka o pomoc w zdobyciu ropy naftowej z Wenezueli. Panowie poznali się kilka miesięcy wcześniej na wyścigach

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Formuły 1. Według relacji „FT" Tse stanowczo nalegał na rozliczenie transakcji w kryptowalucie, a nawet zasugerował pośrednictwo w rozliczeniach. Choć wydawało się to szalone, Samer A. przystał na te warunki i pod koniec listopada 2023 r. szwajcarska spółka Orlenu zawarła z firmą Chińczyka kontrakt na zakup ok. 6 mln baryłek wenezuelskiej ropy za 345 mln dol. Zaledwie kilka dni po podpisaniu umowy OTS przelał spółce Hannon 230 mln dol. zaliczki (sic!).

Problem w tym, że Kam Ho „Alex" Tse nie miał pojęcia o handlu ropą. O pomoc w realizacji zlecenia dla spółki Orlenu poprosił pośrednika, 46-letniego Włocha o nazwisku Vitonicola Mariano. Mężczyzna ten zajmował się mydłem i powidłem: działał w branży gastronomicznej, potem filmowej, a nawet pomagał obywatelom Rosji w pozyskiwaniu wiz.

Vitonicola Mariano twierdził, że jest „upoważnionym reprezentantem PDVSA", państwowego koncernu naftowego Wenezueli. Chińczyk w to uwierzył i wymienił dolary z zaliczki na kryptowalutę. Część pieniędzy zamienił za pośrednictwem dwóch spółek wskazanych przez Włocha. Jednej z nich, o nazwie Horizon Global, spółka Tse przelała 135 mln dol. Jak twierdził młody biznesmen, w zamian otrzymał kryptowalutę o wartości 85 mln dol., a reszta pieniędzy gdzieś zaginęła.

Kolejne 30 mln dol. do przetransferowania na kryptowalutę firma Tse przelała jeszcze innej, nowo założonej w Dubaju spółce finansowej – Gold Mar International Trading. Podmiot ten miał zamienić dolary na krypto i przekazać je koncernowi PDVSA w Wenezueli. Pieniądze nigdy tam nie dotarły.

Zgodnie z umową zawartą pomiędzy OTS a Chińczykiem jego spółka miała dostarczyć ropę do 19 grudnia 2023 r. na specjalnie wyczarterowane u greckiego armatora trzy tankowce, które czekały w wenezuelskim porcie. Ładunek jednak nie trafił na statki.

Z relacji „FT" wynika, że Tse chciał wywiązać się z umowy. Dlatego poleciał do Caracas z pendrive'em z elektronicznym kluczem dającym dostęp do zgromadzonej na koncie kryptowaluty. W hotelu w pobliżu stolicy Wenezueli spotkał się z niejakim José Castillem, reprezentującym agencję Synergy. Biznesmen obiecał załatwić ropę naftową, a uradowany Chińczyk przekazał mu pendrive z dostępem do 60 mln dol. w kryptowalutach.

Castillo pieniądze wziął, ale obiecanej ropy nie załatwił, choć zapewniał, że do transakcji dojdzie. Tse uwierzył, bo zobaczył zdjęcie z rzekomym grafikiem dostaw ropy PDVSA, z którego miało wynikać, że w marcu i kwietniu 2024 r. Wenezuela dostarczy zamówiony surowiec. Młody Chińczyk ponownie spotkał się z Castillem i przekazał mu kolejny pendrive, tym razem z dostępem



Samera A. (na dole) nie udało się postawić przed sądem, za to wpłynął akt oskarżenia przeciwko Michałowi R., byłemu członkowi zarządu Orlenu.



do 50 mln dol. Castillo nie wywiązał się z obietnicy i ślad po nim zaginął.

Tse nie ustawał w próbach dopięcia kontraktu i zamiast 6 mln baryłek ropy kupił w Wenezueli 1 mln baryłek oleju opałowego (sic!), za który zapłacił pendrive'ami z kryptowalutą o wartości 22 mln dol. Co z tego, skoro kolejny pośrednik dostarczył tylko 500 tys. baryłek niepotrzebnego paliwa.

Oskarżeni

Przedstawiona przez „Financial Times" historia jest tak absurdalna, że trudno w nią uwierzyć. Według moich informacji to tylko zasłona dymna oszustów, by stworzyć wrażenie, że spółka OTS działała w dobrej wierze i została oszukana przez niewiarygodnych kontrahentów. Tak naprawdę mózgiem całej operacji wyprowadzenia 1,5 mld zł z Orlenu był Samer A., jego wspólnik Chińczyk odgrywał zaś rolę nierozgarniętego menedżera. Do szajki należeli pozostali „pośrednicy". Pytanie, czy Samer A. działał na własną rękę, czy miał mocodawców, a jeśli tak, to kto za nim stał i gdzie są ukradzione pieniądze.

W sprawie OTS Prokuratura Regionalna w Warszawie skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko Michałowi R., byłemu członkowi zarządu Orlenu, i dwóm menedżerom koncernu. Mężczyźni zostali oskarżeni „o działanie wspólnie i w porozumieniu poprzez niedopełnienie ciążących na nich obowiązków nadzorowania i dbania o majątek Orlen SA oraz interesy grupy kapitałowej Orlen SA, w tym spółki OTS GmbH, w wyniku czego doszło do wyrządzenia spółkom OTS GmbH i Orlen SA szkody w kwocie 378 mln dol., będącej równowartością kwoty 1,5 mld zł, poprzez zawarcie w okresie od 21 sierpnia 2023 r. do 21 grudnia 2023 r. trzech niekorzystnych kontraktów na zakup ropy naftowej".

Michał R. to zaufany człowiek Daniela Obajtka. Panowie znają się od wielu lat. Gdy Obajtek trafił do Orlenu, ściągnął przyjaciela pod swoje skrzydła, a ten został jego

FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/REPORTER, ANDRZEJ IWAŃCZUK/ REPORTER, X.COM

eprasa.pl e6ffbd3fc1

prawą ręką w koncernie – wiceprezesem odpowiedzialnym m.in. za kluczowy sektor, czyli zakup i sprzedaż ropy. Nazwisko Michała R. pojawiło się na słynnych taśmach Obajtka (wówczas wójta Pcimia), który knajackim językiem instruował pracownika prywatnej firmy, jak ma prowadzić biznes.

Michał R. ma też na koncie wyrok za napaść na sąsiada. A według doniesień Onetu interesuje się nim prokuratura w związku ze śledztwem w sprawie działania w Orlenie zorganizowanej grupy przestępczej ustawiającej przetargi. Menedżer w przetargach faworyzował firmy i konsorcja, które zobowiązały się do zakupu kabli od spółek z grupy Involt, w której posiadał udziały.

Uprzejmy prokurator

Przed sądem nie udało się postawić Samera A., bo ten uciekł do Zjednoczonych Emiratów Arabskich. I tu pojawia się ciekawy wątek. Otóż o wyprowadzeniu pieniędzy z Orlenu premier Donald Tusk, minister Adam Bodnar i koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak dowiedzieli się w lutym 2024 r. W tym samym czasie prezes OTS był poszukiwany listem gończym i został zatrzymany w Warszawie przez funkcjonariuszy Centralnego Biura Śledczego Policji na polecenie Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy. Sprawa nie miała nic wspólnego z Orlenem, a dotyczyła udziału w grupie przestępczej wyłudzającej podatek VAT w latach 2008-2013.

Po doprowadzeniu przed oblicze prokuratora i przedstawieniu zarzutów Samera A. puszczono wolno. Mimo wagi ciążących na nim zarzutów prokurator zastosował wobec niego jedynie środek zapobiegawczy w postaci poręczenia majątkowego w kwocie 250 tys. zł. Stało się tak, ponieważ, jak wynika z informacji uzyskanych w Prokuraturze Okręgowej w Bydgoszczy, zabezpieczono materiał dowodowy w sprawie, głównie dokumentację finansowo-księgową. Prokuratora jakoś nie zaniepokoił fakt, że Samer A. na stałe mieszkał w mieście Al-Diraz w Bahrajnie; przyjął za dobrą monetę to, że podejrzany wskazał adres do doręczeń w Polsce.

Samerowi A. nie zatrzymano paszportu. Jak można było przypuszczać, prezes OTS nie przejął się przepadkiem pieniędzy z poręczenia majątkowego, wykorzystał nadarzającą się okazję i uciekł z Polski.

Wewnętrzne służby bezpieczeństwa koncernu ostrzegały: „Nie można wykluczyć, że projekt ma na celu wyprowadzenie środków z PKN Orlen”.

Czy decyzja o niezatrzymaniu paszportu była „wypadkiem przy pracy”, czy celowym działaniem, tego nie wiem, ale warto mieć na uwadze, że choć prokuratorem generalnym był już Adam Bodnar, a prokuratorem krajowym Jacek Bilewicz, to w prokuraturze nadal karty rozdawali nominaci Zbigniewa Ziobry. Na czele Prokuratury Okręgowej w Bydgoszczy stał wówczas Andrzej Milewski związany z obozem ziobrystów. Natomiast z przygotowanego na polecenie Adama Bodnara raportu o nadużyciach w prokuraturze za rządów PiS wiadomo, że na masową skalę była wykorzystywana do celów politycznych, w tym chronienia przestępców związanych ze środowiskiem Zjednoczonej Prawicy. W Prokuraturze Krajowej zapytałem, czy wiedzą o bydgoskiej sprawie Samera A. i czy nie należałoby wszcząć postępowania, by wyjaśnić, dlaczego nie zatrzymano mu paszportu.

Prokurator Przemysław Nowak napisał w odpowiedzi: „Postępowanie służbowe (wyjaśniające) prowadzi w pierwszej kolejności przełożony danego prokuratora, czyli szef danej jednostki. Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej nie prowadzi śledztwa dotyczącego niezastosowania środka zapobiegawczego związanego z zatrzymaniem paszportu. Nie jest rolą rzecznika prasowego ocena stanów faktycznych ani tego, czy postępowanie powinno być prowadzone, czy nie. Przede wszystkim nie znam postępowania prowadzonego w Prokuraturze Okręgowej w Bydgoszczy. Nie mam więc żadnych podstaw, aby oceniać, jakie środki zapobiegawcze były właściwe w tamtym postępowaniu wobec Samera A. Natomiast z całą pewnością prokurator prowadzący postępowanie, stosując środek zapobiegawczy, nie może się kierować potrzebami innego postępowania, którego nie zna i nie prowadzi (np. postępowania dotyczącego OTS prowadzonego w Prokuraturze Regionalnej w Warszawie)”.

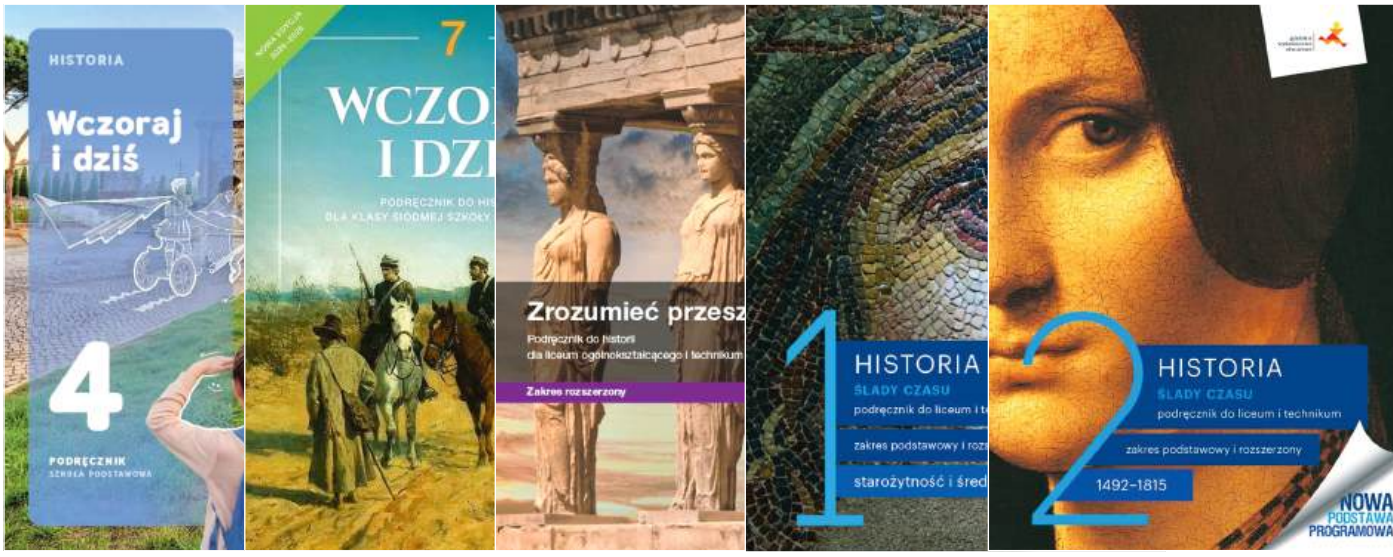
Prokurator Nowak znany jest z profesjonalizmu, ale takie stanowisko jest lekceważące i świadczy o niepoważnym podejściu do jednej z największych afer w historii Polski. Po ucieczce Samera A. do Zjednoczonych Emiratów Arabskich prokuratura wystawiła za nim list gończy (w sprawie Orlenu), a na podstawie czerwonej noty Interpolu mężczyzna został zatrzymany w Dubaju. Jednak władze ZEA odrzuciły polski wniosek o ekstradycję, bo, jak stwierdzono, „nie spełnia warunków”, cokolwiek to znaczy. Irytacji po decyzji władz ZEA nie krył premier Donald Tusk. „Partnerzy zagraniczni, tacy jak Zjednoczone Emiraty Arabskie, czasami są bardziej zainteresowani chronieniem takich ludzi, a nie ich wydawaniem. Mam nadzieję, że tak nie jest”, skomentował szef rządu.

Natomiast jeśli chodzi o przestępstwa vatowskie, to prokuratura w Bydgoszczy wystąpiła do sądu o zarządzenie przepadku 250 tys. zł poręczenia majątkowego i zastosowanie wobec Samera A. tymczasowego aresztowania. Na razie sąd nie podjął decyzji, choć ewentualne postanowienie o zastosowaniu aresztu nie będzie miało żadnego znaczenia.

Za dużo jest w tej sprawie dziwnych przypadków, aby mieć chociaż odrobinę nadziei, że polski menedżer z libańskimi korzeniami kiedykolwiek stanie przed sądem i opowie o kulisach przestępczego procederu.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Czy historii da się sensownie uczyć?

Absolwent podstawówki może nie usłyszeć o Bierucie, Gierku i Jaruzelskim, ale musi poznać „Inkę” i „Janka Wiśniewskiego”

Paweł Siergiejczyk

Wielki francuski historyk Fernand Braudel uważał, że historia „jako krytyczna refleksja nad przeszłością jest odpowiedzią na problemy, pytania i niepokoje dnia dzisiejszego”. Dlatego szczególną wagę przywiązywał do nauczania w szkole „tej najbardziej wymagającej, najnowszej i najbardziej interesującej spośród nauk o człowieku”. „Trzeba wzbudzić w młodych ludziach zainteresowanie i pomóc im zrozumieć świat, w którym przyjdzie im żyć i któremu przyjdzie im stawić czoło”, pisał w „Gramatyce cywilizacji” (Warszawa 2006, s. 9).

Czy taki sposób myślenia bliski jest ludziom kierującym polską edukacją? Można mieć co do tego wątpliwości – i dotyczy to wszystkich kolejnych ekip rządowych. Historia odgrywa bowiem w Polsce rolę szczególną, będąc nie tylko nauką (ten wymiar jest w zasadzie ograniczony do wąskich środowisk akademickich), ale przede wszystkim narzędziem oddziaływania elit politycznych i medialnych na ogół społeczeństwa. Stąd niewielkie zapotrzebowanie na historię jako rzetelną wiedzę o wydarzeniach i procesach z przeszłości, za to ogromne na propagandę historyczną, która ma służyć kształtowaniu obywateli i wyborców w duchu określonej ideologii (choć oczywiście nikt tego wprost nie mówi, a i samego słowa ideologia nikt nie używa, chyba że jako zarzutu wobec przeciwników).

Nic dziwnego, że szkolne nauczanie historii zawsze padało ofiarą propagandy historycznej, gdyż państwowy system oświaty stanowił i nadal stanowi ogromną pokusę dla polityków i ich ideologów. Tak było w czasach zaborów, gdy ze szkoły próbowano uczynić narzędzie rusyfikacji i germanizacji. Tak było w II RP, gdzie szkoła miała ukształtować obywateli lojalnych tyleż wobec niepodległego państwa, co wobec jego elity rządzącej, która tę niepodległość wywalczyła. Tak było oczywiście również w Polsce Ludowej, bo choć stopień ideologizacji edukacji historycznej słabł wówczas z każdą dekadą, nie ulegało wątpliwości, że właśnie historia miała być uzasadnieniem istnienia tego państwa, jego ustroju i położenia geopolitycznego.

Natomiast po roku 1989 nastąpił po części powrót do przedwojennej propagandy historycznej, a po części odreagowanie schematów PRL-owskich poprzez ich proste, czasem wręcz prostackie, odwrócenie: klerykalizm w miejsce antyklerykalizmu, antykomunizm w miejsce „rewolucyjnych tradycji”, antysowietyzm w miejsce „przyjaźni ze Związkiem Radzieckim”. Przy czym im większy wpływ na oblicze III RP zdobywała prawica, tym bardziej było to widać w szkolnych programach i podręcznikach.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Skrajnym tego przykładem stał się wprowadzony pod koniec rządów PiS nowy przedmiot dla szkół średnich, o nazwie historia i teraźniejszość, do którego kwintesencję prawicowej wizji świata i jego dziejów stanowił podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego. Słuszne oburzenie na to „dzieło" nie powinno jednak przysłaniać faktu, że ten sam prof. Roszkowski w pierwszej dekadzie III RP był czołowym autorem podręczników do historii zatwierdzanych przez kolejne ekipy – nawet niemające nic wspólnego z prawicą – które kierowały resortem edukacji. Współautorką tych podręczników była zresztą wiceminister Anna Radziwiłł, politycznie związana z Unią Wolności.

Kompas 26

A ponieważ polska prawica jest coraz radykalniejsza, to i jej stosunek do historii się zradykalizował, w czym największy udział ma oczywiście Instytut Pamięci Narodowej, a obecnie także wywodzący się z IPN lokator Pałacu Prezydenckiego. Pod prostacką wizją historii, jaką publicznie głosi dr Nawrocki, żaden szanujący się uczony by się nie podpisał, a jednak to właśnie Nawrocki i jego byli podwładni z IPN mają największy wpływ na kształtowanie świadomości historycznej nie tylko młodych pokoleń.

W tej sytuacji wprowadzenie przez Ministerstwo Edukacji Narodowej nowej podstawy programowej z historii wydaje się zadaniem mocno ryzykownym. Oczywiście „Reforma26. Kompas Jutra" obejmuje wszystkie przedmioty szkolne, więc nie tylko historia będzie budziła emocje przeciwników obecnego rządu. Wielkie rozgorączkowanie wywołuje choćby nowy przedmiot – edukacja zdrowotna. Nie miejmy jednak złudzeń, nowa podstawa programowa z historii też stanie się narzędziem walki politycznej, choć może jeszcze nie teraz.

Od 1 września br. weszły bowiem zmiany w klasie IV szkoły podstawowej – czyli tej, w której zaczyna się edukacja historyczna – natomiast 1 września 2027 r. nowe podstawy programowe wejdą w pierwszych klasach szkół ponadpodstawowych. I to wtedy należy się spodziewać głównego ataku na „Reformę26", tym bardziej że będzie to najgorętszy okres kampanii wyborczej i żadna z prawicowych partii nie zmarnuje okazji, by uderzyć w „antypolską" politykę „lewackiej" ministry Barbary Nowackiej w „niemieckim rządzie Tuska".

To zaś oznacza, że na żadną sensowną dyskusję na temat edukacji historycznej w Polsce nie ma co liczyć. A szkoda, bo dyskusja taka bardzo by się przydała – i to z udziałem prawdziwych fachowców, a nie krzykliwych polityków i rozgorączkowanych ideologów. Na szczęście jednak głos takich fachowców jakoś dochodzi do resortu edukacji, gdyż „Reforma26. Kompas Jutra" w zakresie historii idzie w kierunku, na jaki dotąd nie było szans. W oficjalnym dokumencie ministerialnym wymienione są postulaty nauczycieli – uzyskane w ramach konsultacji społecznych – które „starano się uwzględnić w nowej podstawie":

- ograniczenie wymaganych treści, tak by realizacja głównych zapisów podstawy programowej stała się wykonalna;
- odejście od encyklopedyzmu – przesunięcie akcentów z pamięciowego opanowywania materiału w stronę rozwijania umiejętności historycznych (analizy i interpretacji, krytycznego myślenia);
- poszerzenie autonomii nauczyciela;
- ograniczenie metod podawczych na rzecz metod aktywizujących;
- wzmocnienie rangi historii gospodarczej i społecznej, w tym historii kobiet, techniki, życia codziennego;
- zwiększenie nacisku na historię lokalną i regionalną,
- zwiększenie liczby godzin na historię najnowszą;
- zmiana wymagań szczegółowych przeznaczonych dla klasy IV,
- doprecyzowanie wymagań szczegółowych dotyczących wiedzy i umiejętności.

Od Mieszka do JP II

Przedostatni punkt oznacza przesunięcie początku „wielkiej opowieści o dziejach" z klasy V do IV (znajdzie się tam historia starożytna), co ma umożliwić rozszerzenie historii najnowszej na klasy VII i VIII. Dotąd bowiem w ostatniej klasie szkoły podstawowej nauczyciel miał przerabiać II wojnę światową i cały okres powojenny aż do naszych dni, co w praktyce było niemożliwe ze względu na brak czasu, egzaminy ósmoklasisty i skupienie się uczniów na awansie do szkoły średniej. Tym bardziej że w klasie IV na lekcjach historii obowiązywało omawianie katalogu najważniejszych postaci z dziejów Polski – od Mieszka I do Jana Pawła II – co oczywiście zawsze ma swój urok w wieku dziecięcym, lecz jednocześnie sugeruje uczniom, że historia to wiedza o „wielkich ludziach", a więc rodzaj narodowej hagiografii. Takie przekonanie bardzo trudno potem wyperswadować dorosłym już obywatelom naszego kraju, którzy poważnej historii zwykle nie rozumieją i nawet nie chcą zrozumieć.

Pod prostacką wizją historii, jaką publicznie głosi dr Nawrocki, żaden szanujący się uczony by się nie podpisał.

Z drugiej strony nie stanie się żadne nieszczęście, gdy z podręczników szkolnych zniknie wiele szczegółowych informacji, które uczniom – zwłaszcza na poziomie podstawówki – nie są do niczego potrzebne, a wręcz zniechęcają do historii, która jawi się im jako nauka nudna i niezrozumiała.

Pisał o tym już wiele lat temu znany poznański historyk, prof. Waldemar Łazuga, w tekście pod wymownym tytułem „Czy historia (w szkole) da się lubić?": „Biorę do ręki podręcznik do klasy VIII, który zaskakuje ciężarem, a poraża objętością: w środku prawdziwy festiwal faktograficzny, którego nie powstydziłby się niejeden akademicki skrypt: nazwiska i daty, daty i nazwiska. Pierwszo-, drugo- i czwartorzędne. Wymieniane »ciurkiem« – bez zauważalnej dbałości

eprasa.pl e6ffbd3fc1

o jakąś hierarchizację i proporcje. Jak w tym wszystkim miałby się połapać 15-letni uczeń – nie umiem sobie wyobrazić. W podręczniku nie ma intrygi, dramatów, zmagań, spraw i śladów jakichkolwiek sporów czy wyborów. Nie dzieje się właściwie nic i nic nie przykuwa uwagi. Informacje kapią miarowo jak woda z kranu. Narracja jest rodzajem ewidencji. Ewidencja – narracją. Co tu jest do »rozumienia« – trudno zgadnąć" („Rzeczy większe i mniejsze", Poznań 2002, s. 287).

Ów grzech encyklopedyzmu, obecny w polskiej edukacji na wszystkich szczeblach i we wszystkich przedmiotach, wynika nie tylko z nadmiernie rozbudowanych podstaw programowych, które wydawcy podręczników muszą upchnąć w swoich produktach książkowych. Drugą stroną medalu jest jakość naszego pisarstwa historycznego, która niestety od dawna spada. Szczególnie widoczne jest to właśnie w podręcznikach – o ile jeszcze w czasach PRL podręczniki do historii i języka polskiego pisali najwybitniejsi humaniści, którzy władali świetnymi piórami, o tyle dziś ogromna większość książek szkolnych tworzona jest przez ludzi kompletnie nieznanych, bez żadnego dorobku i, co gorsza, talentu literackiego. Wiele podręczników już dziś sprawia wrażenie, jakby były pisane przez sztuczną inteligencję – wszak śladów inteligencji prawdziwej raczej w nich nie widać.

Szansa na zmiany

Oczywiście nie mogło być inaczej, skoro i w tę dziedzinę z impetem wkroczył wolny rynek, a wydawcą podręczników może być praktycznie każdy. Prywatne oficyny ścigają się więc głównie na atrakcyjność wizualną swoich produktów, za to strona narracyjna wyraźnie stanowi sferę objętą „cięciem kosztów". Niestety, resort edukacji bez problemu akceptuje taką produkcję, za którą przecież płaci – przynajmniej w przypadku podręczników do podstawówek, które dla uczniów są refundowane poprzez szkoły.

Wprawdzie zmiana ta, wprowadzona kilkanaście lat temu przez rząd Donalda Tuska, znacznie odciążyła budżety wielu rodzin, ale – jak wiele trafnych zmian w Polsce – pozostała dziurawa i niedokończona. Wydawcy bowiem masowo produkują tzw. zeszyty ćwiczeń lub karty pracy, za które rodzice zwykle muszą już płacić z własnej kieszeni, a które są najczęściej zupełnie niepotrzebne i mogłyby stanowić integralną część podręcznika. A podręczniki do szkół średnich to sfera wyłącznie komercyjna, choć poprzedni rząd Tuska zapowiadał tu wprowadzenie tego samego mechanizmu refundacji, co w przypadku podstawówek. Nie podjął tego później ani rząd PiS, ani obecny, a sam temat zniknął i nikt go nie porusza, choć oficjalnie państwowa edukacja w Polsce nadal jest bezpłatna.

Czy nowa podstawa programowa stanie się impulsem do tworzenia lepszych podręczników do historii? Jedno jest pewne: trudno o lepszą szansę na takie zmiany. Jeżeli ma być mniej wiedzy encyklopedycznej, a więcej analizy i interpretacji oraz krytycznego myślenia, więcej historii gospodarczej i społecznej (należy rozumieć, że kosztem politycznej i militarnej, które zawsze dominowały) oraz dziejów lokalnych i regionalnych, to siłą rzeczy podręczniki muszą wyglądać zupełnie inaczej. Tylko czy nasi wydawcy będą potrafili zmienić dotychczasowe nawyki, a resortowi urzędnicy w końcu przestaną akceptować ich bylejakość?

Dobra edukacja to jednak przede wszystkim zasługa nauczycieli. Dobrze, że ministerstwo chce poszerzyć ich autonomię. Wszak nauczyciel powinien być nie bezmyślnym wykonawcą polityki edukacyjnej państwa, ale prawdziwym mistrzem i przewodnikiem dla swoich uczniów. Jak z tym będzie w praktyce? W rozporządzeniu ministry Nowackiej z 11 marca br., które wprowadza nowe podstawy programowe dla szkół podstawowych, historii poświęcono 25 stron (147-172). Większość tego tekstu stanowią „wymagania szczegółowe dotyczące wiedzy i umiejętności". Można w nich dostrzec wyraźne przesunięcie na korzyść historii życia codziennego w różnych epokach oraz historii kobiet, czyli sfer dotąd traktowanych marginalnie.

Przy czym historia kobiet najbardziej widoczna jest w eksponowaniu żeńskich bohaterek naszych dziejów, które mają być wydobywane na równi z męskimi. Na przykład przy powstaniu listopadowym mają być uwzględniane postacie Emilii Plater i Piotra Wysockiego, przy powstaniu styczniowym – Anny Pustowójtówny i Romualda Traugutta, w części omawiającej kulturę i naukę w II RP figurują zaś Stefan Banach, Jan Czochralski,



eprasa.pl e6ffbd3fc1

Kazimierz Funk, Jan Kiepura, Halina Konopacka, Janusz Korczak, Pola Negri i Alfred Tarski – co jest wyliczanką dosyć przypadkową i ogólnie niezrozumiałą, a z punktu widzenia historii kobiet niezbyt przemyślaną (modne przed wojną gwiazdy sportu i filmu – Konopacka i Negri – obok wybitnych uczonych i artystów płci męskiej).

Ogromna naiwność

Jeszcze bardziej zdumiewające są fragmenty podstawy programowej dotyczące dziejów najnowszych. Oto w akapicie przedstawiającym „realia życia w powojennej Polsce" w okresie 1944-1956 zapisano taką wyliczankę: „cenzura, degradacja i ochrona środowiska, deklasacja i awans społeczny, gospodarka centralnie sterowana, industrializacja, kolektywizacja, Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, kult jednostki, nacjonalizacja, pozycja kobiet, pozycja osób z niepełnosprawnościami, reforma rolna, represje, socrealizm, stalinizm, system monopartyjny, żołnierze niezłomni, w tym uwzględniając postać Danuty Siedzikówny »Inki«".

Z kolei we fragmencie dotyczącym dziejów PRL w latach 1956-1979 mamy następującą składankę: „obchody milenijne, opozycja demokratyczna, »polskie miesiące«, propaganda sukcesu, w tym uwzględniając postacie: Jacka Kuronia, Jana Olszewskiego, Karola Wojtyły (Jana Pawła II), Stefana Wyszyńskiego". Dalej pojawia się „postać Zbigniewa Godlewskiego jako symbol oporu społecznego wobec władz partyjno-państwowych", uczeń zaś „podejmuje próbę oceny jego postawy z perspektywy własnego i ówczesnego systemu wartości oraz formułuje opinię i podejmuje dyskusję w tej sprawie".

Wynika z tego, że można ukończyć szkołę podstawową i nie usłyszeć o Bierucie, Gomułce, Gierku i Jaruzelskim – bo żadne z tych nazwisk nie pojawia się w nowej podstawie – ale trzeba poznać postać nieszczęsnej „Inki", która ma symbolizować „żołnierzy niezłomnych" (choć przecież nawet oficjalne święto państwowe mówi tylko o „żołnierzach wyklętych") i równie nieszczęsnego Zbyszka Godlewskiego, czyli sławnego „Janka Wiśniewskiego" z piosenki o wydarzeniach grudnia 1970 r.

Dlaczego autorzy podstawy uznali, że tych dwoje tragicznie zmarłych 18-latków to najlepsza ilustracja powojennego 45-lecia? I dlaczego dołączono do nich jeszcze Jana Olszewskiego, który – jak należy rozumieć – na równi z Jackiem Kuroniem ma uosabiać przedsierpniową opozycję? Czy chodziło o to, by wszechwładny (przynajmniej w zakresie historii najnowszej) IPN nie ocenił zreformowanej podstawy jako zbyt mało patriotycznej?

Jeżeli tak, to obecne kierownictwo resortu edukacji wykazuje ogromną naiwność. Ani IPN, ani patronująca mu prawica nie uznają bowiem tego typu kompromisów. Dla nich historia ma być jednoznaczna: antykomunistyczna, klerykalna, nacjonalistyczna, bez żadnych dyskusji ani wątpliwości, a już na pewno bez „feministycznych" czy „ludowych" herezji.

Całość programu „Reforma26. Kompas Jutra" została zaplanowana na pięć lat. Każdego roku wchodzić ma w życie nowa podstawa dla kolejnej klasy. Tyle że będzie to możliwe jedynie w sytuacji, gdy obecna koalicja rządowa utrzyma władzę po przyszłorocznych wyborach. A na to raczej się nie zanosi.

Nie miejmy złudzeń, jeśli pełnię władzy w Polsce przejmie prawica pod patronatem Nawrockiego, cała reforma ministry Nowackiej zostanie wyrzucona do kosza. A to oznacza, że już za dwa lata nowy rząd może wprowadzić własną podstawę programową, zwłaszcza w tak ważnej dla prawicy dziedzinie jak historia. Przemysław Czarnek ma już w tym doświadczenie…

Cała nadzieja w nauczycielach. To właśnie oni, autentyczni entuzjaści historii – bo chyba tylko tacy utrzymali się w tym zawodzie – mogą zahamować spadek zainteresowania prawdą o przeszłości i dramatycznie rosnącą ignorancję społeczną. Zwłaszcza co do tej lokalnej historii, która w propagandowych kliszach mieści się w najmniejszym stopniu.

Oczywiście nie należy liczyć, że historia znów będzie odgrywała taką rolę jak w okresie Polski Ludowej. Inne mamy czasy, inną kulturę masową, która w PRL budowała świadomość historyczną. Dziś zaledwie 7-8% absolwentów liceów i 2-3% absolwentów techników wybiera historię jako przedmiot egzaminacyjny na maturze. Trzeba robić wszystko, aby te liczby przynajmniej się nie zmniejszały.

Paweł Siergiejczyk

LIST

Nagroda im. Henryka Panasa – laureaci to osobowości

W relacji z gali VI edycji Nagrody im. Henryka Panasa, która odbyła się 15 września br. w Olsztynie, zabrakło istotnej informacji o dotychczasowych laureatach, którzy – jak wspomniał na uroczystości red. Jerzy Domański – stanowią siłę tego wyróżnienia. Są to: Krzysztof Daukszewicz, Aleksander Kwaśniewski, Wacław Radziwinowicz, Wiktor Marek Leyk i Magdalena Rigamonti. To postacie znane i szanowane w środowisku kulturalnym zarówno regionu, jak i całej Polski, ale przede wszystkim OSOBOWOŚCI, zasługujące na taką prestiżową nagrodę.


KRAJ

Tomasz Śrutkowski laureatem Nagrody im. Henryka Panasa 2026

Warto dodać, że tegoroczna uroczystość wręczenia statuetki z wizerunkiem Henryka Panasa nie miałaby szans na realizację, gdyby nie bezinteresowne wsparcie sponsorów, a właściwie naszych przyjaciół, w tym Ryszarda Kokota, prezesa firmy Polkard, czy Andrzeja Ryńskiego, byłego marszałka województwa i do niedawna prezesa firmy Remondis Warmia i Mazury, jak również dwóch innych, którzy wolą pozostać w cieniu. Doceniamy nieustającą życzliwość wicewojewody Zbigniewa Szczypińskiego i wicestarosty Artura Wrochny, a także obecność na gali – poza synem Jackiem – dwóch innych potomków patrona nagrody, znakomitego pisarza i redaktora: wnuka Macieja i prawnuka Kacpra Wilczków.

Katarzyna Leśniowska
sekretarz Kapituły Nagrody Panasa

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Kto zarabia na jabłkach, gdy sadownicy tracą



Marek Czarkowski

Środa, 16 września 2026 r., powiat grójecki. Ciągnik z przyczepą stoi na betonowym placu przed punktem skupu, a sadownik otwiera burty, tak jakby odkrywał karty w grze, w której skazany jest na przegraną. Jabłka spadają z głuchym odgłosem – drobne, pobrużdżone.

Pracownik skupu zerka na wilgotnościomierz, potem na kartkę z cennikiem i mówi: „60 do 68 gr za kilogram, netto, luzem, bez skrzynek".

Mężczyzna liczy w pamięci – paliwo, robocizna, amortyzacja skrzyń – i wychodzi mu, że z proponowanej ceny zostanie tyle co nic. O kosztach ochrony roślin, nawożenia i ratach kredytu obrotowego nie ma sensu wspominać. I krew go zalewa, gdy pomyśli o jabłkach sprzedawanych na bazarach po 5-6 zł, a nawet 9 zł za kilogram.

To scena opisywana w dziesiątkach relacji na internetowych forach sadowniczych czy przez gospodarzy cytowanych w portalach branżowych, powtarzana od Grójca po Sandomierz.

Według wstępnych szacunków Głównego Urzędu Statystycznego ogłoszonych 30 lipca br. tegoroczna produkcja jabłek, stanowiących największą część krajowych zbiorów owoców, wyniesie niespełna 3,1 mln ton, co oznacza spadek o 19,5% w odniesieniu do 2025 r. Zbiory gruszek zmaleją o 14,4% – do 67,4 tys. ton, śliwek o 4,1% – do 113,1 tys. ton, wiśni o 10,8% – do 125,8 tys. ton, a czereśni o 16,6% – do 48,6 tys. ton. Branżowe oceny World Apple and Pear Association (WAPA) mówią o spadku nawet o 30%.

W klasycznym rozumieniu ekonomii mniejsza podaż powinna oznaczać wyższą cenę. Jednak w Polsce na bramach skupów przemysłowych odnotowano we wrześniu ceny od 0,54 do 0,77 zł za kilogram. Sadownikom najczęściej płacono w przedziale 0,60-0,68 zł za kilogram jabłek przemysłowych. Były to stawki podobne do tych sprzed roku, gdy owoców było więcej. Ten paradoks rodzi pytanie: kto zarabia w tym sezonie na jabłkach, gruszkach i innych owocach, skoro nie sadownicy?

Bitwa liczb

Polskie sadownictwo żyje w dziwnej rzeczywistości. Jedną opisuje urzędowy język GUS – suchy, metodyczny, zawsze spóźniony o kilka tygodni w stosunku do krajowych realiów. Jest też język branżowy organizacji sadowniczych, gorący, emocjonalny, bo używany przez ludzi, którzy jeśli nie zarabiają, to tracą pieniądze.

I jest międzynarodowy język World Apple and Pear Association, w którym raz w roku na konferencji

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Prognosfruit ogłoszony zostaje „wyrok”, na który czeka cała Europa. Na tegorocznej sierpniowej konferencji w Konstancji nad Jeziorem Bodeńskim w Niemczech WAPA oceniła produkcję jabłek w objętych prognozą krajach na 9,5 mln ton, co oznaczało spadek o 15,6% w stosunku do ubiegłego roku. Dla samej Polski podano liczbę prawie 2,7 mln ton, czyli spadek rzędu 30%.

Różnica między szacunkiem GUS a tą liczbą to ok. 400 tys. ton. Czyli nie statystyczny drobiazg. 400 tys. ton to także pytanie, ile jabłek trafi do przemysłu, który wyprodukuje z nich dziesiątki tysięcy ton koncentratu. Czy oznacza też tysiące ton jabłek deserowych mniej w chłodniach?

Dla sadownika z Grójca ta rozbieżność zdecyduje, czy w materiale telewizyjnym usłyszy on słowo „korekta” czy „katastrofa”. Dla zarządów dużych zakładów przetwórczych to ważna kwestia: czy warto będzie w tym roku spekulować na spadku ceny skupu, czy może sięgnąć po jabłka lub koncentrat z importu? A dla eksporterów – czy podpisywać kontrakty na duże dostawy do Egiptu i Kazachstanu, czy ograniczyć ofertę?

Te dwie opisane wielkości nie mogą być prawdą, choć istnieje proste wytłumaczenie. Różnica może wynikać z odmiennych definicji produkcji jabłek, którymi posługują się GUS i WAPA. Konsekwencje owej różnicy nie są jednak prozaiczne.

Mniejsza podaż jabłek w bieżącym roku jest faktem, bez względu na to, czy spadek wyniósł 19,5%, czy 30%. Ważne, że na razie nie przełożył się on na wyższą cenę proponowaną sadownikom sprzedającym jabłka, zwłaszcza w segmencie przemysłowym. Oznacza to, że gdzieś w schemacie: skup, słaba pozycja negocjacyjna sadowników, istniejące zapasy plus import, występują siły, które nie pozwalają polskim producentom jabłek zarabiać. A to jest zawsze zły znak.

W tym roku decydującym czynnikiem, który wpłynął na zbiory owoców, była pogoda. Musimy pamiętać, że w Polsce sezon na jabłka zaczyna się nie we wrześniu, przy bramie skupu, lecz w marcu, gdy sady budzą się po zimie, która w tym roku była wyjątkowo ciężka.

Po niej zaś nastąpiła wyjątkowo ciepła meteorologiczna wiosna. Według Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej tegoroczny marzec był trzecim najcieplejszym marcem od roku 1951. Średnia temperatura wyniosła 6,4 st. C, o 3,3 stopnia powyżej standardowej temperatury, przy opadach stanowiących zaledwie 28,6% normy z ostatnich dekad.

Naukowcy zauważyli, że gleba nagrzała się niczym piec, a pąki w grójeckich i sandomierskich sadach zbyt szybko napęczniały. Sadownicy wiedzieli, że ciepły i suchy marzec jest zapowiedzią kłopotów, jeśli po nim przyjdzie mróz. I przyszedł. Pod koniec kwietnia lokalnie temperatury w Polsce spadały do minus 4, minus 5 st. Dokładnie w okresie kwitnienia jabłoni i grusz.

W Polsce sezon na jabłka zaczyna się nie we wrześniu, przy bramie skupu, lecz w marcu, gdy sady budzą się po zimie.

Dla jabłoni w pełnym kwitnieniu strata na poziomie 10% zaczyna się już przy minus 2,9 st. C, a przy minus 4,7 st. straty mogą sięgnąć 100%. Dla grusz progi te są niemal identyczne. Ocena GUS z maja br. mówiła o lokalnych spadkach temperatury nawet do minus 9 st. Gdy mróz uderzał w otwarte na drzewach kwiaty albo w zawiązki, było po wszystkim. I sadownicy o tym wiedzieli.

Lecz krajobraz strat nie był jednorodny. Rejon grójecko-warecki, historyczne serce polskich sadów jabłoniowych, znajduje się na Mazowszu, gdzie lokalne zastoiska chłodnego powietrza w dolinach zabijały kwiaty nawet tam, gdzie oficjalne stacje meteorologiczne notowały „tylko” minus 2 st. C.

Lepsza była sytuacja na Sandomierszczyźnie, która ma inny mikroklimat i inną strukturę odmian jabłoni. Za to Lubelszczyzna wypadła w tym roku dramatycznie, choć nie z powodu niskich wiosennych temperatur. Winna była susza. Według danych na koniec lata aż 94% tamtejszych gmin ucierpiało z powodu braku wody. Do tego w całym kraju swoje rozdziały dopisało lato. Czerwiec był ekstremalnie ciepły, w lipcu w Legnicy odnotowano temperaturę plus 37,8 st., sierpień także okazał się cieplejszy niż zazwyczaj. Wszystkie te czynniki miały fatalny wpływ na wielkość zbiorów jabłek, lecz w żaden sposób nie odbiło się to na wysokości cen w skupie.

Dole i niedole największego producenta

Polska od lat jest największym w Unii Europejskiej producentem jabłek. Zbierając w ostatniej dekadzie rocznie od 3,8 do 4,6 mln ton, wyprzedzamy Włochy, Francję, Niemcy i Hiszpanię. Jesteśmy też światową potęgą w produkcji koncentratu jabłkowego, którego używa się nie tylko do produkcji soków i napojów, lecz także do słodzenia jogurtów, deserów, musów owocowych, produktów dla dzieci, dżemów i marmolad. Szacuje się, że 85-95% wytwarzanego nad Wisłą koncentratu jabłkowego trafia na eksport, którego wartość w ubiegłym roku wyniosła 1,7 mld zł.

Rok 2025 okazał się wyjątkowo udany pod względem zbiorów i sprawił, że w tegoroczny sezon weszliśmy ze sporym zapasem jabłek zgromadzonym w chłodniach oraz zapasem koncentratu jabłkowego. W praktyce oznaczało to, że firmy zajmujące się dziś skupem jabłek przemysłowych nie zaoferują wyższych cen, gdyż wiedzą, że wielcy producenci koncentratu nie kupią od nich zbyt wiele surowca.

Ich pozycję wzmacnia fakt, że mają do czynienia z pojedynczymi sadownikami, którzy mogą szukać punktów skupu najwyżej w promieniu 50 km od ich gospodarstw. Dalej nie opłaca się im wozić jabłek, zwłaszcza jeśli cena oleju napędowego przekracza 9 zł za litr. A jeśli

eprasa.pl e6ffbd3fc1

z powodu wiosennych przymrozków i suszy owoce są niskiej jakości, perspektywa jakiegokolwiek zarobku staje się iluzoryczna.

Jest jeszcze rynek jabłek deserowych, który rządzi się innymi prawami. Za takie odmiany jak Gala, Lobo, Red Jonaprince, Golden Delicious, Idared, Szampion czy Ligol można w skupie uzyskać o wiele wyższą cenę, zwłaszcza jeśli owoc jest klasy premium.

Tu sytuacja jest lepsza, szczególnie gdy właściciel sadu ma własną chłodnię i nie musi się śpieszyć ze sprzedażą jabłek. Można powiedzieć, że tacy producenci jabłek deserowych to ekstraklasa wśród sadowników. Wiedzą oni, że za kilka miesięcy będą mogli sprzedać je drożej. Lecz takich gospodarzy w Polsce nie ma zbyt wielu. I na kaprysy pogody narażeni są tak samo.

Lepiej mają obecnie producenci gruszek, które w skupie uzyskują znacznie wyższe ceny, sięgające 4-4,50 zł za kilogram. W tym przypadku mniejsza krajowa podaż przełożyła się na wyższą niż w roku ubiegłym cenę.

A jeśli kogoś oburza wysoka cena owoców na sklepowych półkach czy na bazarach, musi sobie uświadomić, że między drzewami w sadzie a stoiskami są jeszcze sortownie owoców, chłodnie, transport, koszty opakowań, a czasem grupy producenckie. Różnica między ceną jabłek czy gruszek w skupie a ich ceną w handlu detalicznym nie jest więc czystą marżą, lecz odzwierciedleniem „budżetu operacyjnego" środkowego odcinka opisanego łańcucha dostaw.

Gdy jabłka trafiają do wielkiej sieci handlowej, żądającej w zamian za dostęp do półki w supermarkecie stałości dostaw i długich terminów płatności, cena za kilogram może zimą wzrosnąć do nawet 7 czy 9 zł.

Z tego jednak niewiele trafia do sadowników, gdyż wszystko rozpływa się w sortowniach, chłodniach, transporcie, reklamie, marketingu i marżach pobieranych przez kolejne ogniwa łańcucha. Czy wolno się dziwić, że rolnicy, widząc ceny swoich produktów na bazarkach i półkach sklepowych, mają poczucie niesprawiedliwości?

Kto rozdaje karty

Polski rynek jabłek przypomina mgławicę. To setki punktów skupu, kilkanaście dużych zakładów przetwórczych, dziesiątki organizacji producentów i tysiące gospodarstw sprzedających owoce często „w bramie".

Nasze wielkie marki sokowe, takie jak Maspex z przychodami rzędu 5,9 mld zł czy Hortex, operują w skali przyprawiającej o zawrót głowy. Lecz ich „przychód z jabłek" jest tylko fragmentem i bywa, że – jeśli pojawi się okazja – potrzebny im koncentrat jabłkowy kupują w dowolnym miejscu na świecie.

Z tego powodu w szczycie sezonu to wielcy producenci i hurtownicy dyktują warunki. A że producenci i eksporterzy koncentratu jabłkowego nie pozbyli się jeszcze ubiegłorocznych zapasów, nie śpieszą się z zakupami tegorocznych zbiorów jabłek przemysłowych, po cichu przerzucając koszt i ryzyko na sadowników. Bo przecież może się okazać, że jabłka i koncentrat z innych kierunków będą tańsze.

To ważny trop, lecz bez bilansu importu z Chin, Ukrainy czy Mołdawii oraz danych o zapasach tego produktu w kraju trudno powiedzieć, o ile groszy ta presja obniżyła stawki w punktach skupu w okolicach Grójca. Oznacza to, że w tym sezonie polski sadownik produkujący jabłka przemysłowe zmuszony jest finansować własnym ryzykiem cudzą stabilność surowcową. W segmencie jabłek deserowych premium ci, którzy mają produkt wysokiej jakości, własną chłodnię i korzystny kontrakt, nie stoją pod ścianą, lecz nie jest to historia większości gospodarzy spod Grójca czy Sandomierza.

Dopóki cena w skupie nie reaguje na spadek podaży, proporcjonalnie do wzrostu ryzyka, jakie bierze na siebie sadownik, opowieść o „rynku, który nagradza niedobór", jest piękną bajeczką z podręcznika ekonomii – lecz nie tym, co dzieje się realnie.

Sytuacja byłaby inna, gdyby nasi sadownicy zorganizowali się w duże spółdzielnie lub choćby grupy producenckie, jak ma to miejsce w takich państwach jak Dania. Gdyby takie organizmy dysponowały własnymi chłodniami, sortowniami, hurtowniami, transportem i biurami handlu zagranicznego i gdyby ich działania wspierał bank rolny z prawdziwego zdarzenia, którego dziś tak bardzo w Polsce brakuje, położenie sadowników byłoby o niebo lepsze.

Wielokrotnie postulowaliśmy na łamach „Przeglądu" powołanie takiej instytucji finansowej. Zyskaliby na tym nie tylko rolnicy, ale też klienci. Stracili natomiast ci, którzy rozdają dziś karty i korzystają z dominującej pozycji na rynku.

Marek Czarkowski



eprasa.pl e6ffbd3fc1

Wiatr od wschodu

Alternatywa dla Niemiec demoluje niemiecką politykę

Krzysztof Pilawski

„Zastąpiliśmy CDU jako partię ludową”, ogłosiła współprzewodnicząca Alternatywy dla Niemiec Alice Weidel nazajutrz po wyborach do parlamentów krajowych w Meklemburgii-Pomorzu Przednim i Berlinie, dwa tygodnie po wyborach w Saksonii-Anhalt.

Ta 47-letnia szczupła polityczka z gładko zaczesanymi do tyłu włosami ma liczne powody do satysfakcji. Z wykształcenia jest ekonomistką, spędziła sześć lat w Chinach, pracując w BOC/Bank of China i przygotowując doktorat z chińskiego prawa emerytalnego. W jej zawodowym CV figurują inni globalni giganci: Goldman Sachs i Allianz.

O życiu prywatnym Weidel na portalu Bundestagu można przeczytać: „Dwoje dzieci, związek partnerski”. Ów związek z pochodzącą ze Sri Lanki producentką filmową Sarah Bossard nie został zarejestrowany, razem wychowują dwóch przysposobionych chłopców, mieszkają w Szwajcarii.

Do AfD Weidel przystąpiła w 2013 r. To wtedy ugrupowanie założyli przeciwni wspólnej walucie europejskiej eksperci ekonomiczni i profesorowie ze środowiska akademickiego. Od 2017 r. Weidel należy do grona wiodących polityków Alternatywy. Współprzewodniczącą została w 2022 r. – niedługo po nieudanych dla AfD wyborach do Bundestagu (niewiele ponad 10% poparcia). W kolejnych wyborach, w lutym ub.r., brała udział jako pierwsza oficjalna kandydatka AfD na kanclerza Niemiec. Kierowana przez nią partia przebiła granicę 20%, ustępując jedynie Unii Chrześcijańsko-Demokratycznej. W lipcu tego roku przeszło 80% delegatów zebranych na zjeździe Alternatywy w Erfurcie oddało głos na Weidel w wyborach na współprzewodniczącą. Drugi ubiegający się o reelekcję współprzewodniczący, Tino Chrupalla, miał ponad 10% mniej.

Katastrofa CDU w Meklemburgii

Wrześniowe wybory do trzech parlamentów krajowych przyniosły



Alice Weidel, współprzewodnicząca AfD i klubu parlamentarnego Alternatywy w Bundestagu.



Manuela Schwesig, premier i przewodnicząca SPD w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, podczas zjazdu partii w Berlinie, 11 stycznia 2025 r.

FOT. IMAGO STOCK AND PEOPLE/ EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Alice Weidel mocne uzasadnienie tezy o zmierzchu CDU i zajęciu jej miejsca przez Alternatywę. W Saksonii-Anhalt Alternatywa poprawiła swój wynik wyborczy sprzed pięciu lat o 23%, chadecy zaś stracili niemal 20%. Wynik partyjnego pojedynku: 39 z 83 mandatów deputowanych dla AfD, jedynie 15 dla CDU.

Katastrofą dla partii urzędującego kanclerza Friedricha Merza okazały się wybory w Meklemburgii-Pomorzu Przednim. AfD zyskała w nich 21,5%, CDU straciła przeszło 8% i w efekcie nie dociągnęła do pięcioprocentowego progu. Chadecy nie będą mieli reprezentacji w tamtejszym parlamencie krajowym. To sytuacja bez precedensu. Za to Alternatywa w Meklemburgii zajmie 32 z 71 miejsc.

W najtrudniejszym dla AfD Berlinie partia Weidel przegrała z CDU, ale w porównaniu z poprzednimi wyborami zmniejszyła dystans do niej z 19% do zaledwie 2,5%. W 158-osobowej Izbie Deputowanych AfD zajmie 29 miejsc, CDU – 34.

Alternatywa wygrała w dwóch z trzech landów, CDU w żadnym. Wyborcami Alternatywy są częściej mężczyźni niż kobiety, młodsi niż starsi, mieszkańcy mniejszych miejscowości, osoby słabiej wykształcone, oceniające swoją sytuację materialną jako niedobrą. Jednak bardziej niż płeć, wiek, wykształcenie czy zasobność portfela zwolenników AfD łączy sceptycyzm wobec demokracji i przybierająca na sile za naszą zachodnią granicą postawa autorytarna.

Triumf AfD umacnia niezwykle wysoka frekwencja we wszystkich trzech landach: od 74% w Berlinie do ok. 80% w Saksonii-Anhalt i Meklemburgii. Alternatywie nie przeszkodziło nierówne traktowanie w finansowanych przez zwolenników wszystkich partii mediach publicznych ani blokowanie finansowania z budżetu zaprzyjaźnionej z nią Fundacji im. Erazma z Rotterdamu, kierowanej przez Erikę Steinbach. Bliskie głównym partiom fundacje polityczne otrzymują rocznie z budżetu federalnego ok. 700 mln euro, znacznie więcej niż same partie. Również tzw. zapora ogniowa, bojkot przez inne partie, nie zapobiegła wzrostowi poparcia dla AfD.

Moskwa bliżej niż Bruksela

To wszystko działa na korzyść partii Weidel, umacnia jej wizerunek jako jedynej formacji antysystemowej i jedynej wyrażającej interesy Niemiec i Niemców, a nie elit europejskich i Brukseli. W jednym z badań przed wyborami w Saksonii-Anhalt przeszło 80% respondentów deklarujących poparcie AfD opowiedziało się za radykalną zmianą obecnej polityki, jedynie co dziesiątemu wystarczyłaby korekta kursu.

Alternatywa dla Niemiec jawi się jej wyborcom jako rzeczywista alternatywa: uwolni kraj od migrantów, usunie hamulce narzucone Niemcom przez Brukselę: odrzuci unijną politykę energetyczną i zniesie sankcje wobec Rosji. Wysokie ceny energii boleśnie uderzyły w Saksonię-Anhalt, której gospodarka tradycyjnie opierała się na energochłonnym przemyśle chemicznym. Z kolei Meklemburgia mocno ucierpiała na zamknięciu gazociągu Nord-Stream, obie jego nitki kończą się w położonym w tym landzie niewielkim mieście Lubmin. Obietnica przywrócenia importu tanich rosyjskich surowców energetycznych, które ponownie nadadzą sens określaniu Niemiec jako „fabryki Europy", napędzała kampanię AfD.

Dwa dni przed wyborami w Saksonii-Anhalt Volkswagen – właściciel m.in. tak renomowanych marek jak Audi, Porsche czy Lamborghini – ogłosił plany redukcji zatrudnienia do końca obecnej dekady o 100 tys. pracowników. Politycy AfD wykorzystali tę informację do ataku na rząd, który ulega dyktatowi klimatycznemu Brukseli i ma za nic los niemieckich rodzin. AfD ma własny przyczółek w koncernie – Alternatywny Związek Zawodowy Centrum. „Im więcej nas jest, tym więcej możemy zdziałać!" – tym hasłem Centrum stara się powiększyć swoje szeregi. Związek próbuje wprowadzić swoich kandydatów do rad zakładowych, by uzyskać wpływ na przedsiębiorstwa.

Alternatywa dla Niemiec jawi się jej wyborcom jako rzeczywista alternatywa: uwolni kraj od migrantów, usunie hamulce narzucone przez Brukselę.

Strach socjaldemokratów

Aktywność AfD w środowisku pracowników przemysłu budzi niepokój socjaldemokratów tradycyjnie mających najsilniejsze wpływy w związkach zawodowych. Gospodarka przeżywa trudne chwile, zapowiadający restrukturyzację oraz kolejne cięcia i oszczędności Friedrich Merz został wygwizdany na majowym kongresie związków zawodowych, a przecież SPD tworzy z chadekami rząd.

W trakcie wrześniowej kampanii politycy SPD starali się odciąć od niepopularnych decyzji i planów gabinetu Merza. Skutecznie robiła to premierka Manuela Schwesig w Meklemburgii. Zaciekle atakowała planowaną przez rząd likwidację możliwości przejścia na emeryturę po 45-letnim okresie składkowym/

Przegląd
ZAPISZ SIĘ NA NEWSLETTER na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e6ffbd3fc1

stażu pracy bez obniżenia wysokości świadczenia. Schwesig powoływała się na badanie, zgodnie z którym ponad 80% mieszkańców Meklemburgii ocenia wprowadzane przez rząd reformy jako niesprawiedliwe. To głównie dzięki niej SPD w Meklemburgii zanotowała tylko kilkuprocentowy spadek, zdobywając przeszło jedną trzecią głosów. Reagując po wyborach na zarzut Friedricha Merza, że odpowiada za wynik CDU w Meklemburgii, stwierdziła ironicznie: „Zdążyłam przywyknąć do hasła: »To wina Schwesig«".

Krytykujący rząd szef berlińskich struktur SPD Steffen Krach nie uratował partii przed klęską. Socjaldemokraci zanotowali w stolicy Niemiec najgorszy wynik po zjednoczeniu – 12%. Przestraszone kierownictwo SPD zwołało na grudzień konwencję z programem powrotu do socjaldemokratycznych korzeni. By projekt się powiódł, konieczne byłoby wyjście z koalicji z chadekami.

Lewica zdobyła Berlin

Historyczny sukces w stolicy Niemiec odniosła Lewica – Die Linke, powstała w 2007 r. ze zjednoczenia Partii Demokratycznego Socjalizmu i zachodnioniemieckich środowisk radykalnej lewicy. Reprezentująca interesy spauperyzowanego mieszczaństwa i obawiającej się o przyszłość młodzieży Lewica uzyskała przeszło jedną czwartą głosów. Jej wpływy w innych częściach wschodnich Niemiec są znacznie słabsze niż dawnej PDS. W Saksonii-Anhalt i Meklemburgii straciła po kilka procent, zdobywając odpowiednio 8,6% i 6,5%.

W tym ostatnim landzie Lewica współrządzi z SPD. Po wrześniowych wyborach czerwono-czerwona, jak ją nazywają, koalicja utraciła większość mandatów. Podobnie jak koalicja CDU-SPD w Berlinie, a także koalicja CDU-SPD-FDP w Saksonii-Anhalt.

Alternatywa dla Europy

Alternatywa nie zrealizowała głównego celu – uzyskania bezwzględnej większości mandatów deputowanych w jednym z landów na wschodzie Niemiec. Nie ma szans na stworzenie rządu w Berlinie i Meklemburgii, ale trudno sobie wyobrazić nowy rząd w Saksonii-Anhalt bez jej udziału. Możliwe są różne scenariusze, w tym formalne lub nieformalne porozumienie z BSW, Sojuszem Sahry Wagenknecht. Jego liderka – nie tak dawno czołowa polityczka i gwiazda medialna Lewicy – chce zaostrzenia polityki migracyjnej i odbudowy relacji z Rosją. Z punktu widzenia Alice Weidel najbardziej pożądanym scenariuszem byłoby jednak pozyskanie przychylności kilku deputowanych z szeregów CDU. Jej plany wobec chadeków idą znacznie dalej. Bezpośrednio po wyborach, zwracając się do nich, winą za klęskę CDU obarczyła kierownictwo tej partii, które odcina się od AfD i układa z lewicą. Wezwała CDU do porzucenia tej strategii i rozmów z Alternatywą w celu wyprowadzenia Niemiec z kryzysu.

Alice Weidel znalazła się w gronie czołowych polityków europejskich. Otwartą przychylność okazują AfD Waszyngton i Moskwa.

AfD od miesięcy przewodzi w sondażach. W jednym z wrześniowych badań wykonanych po wyborach w Saksonii-Anhalt uzyskała 30% poparcia (GMS). W sondażach po wyborach w Berlinie i Meklemburgii 27,5% (Forsa) i 29,5% (INSA). CDU w dwóch pierwszych badaniach osiągnęła 20%, w trzecim – 19,5%. Jakie skutki miałoby trwałe przekroczenie przez AfD 30% przy równoczesnym spadku chadeków poniżej 20%?

Alice Weidel znalazła się w gronie czołowych polityków europejskich. Otwartą przychylność okazują AfD Waszyngton i Moskwa, bacznie obserwuje ją Pekin. Alternatywa jako partia rządząca kluczowym państwem Unii Europejskiej zmierzałaby do jakościowego osłabienia Wspólnoty, a to mogłoby otworzyć drogę do coraz wyraźniej rysującej się kolejnej wielkiej politycznej przebudowy świata.

Krzysztof Pilawski

Dni Świeckości 2026 w Krakowie

Sobota, 3 października

godz. 14.30 – Polskie Oświecenie: jaki miało realny wpływ na społeczeństwo i co z niego zostało. Wojciech Rzehak – Ponury Polonista i Paweł Dybicz, tygodnik „Przegląd".

godz. 16.30 – Wiek XXI, wiek czarów, magii i szarlatanów – dlaczego bardziej ufamy pseudoautorytetom niż wiedzy naukowej. Elżbieta Grabarczyk, psycholog.

Niedziela, 4 października

godz. 12.30 – Lex szarlatan: czemu miało służyć, kogo chronić i dlaczego nic z tego nie wyszło. Wojciech Konieczny, lekarz neurolog, senator RP.

godz. 14.30 – Praktyki sekularności w katolickiej Polsce: wytwarzanie nowego porządku społecznego? Rodzice nieposyłający dzieci na religię. Prof. UJ Katarzyna Zielińska, socjolog.

Spotkania odbędą się w Pałacu Potockich, Rynek Główny 20.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Tryptyk warmiński. I. Jesienna Warmia

Jesień na Warmii zaczyna się w połowie sierpnia. Ranki od razu stają się chłodne. Widoczne na niebie szeregi odlatujących bocianów zostawiły na przydrożnych słupach opuszczone gniazda. Wśród trzcin zarastających brzegi jeziora Blanki kołyszą się samotne motorówki. Już tylko ludzie miejscowi zaglądają do jedynego sklepu w okolicy. Zaopatrzenie jest tu jak w supermarkecie, ale że czas na Warmii płynie wolniej, to i na ladzie stoi archaiczna waga – model z PRL.

Jesienna Warmia sprzyja zamyśleniom. W kościele franciszkanów w Barczewie widnieje cenotaf biskupa warmińskiego Andrzeja Batorego, bratanka króla Stefana. Polskie panowanie trwało na Warmii 306 lat. Pozostały po nim kościoły barokowe, czasem barokowo-rokokowe, o wielu kolorach i fantastycznych kształtach. Barwne sanktuarium maryjne w Krośnie koło Ornety stoi nieomal w szczerym polu. Inaczej sanktuarium w Świętej Lipce: jest wypełnione tłumem wiernych i otoczone wianuszkiem aut. Leży już ono na protestanckich dawniej Mazurach, ale od wieków było celem pielgrzymek katolików z Warmii.

Czasy polskie nie były jednak polskojęzyczne. Polonizowało się tylko warmińskie południe: miasto Allenstein stało się Olsztynem, wioska Dietrichswalde – Gietrzwałdem. Natomiast północ Warmii pozostała niemiecka i to akurat tam, we Fromborku, działał Mikołaj Kopernik. A jednak jeszcze pod pruskim zaborem rządził tą krainą Ignacy Krasicki, ostatni polski książę biskup warmiński, największy pisarz naszego Oświecenia. Ale w XX w. były to już tradycje martwe: w plebiscycie z 1920 r. ani jedna warmińska gmina nie opowiedziała się za powrotem do Polski. Nawet na Mazurach, nigdy do Polski nienależących, było choć odrobinę lepiej.

O swej nieoczywistej historii dzisiejsza Warmia zdaje się pamiętać. Muzeum na zamku w Olsztynie dokumentuje stare widoki miast z ich niemieckimi nazwami. Na frontonie kościoła w Kłębowie widnieje informacja, że wieś ta nazywała się Wernegitten. Tablica umieszczona w roku 2013 przy kościele w Blankach też podaje dawną nazwę wsi: Blankensee. A przecież informacje z tej tablicy mają jedną białą plamę. Dowiadując się, że wieś zasiedlili po wojnie Polacy z Wileńszczyzny, Białorusi i Ukrainy, możemy się tylko domyślać, co stało się z dotychczasowymi mieszkańcami.

Przed wojną żyło w Blankach 376 osób – wszyscy mówili po niemiecku. Dziś mieszkańców jest 156 – i wszyscy mówią po polsku. Na przykościelnym cmentarzu ocalało kilka niemieckich grobów; są pięknie odnowione – czy przez miejscowych, czy raczej przez potomków dawnych mieszkańców? Czytam na tablicy, że najstarszą mieszkanką Blanków była Jadwiga Rejnik, z domu Tietz, urodzona tu w roku 1920. I dopiero teraz mogę uruchomić wyobraźnię. Oto tuż przed deportacją dwudziestoparoletnia Hedwig Tietz poślubia przybyłego Polaka i dzięki temu może pozostać na ojcowiźnie. Jej rodzicom, braciom, siostrom, sąsiadom nie jest to już dane. Muszą wyjechać. Zapewne nikt z nich już tu nie wróci, choćby na chwilę.

Wypędzeni, ale i przypędzeni. Wszak Warmia – to nie tylko polscy przybysze. To także Ukraińcy, przesiedleni kiedyś z Bieszczad i Beskidów w ramach akcji „Wisła". Stare kościoły w Reszlu, Lidzbarku, Górowie Iławeckim zamieniono na świątynie greckokatolickie, a wokół nich krzewi się i wciąż odradza życie ukraińskie. Warmia, kraina pagórków i lasów z błyszczącymi w dali taflami jezior, przyjmuje wszystkich. Dobro-Warmia?

W plebiscycie z 1920 r. ani jedna warmińska gmina nie opowiedziała się za powrotem do Polski.

Tworzę sobie taki termin – trochę przez analogię z „Białorusią-Dobrorusią" Tadeusza Konwickiego, a trochę na wzór jednej z tutejszych miejscowości: Dobrego Miasta. Jednak Warmia, o tak sztucznych często nazwach miejscowych, sama powstała w sposób sztuczny. W XIII w. wykroili ją Krzyżacy z terenów podbijanych przez nich pruskich plemion: Warmów, Galindów, Bartów i Pogezan. I na tych ziemiach stworzyli dominium biskupie. Warmia zawsze – w czasach krzyżackich i czasach polskich – była odrębna i zawsze miała ściśle wytyczone granice. Dziś o tych granicach czasem tylko przypominają tablice ustawione przy szosie.

A Warmiacy? Czy istnieli ludzie uznający się za tutejszych, nie za Niemców, nie za Polaków? Cóż, oni też zostali wysiedleni. Lub po jakimś czasie wyemigrowali. „Wy macie Warmię i Mazury, my mamy Warmiaków i Mazurów" – tak po wojnie mawiali Polakom Niemcy. A jednak w ostatnim spisie powszechnym przynależność do „narodu warmińskiego" zadeklarowało już 148 osób. „Pokój żyjącym – Friede den Lebenden", głosi napis w kościele w Kłębowie.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Liberalna Francja chroni swoich urzędników

Na serwerach ministerstwa kultury Christian Nègre latami gromadził zdjęcia wykorzystywanych kobiet

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Przez prawie 10 lat urzędnik wysokiego szczebla z ministerstwa kultury wykorzystywał rozmowy rekrutacyjne, by fotografować kobiety bez ich wiedzy. Podczas spotkań podawał im środki moczopędne, a następnie doprowadzał do sytuacji, w których musiały oddawać mocz w jego obecności. Swoje eksperymenty skrupulatnie dokumentował. Według śledczych liczba jego ofiar sięgnęła 250. Teraz pokrzywdzone kobiety domagają się ukarania państwa za to, że przez lata pozostawało bezczynne w sprawie jego zachowań.

Oskarżenie

W komunikacie opublikowanym na początku roku Laure Beccuau, prokurator przy sądzie w Paryżu, wyjaśniła, że śledztwo rozpoczęło się 19 czerwca 2018 r. pod nadzorem prokuratury w Metzu. Było ono następstwem zawiadomienia o naruszeniu prywatności, po tym jak Christian Nègre, zastępca dyrektora regionalnego ds. kultury regionu Grand Est, został przyłapany na robieniu swojej rozmówczyni zdjęcia spod stołu. 15 czerwca 2018 r. urzędnik został zawieszony w obowiązkach.

W toku śledztwa po analizie jego sprzętu komputerowego odnaleziono tabelę zawierającą informacje o 181 spotkaniach z kobietami, fotografowanymi przez niego w sytuacjach fizycznego cierpienia. Ustalono, że podczas spotkań podawał im w kawie lub w herbacie środki moczopędne i czekał, aż zmuszone silną potrzebą fizjologiczną poproszą go o możliwość skorzystania z toalety.

Zarzuty postawiono 24 października 2019 r., a dodatkowe – w 2023 r. Dotyczyły podawania szkodliwych substancji, stosowania przemocy przez osobę wykonującą zadania służby publicznej, naruszenia prywatności oraz napaści na tle seksualnym. Czyny te popełnione zostały pomiędzy rokiem 2009 a 2018. 5 grudnia 2018 r. prokuratura w Metzu przekazała sprawę prokuraturze w Paryżu.

„Do tej pory spośród 248 zidentyfikowanych ofiar co najmniej 180 osób przystąpiło już do sprawy w charakterze oskarżycieli posiłkowych. We współpracy ze stowarzyszeniami France Victimes i Paris Aide aux Victimes wdrożono system EVVI (system oceny potrzeb ofiar), aby zbadać wpływ tych wydarzeń na każdą z poszkodowanych osób, udostępnić im dostosowane do ich potrzeb informacje oraz, w razie potrzeby, skierować do odpowiedniej opieki”, wskazywała w komunikacie prokuratura. Zwróciła się do każdej z dotąd jeszcze nieprzesłuchanych ofiar, aby jak najszybciej się zgłosiły i, jeśli mogą, wystąpiły o status oskarżyciela posiłkowego. Zakończenie całego postępowania przygotowawczego przewidywane jest na koniec tego roku.

Głos ofiar

„Zaczęłam odczuwać silny ból w podbrzuszu, w pęcherzu, miałam wszystkie objawy omdlenia wazowagalnego, czyli zimne poty, kołatanie serca, zaburzenia widzenia. I silną potrzebę oddania moczu, jakiej nigdy wcześniej nie odczuwałam”, mówiła 5 lutego br. na antenie France Inter Alizée, jedna z ofiar. Napaści doświadczyła w 2011 r. Była stażystką w ministerstwie kultury, kiedy Nègre zaproponował jej herbatę i rozmowę podsumowującą jej pracę. Po ok. 40 minutach Alizée źle się poczuła. Nègre zaproponował, że odprowadzi ją do najbliższej toalety. Po czym wszedł z nią do środka, by słuchać, jak oddaje mocz. Kobieta wyszła stamtąd bardzo zawstydzona i całkowicie rozbita. Ani przez moment nie pomyślała jednak, że ktoś mógł dodać czegoś do jej herbaty – czytamy z kolei w artykule zamieszczonym w serwisie France Info.

W 2018 r. Alizée natrafiła na artykuł opisujący sprawę. Zrozumiała wtedy, że była jedną z ofiar przestępcy. „Przez kolejnych osiem lat miałam wszystkie objawy stresu pourazowego, ale nie wiedziałam, jak je wyjaśnić. Poszłam do psychologa i rozpoczęłam terapię, ponieważ miałam koszmary i cierpiałam na bezsenność – mówiła. – Kilka razy przechodziłam wypalenie zawodowe. Miałam w sobie pewną podatność, kruchość psychiczną, której nie potrafiłam wyjaśnić. W terapii udało się przepracować wszystkie objawy, ale nie potrafiliśmy znaleźć ich przyczyny. Przez osiem lat myślałam: jestem skończona w ministerstwie kultury, jasne jest, że nie będę mogła liczyć na karierę w tym miejscu, ponieważ podczas rozmowy kwalifikacyjnej na wyższe stanowisko wydarzyło się to, co się wydarzyło – w bardzo niezręczny sposób nagle poczułam potrzebę oddania moczu”.

„Ani przez moment nie pomyślałam, że podano mi lek, by zmusić mnie do oddania moczu z perwersyjnych pobudek. Oczywiście całkowicie straciłam wiarę w siebie”, opowiadała poszkodowana stażystka.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Według jej relacji Nègre prowadził plik w Excelu dotyczący tego, co nazywał swoimi eksperymentami. W pliku odnotowywał wszystkie kandydatki, które przyjmował, skrupulatnie zapisując każdy szczegół tego, co robił: „godzinę podania środka moczopędnego, godzinę tego, co nazywał »wyzwoleniem«, oraz szczegóły dotyczące bielizny kobiet. A także siłę strumienia moczu i tego rodzaju niezwykle perwersyjne szczegóły".

Państwo bez winy?

Wydarzenia te postawiły pytanie o odpowiedzialność nie tylko sprawcy, ale także francuskiej administracji. Ofiary zarzuciły ministerstwu, że przez lata ignorowało sygnały nadużyć i chroniło swojego pracownika. W styczniu 2023 r. sprawa trafiła przed paryski sąd administracyjny, który miał rozstrzygnąć, czy państwo ponosi odpowiedzialność za to, co spotkało kobiety. Jak bowiem było możliwe funkcjonowanie przez lata takiego mechanizmu w jednej z najważniejszych instytucji państwowych? Dlaczego zgłaszanie nadużyć przez ofiary nie wywołało skutecznej reakcji odpowiednio wcześnie?

Poszkodowane wielokrotnie, począwszy od 2016 r., kierowały pisma do ministerstwa. Podczas rozprawy adwokatki pięciu ofiar domagały się odszkodowań w od 90 tys. do 180 tys. euro. Rzeczniczka publiczna przy sądzie administracyjnym zaleciła natomiast przyznanie każdej z kobiet ok. 10 tys. euro. Odrażające zachowanie Nègre'a stanowi według niej „osobistą winę sprawcy, jest zachowaniem człowieka z jego słabościami, namiętnościami i lekkomyślnością".

Tym samym wykluczyła odpowiedzialność ministerstwa. Oszacowała uszczerbek na zdrowiu każdej ze skarżących na 1 tys. euro, w jednym przypadku były to „złe samopoczucie i szum w uszach utrzymujący się przez 24 godziny", w drugim „bóle pęcherza". Nie uwzględniła skutków ubocznych tych czynów utrzymujących się dłużej niż 24 godziny, twierdząc, że nie zostały one udowodnione.

Zaleciła sądowi przyznanie dodatkowego 1 tys. euro za utrzymujące się „trudności w codziennym życiu", takie jak „brak zaufania", oraz 10 tys. euro zadośćuczynienia za krzywdę moralną, w tym za powtarzające się ataki paniki, których doświadczyły kobiety. Jednocześnie „odrzuciła inne rodzaje szkód", takie jak „zaprzestanie aktywności sportowej" czy „szkody w sferze seksualnej" wskazane w przypadku jednej z kobiet, uznając te konsekwencje za nieudowodnione.



Christian Nègre usłyszał zarzuty podawania szkodliwych substancji, stosowania przemocy przez osobę wykonującą zadania służby publicznej, naruszenia prywatności oraz napaści na tle seksualnym.

Jak podaje „Le Monde", zdaniem adwokatek zasądzone kwoty są niewystarczające. „Mówimy o podawaniu środków moczopędnych w celu zmuszenia kobiet do oddawania moczu i obnażania swoich narządów płciowych. To nie jest żart, lecz naruszenie intymności wszystkich tych kobiet", podkreśliła Lisanne Chamberland-Poulin – adwokatka jednej z ofiar. Zwróciła również uwagę na fakt, że ta „metoda drapieżnego wykorzystywania seksualnego mogła zostać wdrożona dzięki środkom, jakimi dysponowało ministerstwo".

Jej zdaniem wydarzenia te należy postrzegać jako seryjne: trwało to osiem lat, a sprawca wykorzystywał w godzinach pracy od jednej do trzech kobiet tygodniowo" i miało to miejsce zarówno w ministerstwie, jak i poza nim.

W 2023 r. kilka kobiet otrzymało odszkodowania, jednak bez uznania winy ministerstwa. „Rok 2023 był połowicznym zwycięstwem", powiedziała jedna z nich, pojawiając się na rozprawie, aby okazać wsparcie pozostałym ofiarom. Jej spotkanie z Nègre'em w 2011 r. miało być „spotkaniem życia", podczas którego chciała „zaprezentować się z jak najlepszej strony". Jednak gdy odczuła niepohamowaną potrzebę oddania moczu, zaczęła obwiniać samą siebie: „Co wcześniej wypiłam? Dlaczego nie potrafię się powstrzymać?". W 2019 r. została wezwana przez policję, która zidentyfikowała ją na podstawie tabeli w Excelu znalezionej na komputerze Christiana Nègre'a.

Francuskie skrzywienie

Nie bez powodu ofiary mówią o odpowiedzialności nie tylko sprawcy, lecz także systemu. Sprawa ta przypomina skandal dotyczący męża Gisèle Pelicot, który odurzał żonę i zapraszał obcych mężczyzn, aby ją gwałcili. W tych sytuacjach warto zwrócić uwagę na szerszy problem społeczny: kulturę, w której swoboda seksualna i przyzwolenie na zachowania przekraczające granice drugiej osoby bywają przedstawiane jako przejaw wolności, podczas gdy w praktyce mogą sprzyjać normalizacji przemocy.

Francja lubi postrzegać wolność seksualną i emancypację obyczajową jako jeden z symboli swojej nowoczesności. Ale granice między wolnością seksualną a wykorzystywaniem seksualnym, między wyzwoleniem a uprzedmiotowieniem pozostają znacznie bardziej skomplikowane. Przy braku wyraźnych norm dotyczących granic, zgody i odpowiedzialności może tworzyć się przestrzeń, w której przemoc zostaje przedstawiona jako skrajna forma „wolności", uprzedmiotowienie zaś – jako element kultury seksualnej.

Kluczowe w sprawie Christiana Nègre'a staje się pytanie, z czego wynikały zaniechania zatrudniającej go instytucji: czy były efektem niedoskonałości procedur, pobłażliwości wobec osób zajmujących wysokie stanowiska, czy raczej pokazują szerszy problem kulturowy? ■

FOT. GRAND EST REGION & BAS-RHIN PRÉFET

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Serial „Fauda” współtworzy Lior Raz (drugi z prawej).

„Fauda” kontra „Naza”

Bitwa między izraelskim serialem akcji a dziennikarskim oskarżeniem o ludobójstwo

Jakub Katulski

W drugim tygodniu września użytkownicy Netfliksa mogli już oglądać nowy, piąty sezon „Faudy”, popularnego izraelskiego serialu stworzonego przez Liora Raza i Aviego Issacharoffa. Fani czekali na niego trzy lata. Abstrahując od sprawności warsztatowej filmowców czy jakości scenariusza, na podstawie którego kręcony jest serial, „Fauda” to majstersztyk w dziedzinie ocieplania wizerunku Izraelczyków i skuteczne narzędzie hasbary (hebr. wyjaśnianie), czyli dyplomacji publicznej Izraela, opartej na uzasadnianiu działań nierzadko niezgodnych z prawem.

Tak właśnie działa Doron, główny bohater „Faudy”, grany przez samego Liora Raza. Od pierwszego sezonu widzimy Dorona jako byłego żołnierza jednostki specjalnej, złożonej z władających biegle językiem arabskim Żydów pochodzących z rodzin migrantów z krajów Bliskiego Wschodu. Ich zadaniem jest udawanie Arabów w celu prowadzenia ryzykownych operacji przeciw komórkom palestyńskich organizacji bojowych na Zachodnim Brzegu czy w Gazie.

O ile pierwszy sezon starał się narrację ważyć, pokazując, jak brudny jest konflikt izraelsko-palestyński, w którym głównie to cywile padają ofiarą spirali akcji i reakcji, o tyle w kolejnych częściach produkcja odeszła od perspektywy palestyńskiej. Widzowie wciąż jednak otrzymywali odpowiednią dawkę życia prywatnego Dorona i jego towarzyszy broni, wraz z romansami i łamanymi sercami, a także trzymającymi w napięciu operacjami wywiadowczymi i zbrojnymi, w których ofiarami bywali palestyńscy cywile, wykorzystywani również jako przynęty przez Izraelczyków.

Ale z sezonu na sezon Palestyńczycy są przedstawiani coraz bardziej stereotypowo, a kulminacyjnym momentem zmiany narracji jest scena, w której Abu Maher, szef Palestyńskiej Służby Bezpieczeństwa Prewencyjnego, wybiera się z nastoletnim synem z Zachodniego Brzegu do modnej nadmorskiej kawiarenki w Tel Awiwie, by chłopakowi oburzonemu na trwającą od lat okupację i palącemu się do walki narodowowyzwoleńczej wytłumaczyć, że Izraelczycy są narodem miłującym życie, a Palestyńczycy bardziej nienawidzą ich, niż kochają własne dzieci. Sięgnięto tu po parafrazę słów przypisywanych Goldzie Meir, a równocześnie zdeprecjonowano palestyńskie aspiracje narodowe.

Upolityczniona kinematografia

Przekaz „Faudy” jest jasny: Izrael musi sięgać po metody niezgodne z prawem, bo czysta gra jest nie tylko nieskuteczna, ale także niebezpieczna. Ten koncept instrumentalizacji wydarzeń opisywali już w latach 80.

FOT. AP/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e6ffbd3fc1

politolodzy szkoły kopenhaskiej – Barry Buzan, Ole Weaver i Jaap de Wilde – używając na jego określenie terminu sekurytyzacja. W myśl tej teorii aktorzy polityczni, tacy jak państwa i instytucje, dokonują sekurytyzacji, przenosząc problem ze sfery politycznej do sfery bezpieczeństwa i przedstawiając go jako źródło zagrożenia egzystencjalnego.

W „Faudzie", podobnie jak w retoryce znacznej części izraelskiej prawicy, trudno znaleźć stwierdzenia, że Izrael pozostaje w konflikcie z Palestyńczykami o terytoria, samostanowienie i podmiotowość polityczną. Zamiast tego widzimy, że Palestyńczycy stanowią zagrożenie egzystencjalne, co uzasadnia łamanie prawa, a nawet postępowanie wbrew rozkazom bezpośrednich przełożonych (co Doron czyni w niemal każdym odcinku). Sekurytyzacja nie musi oznaczać, że zagrożenia nie ma, ale przenosi ciężar dyskusji z rozwiązania politycznego na zarządzanie konfliktem poprzez środki bezpieczeństwa.

Piąty sezon serialu sięga po bardziej bezpośrednie odniesienia. Punktem wyjścia dla twórców jest 7 października 2023 r., dzień ataku Hamasu na izraelskie kibuce i wioski. Doron próbuje poradzić sobie z traumą za pomocą hipnoterapii, bo z powodu szoku wywołanego tym, co zobaczył, z jego głowy wyparowało osiem godzin życia. Natomiast jego kolega z oddziału, Eli, odbudowuje życie po tym, jak terroryści zamordowali całą jego rodzinę w kibucu. Kiedy obaj wpadają na trop ukrywających się w Marsylii zabójców, ruszają po zemstę.

I właśnie pierwsze słowo, z którym stykają się widzowie w piątym sezonie, to ta'ar – jak zostaje im wyjaśnione, arabski termin oznaczający krwawą zemstę. Choć Doron początkowo stara się przekonać Eliego, że zemstą zniszczy sobie życie, przekonanie jego samego nie jest trudne i bohaterowie wracają na ścieżkę łamania prawa, nawet wbrew rozkazom przełożonych czy interesom izraelskich instytucji. Ostatecznie to ich postępowanie jest ukazane jako skuteczne i bezpieczne. Izraelski wywiad rekrutujący kretów wśród Hamasu błędnie bowiem rozpoznaje, czy zwerbowani Palestyńczycy są mordercami – intuicja doświadczonych żołnierzy przynosi lepsze efekty niż praca analityczna.



Twórcy „Nazy" Juwal Abraham i Rachel Szor są uważani w Izraelu za zdrajców.

„Fauda" pokazuje też Francję, która może być alegorią całej Europy, jako niepotrafiącą sobie poradzić z zagrożeniem ze strony islamistów. Organizacje pomagające uchodźcom są przedstawiane jako miejsca werbunku, francuska policja i wywiad gonią własny ogon, a europejskie żony muzułmanów naiwnie wierzą w niewinność mężów (w roli żony dowódcy jednego z komand Hamasu, święcie przekonanej, że jej mąż był księgowym i nie brał udziału w masakrze z 7 października, występuje Mélanie Laurent, znana poza Francją szczególnie z roli Shosanny Dreyfus w „Bękartach wojny" Quentina Tarantina).

Wymowna jest również symbolika scen na lotnisku w Marsylii, gdy przylatuje tam Eli – funkcjonariuszka straży granicznej, widząc na jego głowie kipę, od razu odsyła go na rewizję osobistą, podczas gdy cała kolejka muzułmańskich podróżnych przechodzi nieniepokojona. Beduin Salim, kiedy odbiera Eliego, mówi: „Ja tak się czuję za każdym razem, gdy przylatuję do Izraela". Scena ta wyraźnie ustawia nam odbiór – Europa jest antyizraelska, być może nawet antyżydowska.

Sam Lior Raz podczas rozmowy na żywo przed publicznością, przeprowadzonej przez amerykańskiego aktora Michaela Rapaporta we wrześniu 2025 r., podkreślał, że sceny dziejące się w Marsylii musiały zostać przepisane ze względu na „wrogość, którą napotykają Izraelczycy za granicą", a plenery przeniesiono do Budapesztu „ze względów bezpieczeństwa".

Ciężkie oskarżenia

Trwająca od trzech lat intensywna dyskusja na temat zasadności izraelskich działań w Gazie pokazuje też, że izraelskie władze dokonują sekurytyzacji samej krytyki decyzji wojskowych i politycznych. Widać to wyraźnie na przykładzie filmu dokumentalnego „Naza" (tytuł to skrót od hebrajskiego zwrotu nezek agawi, czyli straty uboczne, odnoszącego się do cywilnych ofiar izraelskiej agresji na Gazę). Film wywołał poruszenie, a jego autorzy Juwal Abraham i Rachel Szor zebrali 25-minutowe stojące owacje podczas międzynarodowej premiery 12 września na 83. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Wenecji.

Abraham i Szor oparli narrację na anonimowych wywiadach z 24 oficerami Sił Obrony Izraela, oskarżając

eprasa.pl e6ffbd3fc1

rząd Beniamina Netanjahu i wysokich rangą dowódców wojskowych o stworzenie systemu, w którym sztuczna inteligencja wybierała cele ataków, wskutek czego zatwierdzano ogromne straty wśród ludności cywilnej. Często z góry znając efekty kolejnych bombardowań. Nie trzeba było długo czekać na reakcję izraelskich władz na te oskarżenia, choć przecież nie są one nowe.

Minister kultury Miki Zohar oskarżył Abrahama i Szor o zdradę, informując zarazem, że wszczyna procedurę odebrania im obywatelstwa, chociaż oboje są Izraelczykami z urodzenia. Rachel Szor urodziła się w Jerozolimie, a Juwal Abraham w Beer Szewie. Premier Netanjahu z kolei oskarżył film o fabrykowanie historii, a owacje na stojąco nazwał antysemickim wydarzeniem. Zaproponował również nowe przepisy prawa, które umożliwiłyby odbieranie obywatelstwa osobom zniesławiającym Izrael i izraelskich żołnierzy. Projekt ustawy przedstawić ma resort spraw wewnętrznych, którym nie kieruje w tym momencie żaden minister, więc przyjmuje ono polecenia bezpośrednio od premiera (dopiero w sierpniu Netanjahu wyraził zgodę na powołanie nowego ministra, ale wciąż nie ustalono szczegółów nominacji).

Film „Naza" został też skrytykowany przez szefa sztabu generalnego Sił Obrony Izraela Ejala Zamira podczas przemówienia na gali charytatywnej. Zamir uważa, że dokument jest atakiem na państwo, a nie wyłącznie na Siły Obrony Izraela, gdyż każdy Izraelczyk jest odpowiedzialny za dobrostan całego narodu, a w obliczu tego, co Zamir nazywa bezpodstawnymi kłamstwami, manipulacjami i krwawymi oszczerstwami, obowiązkiem wszystkich Izraelczyków jest obrona dobrego imienia armii. „Jest to zadanie o charakterze narodowym i międzynarodowym, a my musimy podejmować je na każdej scenie i wobec każdego, kto stawia takie zarzuty, i jasno powiedzieć: Cahal jest najbardziej moralną armią na świecie!", apelował w przemówieniu wygłoszonym przed darczyńcami stowarzyszenia zapewniającego pomoc socjalną i wsparcie żołnierzom.

Także Gadi Eisenkot, dziś twarz opozycji przeciwko Netanjahu i polityk z największą szansą na pokonanie obecnego premiera w wyścigu wyborczym, zaznaczył, że film jest oderwany od rzeczywistości i „szkodzi Izraelowi w trudnej godzinie".

Uciszanie niewygodnych dziennikarzy

W obronie twórców stanął Komitet Ochrony Dziennikarzy, amerykańska organizacja pozarządowa monitorująca wolność prasy, domagając się, by izraelskie władze natychmiast zaprzestały działań wymierzonych w Rachel Szor i Juwala Abrahama. Sara Kudah, dyrektorka regionalna komitetu na Bliski Wschód, zaznaczyła w wypowiedzi cytowanej bezpośrednio na stronie KOD 15 września: „Groźby ze strony wysokich rangą przedstawicieli władz mogą wywoływać efekt mrożący wśród dziennikarzy oraz zachęcać członków społeczeństwa do zastraszania ich i prób uciszania. Gróźb tych nie można zbywać jako zwykłej retoryki politycznej. Stanowią one ostrzeżenie dla dziennikarzy i ich źródeł dotyczące potencjalnych konsekwencji krytycznego relacjonowania działań wpływowych instytucji – a także niebezpieczny sygnał dla innych dziennikarzy, którzy rozważają, czy prowadzić dochodzenia w sprawie domniemanych nieprawidłowości lub je ujawniać".

Komitet już w lutym 2026 r. opublikował raport, w którym zauważono, że rok 2025 był najbardziej zabójczy dla dziennikarzy, od kiedy komitet przed trzema dekadami zaczął zbierać dane na ten temat. Według obliczeń śmierć poniosło aż 129 dziennikarzy, przy czym izraelskie siły zbrojne mają odpowiadać za ponad dwie trzecie zabitych, podobnie jak rok wcześniej. Ponadto według komitetu Cahal odpowiada za więcej celowych ataków na dziennikarzy niż jakakolwiek inna armia na świecie od 1992 r. W konsekwencji działania Izraela wprost ograniczają swobodę wypowiedzi dziennikarzy.

Nie oznacza to jednak, że „Naza" jest filmem zupełnie bezproblemowym. Anonimowe wywiady, bez informacji o stopniach czy jednostkach, w których służą osoby zabierające głos, mogą budzić wątpliwości. Jednocześnie wobec Szor i Abrahama w Izraelu rozpętała się kampania gróźb, co rodzi podejrzenia, że w przypadku żołnierzy wypowiadających się na potrzeby filmu byłoby tak samo. Obrońcy Izraela podkreślają poza tym, że film został zrealizowany ze wsparciem finansowym ze strony brytyjskiego „Guardiana", medium krytycznego wobec Izraela. W oczach niektórych ten fakt budzi zastrzeżenia co do obiektywizmu dokumentu.

Największym problemem jest jednak to, że w zasadzie żadni krytycy (ani zwolennicy) nie mogli filmu zobaczyć. „Naza" dopiero trafia do dystrybucji, a przed wenecką premierą nie było publicznych pokazów. W Polsce dystrybuować będzie ją So Films, ale na stronie dystrybutora na razie można znaleźć tyle, że będzie ona „wkrótce w kinach i na pokazach specjalnych". Cały dyskurs w obronie filmu czy też oskarżenia kierowane wobec autorów są więc oparte głównie na informacjach prasowych.

Trudno jednak nie zauważyć, że działania izraelskich władz mające zniechęcić do oglądania filmu i nakierowane na ukaranie jego twórców przypominają kroki podejmowane raczej przy kryzysach z zakresu bezpieczeństwa narodowego niż przy kryzysach wizerunkowych. Efekt? Juwal Abraham ogłosił na swoim koncie na portalu X, że wspólnie z Rachel Szor i „Guardianem" zdecydowali o bezpłatnym udostępnieniu filmu w internecie bez ograniczenia czasowego. „Naza" zostanie udostępniona widzom w tej formie w listopadzie.

Jakub Katulski

„Fauda" to majstersztyk w dziedzinie ocieplania wizerunku Izraelczyków i skuteczne narzędzie hasbary, czyli wyjaśniania powodów konfliktu.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Cicha katastrofa

El Niño może w tym roku zabić niemal pół miliona ludzi



Akcja ratunkowa na zalanym terenie w Boliwii.
Sytuację pogorszyło zjawisko pogodowe El Niño, 27 lutego 2024 r.

Mateusz Mazzini

W popularnym amerykańskim serialu „Lioness", wyprodukowanym przez guru tamtejszego prawicowego show-biznesu Taylora Sheridana, Nicole Kidman gra wysokiego szczebla urzędniczkę w CIA, funkcjonującą w sporym konflikcie interesów. Choć jej związek od dawna jest papierowy, mąż, zarabiający krocie jako prezes wielkiego koncernu naftowego, niejednokrotnie ma pretensje, że nie raczyła go uprzedzić o akcjach amerykańskich służb przeciwko państwom na Bliskim Wschodzie. Najciekawszy jest moment, w którym operacja CIA przeciwko Iranowi grozi eskalacją nuklearną. Urzędniczka wraca wściekła do domu, a mąż rzuca pod jej adresem złowieszczy tekst, że „przestaje się przejmować katastrofą klimatyczną, bo lęk o klimat zakładałby przeświadczenie, że ludzkość będzie istnieć wystarczająco długo, by zniknąć z powodu wysokich temperatur".

W dzisiejszym świecie nikt z tego żartu nie powinien się śmiać. Zresztą to nawet nie jest żart, tylko stwierdzenie faktu. Zmiany klimatyczne, nawet postępujące w tak szybkim tempie jak obecnie, wciąż są zbyt mało drastyczne, by zadziałać na zbiorową wyobraźnię. Widać to zwłaszcza w ostatnich tygodniach, kiedy umysły najważniejszych polityków, filozofów i liderów opinii owładnęła wizja apokalipsy wywołanej sztuczną inteligencją zrywającą się z łańcucha.

To symptomatyczne, bo choć takich scenariuszy nie wolno bagatelizować (nie są też w całości zabiegiem marketingowym spółek z Doliny Krzemowej), to jednak od katastrofy klimatycznej różni je zasadnicza cecha. Wszyscy wpadamy w panikę, że maszyny nas wyeliminują, nawet jeśli groźba jest ogólnikowa, tymczasem scenariusz katastrofy klimatycznej znamy doskonale. Od lat go symulujemy, wskazujemy własne błędy i czułe punkty. Wiemy, w kogo zmiany uderzą najszybciej i gdzie nie będzie ratunku. A mimo to wzruszamy ramionami przy każdej kolejnej fali gorąca, tysiącach nadmiarowych zgonów czy nawet huraganach – bo z europejskiego punktu widzenia dzieją się w miejscach tak odległych, że równie dobrze mogłyby nie istnieć.

Dzieciątko się rozkręca

Podobnie wygląda debata wokół tegorocznego El Niño, cyklicznego zjawiska na Oceanie Spokojnym, które tym razem z powodu rosnących temperatur i innych zmian klimatycznych może przynieść katastrofę humanitarną na olbrzymią skalę. W dużym skrócie: raz na kilka lat, nie częściej niż co dwa i nie rzadziej

FOT. AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl e6ffbd3fc1

niż co siedem, na wysokości Peru, Ekwadoru i północnego Chile woda w oceanie w wyniku słabnięcia lub odwrócenia się wiejących ze wschodu pasatów osiąga znacznie wyższą temperaturę. W normalnych warunkach ciepłe wody powierzchniowe przemieszczają się w kierunku zachodnim. U wybrzeży Ameryki Południowej chłodne wody głębinowe są zaś wynoszone ku powierzchni oceanu. Gdy pasaty słabną, ciepła woda zostaje w środkowej oraz wschodniej części Pacyfiku, a zimna, bogatsza w składniki odżywcze woda głębinowa nie przedostaje się bliżej powierzchni.

Kiedy na Pacyfiku w okolicach Bożego Narodzenia pojawia się „dzieciątko", bo to po hiszpańsku oznacza El Niño, pogoda zmienia się na wszystkich krańcach oceanu. W Peru, Ekwadorze, Kolumbii, Meksyku znacznie więcej pada, z kolei w Indonezji, Australii i na Filipinach – czyli w krajach o relatywnie dużej produkcji rolniczej – notuje się długie okresy suszy.

Huraganów jest mniej na Atlantyku, ale więcej na Pacyfiku. Australijski interior cierpi z powodu dłuższego sezonu wielkich pożarów, azjatyccy hodowcy ryżu zbierają słabsze plony. A że wiele z tych krajów to eksporterzy netto żywności, konsekwencje rozlewają się szybko na całe globalne Południe.

W tym roku sytuacja pod względem bezpieczeństwa żywnościowego jest jeszcze trudniejsza z powodu irracjonalnej eskapady Donalda Trumpa przeciwko Iranowi. Reżim w Teheranie zablokował cieśninę Ormuz, przez co do krajów Afryki Subsaharyjskiej, Bangladeszu, Indii czy na Sri Lankę dociera znacznie mniej nawozów. A teraz i tak mocno nadwerężony sektor rolniczy musi się mierzyć z potencjalnie najbardziej katastrofalnym w skutkach El Niño…

Climate Impact Lab, jednostka badawcza przy Uniwersytecie w Chicago zajmująca się modelowaniem zmian klimatu, szacuje, że między wrześniem tego roku a lutym 2027 r., kiedy efekty odwrócenia się układu wiatrów zaczną zanikać, El Niño może doprowadzić do aż 451 tys. nadmiarowych zgonów. Dojdzie do nich podczas powodzi, fal gorąca, w wyniku pożarów lub nagłych wydarzeń atmosferycznych, takich jak burze i huragany, albo panującego głodu.

Konsekwencje będą też miały wymiar ekonomiczny, bo jeśli jedzenia będzie mniej, ceny pójdą w górę. To zaś może wywołać zamieszki, fale migracyjne, a nawet konflikty zbrojne o zasoby naturalne, chociażby pola uprawne i pastwiska.

Scenariusz katastrofy klimatycznej znamy doskonale, mimo to wzruszamy ramionami przy każdej fali gorąca czy huraganach.

Światowy Program Żywnościowy, instytucja z kręgu ONZ zajmująca się m.in. monitorowaniem zagrożenia klęskami głodu, szacuje, że z powodu tegorocznego El Niño dodatkowe 50 mln osób może się znaleźć wśród skrajnie niedożywionych. To olbrzymia liczba, zwłaszcza w kontekście niedoborów finansowych dotykających sektor pomocy humanitarnej i rozwojowej.

Pacyfik się grzeje

David Miliband, były brytyjski minister spraw zagranicznych, obecnie szef International Rescue Committee, jednej z najważniejszych organizacji humanitarnych świata, powiedział ostatnio w rozmowie z Gideonem Rachmanem z „Financial Timesa", że już teraz zagrożonych głodem z powodu wojen jest ponad 300 mln ludzi na świecie. Jeśli dodać do tego kolejne 50 mln osób, które mogą nie mieć co jeść, nawet jeśli mieszkają w relatywnie stabilnych krajach, takich jak USA, Australia, Chile czy Meksyk, łatwo zrozumieć rozmiar katastrofy, na progu której stoi świat.

Najdrastyczniejsze w historii El Niño miało miejsce w latach 1877-1878 – doprowadziło do śmierci 50 mln ludzi, przynajmniej według możliwych do przeprowadzenia analiz. Problem w tym, że wtedy chodziło wyłącznie o głód. Dzisiaj to już składowa szerszego kryzysu.

Już wiadomo, że będzie źle. El Niño dopiero się zaczyna, a średnie temperatury zanotowane na środkowym i południowym Pacyfiku są o 3,1 st. C wyższe niż średnia pomiarowa z ostatnich 100 lat. Wiele wskazuje na to, że temperatury mogą



eprasa.pl e6ffbd3fc1

jeszcze wzrosnąć przed nasileniem się zjawiska w okolicach Bożego Narodzenia. Z poprzednich lat pamiętamy, że początek nowego roku przynosi coraz bardziej katastrofalne w skutkach pożary w Australii i Kalifornii, gdzie ogień wdziera się głęboko w zabudowania miejskie. Niewykluczone, że tym razem jeszcze więcej obszarów gęsto zamieszkanych będzie się zmagać z tym problemem.

Naukowcy z Harvardu uważają, że istnieje 75-procentowe prawdopodobieństwo wystąpienia w tym roku najpoważniejszego w skutkach El Niño od 1950 r. W rezultacie Indonezja, której sektor produkcji żywnościowej jest zależny od upraw ryżu, może mieć poważne problemy z wypełnieniem państwowych magazynów. A te są spore, bo rząd w Dżakarcie tradycyjnie ogranicza eksport ryżu w obawie przed klęskami żywiołowymi.

Ryzyko suszy pojawiło się w całej Afryce południowej, od wschodnich wybrzeży RPA aż po Tanzanię. Słabszy niż w latach bez El Niño będzie monsun w Indiach, co przełoży się na mniej więcej 15-procentowy spadek opadów. Zwiększy się jednak prawdopodobieństwo nagłych zjawisk atmosferycznych: burz i powodzi, bo wody będzie sporo, ale nie pod postacią regularnych opadów.

Bardzo narażone na skutki oddziaływania prądów oceanicznych są uprawy kakao, koncentrujące się właśnie na obszarach objętych tym zjawiskiem. Opady deszczu w Ekwadorze wzrosną, co niesie ryzyko podtopień plantacji. Z kolei w dwóch krajach dominujących na tym rynku, w Ghanie i Wybrzeżu Kości Słoniowej, na początku przyszłego roku może nastać susza, przez co plony też będą niższe. A kakao jest tam kluczowym produktem eksportowym. Według danych Banku Światowego wspomniane dwa kraje Afryki Zachodniej razem odpowiadają za 60% światowej produkcji, eksport ziaren kakaowca to 7% PKB Ghany i aż 15% PKB Wybrzeża Kości Słoniowej. Poważne straty w tym sektorze oznaczać będą kryzysy dla całej gospodarki regionu, i tak już narażonego na wstrząsy zewnętrzne.

Konsekwencje nie do pojęcia

Konsekwencje El Niño można wymieniać jeszcze długo, ale jest to działanie mało efektywne. Gdyby ludzkość naprawdę miała zdolność ich zrozumienia, przekazywanie wiedzy o katastrofie klimatycznej byłoby znacznie prostsze. Przypadek ten warto jednak analizować systemowo, także z powodu narracji i relatywnie niewielkiego zainteresowania światowych mediów.

Z jednej strony, wydaje się to dziwne, wręcz irracjonalne. Prawie pół miliona nadmiarowych zgonów, kryzysy w wielu rozwiniętych gospodarkach, zjawisko o naprawdę globalnym zasięgu, którego nie da się ignorować.

Według naukowców z Harvardu tegoroczne El Niño może mieć najpoważniejsze skutki od 1950 r.

Z drugiej – to problem typowy dla społecznego rozumienia zmian klimatycznych. Za dużo, za szybko, pod zbyt wieloma postaciami, żeby odbiorcy informacji połączyli kropki.

Na tym przykładzie najlepiej chyba widać prawdziwość tezy, którą ponad dekadę temu postawił Timothy Morton, brytyjski filozof związany z Rice University w Houston, pisząc o tzw. hiperobiektach. Jego zdaniem katastrofa klimatyczna należy właśnie do tej kategorii – zdarzeń bądź rzeczy o tak potężnym oddziaływaniu, że ludzki mózg nie jest w stanie pojąć ich wszystkich konsekwencji.

Morton przy okazji stworzył bodaj najbardziej poręczny argument teoretyczny wyjaśniający istnienie kłamców klimatycznych – nie licząc oczywiście tych, którzy robią to oportunistycznie, za pieniądze lub z powodów politycznych. Otóż, twierdzi badacz, łatwo wyprzeć istnienie katastrofy klimatycznej, bo z jednej strony oddziałuje ona na wszystkich ludzi jednocześnie, ale z drugiej skutki tego oddziaływania bywają skrajnie różne, wręcz przeciwstawne. Tak jest też w przypadku El Niño. W niektórych częściach świata przyniesie ono susze, w innych pogodę nadmiernie deszczową. Gdzieś wody będzie za dużo, gdzieś za mało. Tu pożary, tam powodzie. W części krajów temperatury wzrosną, gdzie indziej spadną. Dla ludzkiego mózgu, przyzwyczajonego do prostych konstrukcji przyczynowo-skutkowych, to często zbyt wiele, stąd niemal automatyczne przekonanie, że nie może istnieć jedna przyczyna tak wielu różnych i jednoczesnych zjawisk.

Tymczasem dziś jak chyba nigdy widać ścisły związek między klimatem, polityką i gospodarką. Wojna Trumpa z Iranem przełożyła się na wzrost cen ropy, co z kolei przyczyniło się do zamieszek w kilku krajach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Im droższa ropa, tym droższe jedzenie. Im mniej jedzenia, tym więcej wojen o zasoby. Im bardziej niestabilny region, tym mniejsze zachęty dla światowych mocarstw, by angażować się tam w pomoc humanitarną. Zwłaszcza że największy sponsor tego typu inicjatyw na świecie, Stany Zjednoczone, zredukował swoje wsparcie finansowe niemal do zera. To wszystko system naczyń połączonych.

Wspomniany już David Miliband wielokrotnie zwracał uwagę na ten paradoks. Im więcej mamy problemów globalnych, wymykających się jurysdykcji pojedynczych państw, tym mniej współpracy w celu zwalczania tych plag ludzkości. Istnieje bardzo poważne ryzyko, że próba uregulowania sztucznej inteligencji skończy się w ten sam sposób. Właściwie nie ma już większego znaczenia, co jest groźniejsze dla ludzkości. Ostatnie lata pokazały, że jesteśmy w stanie wszystko zbagatelizować, uwierzyć w mylące narracje albo po prostu zanegować. Codziennie towarzyszy nam zestaw różnych apokalips, właściwie można z niego wybierać za każdym razem co innego. Jedyną niewiadomą jest teraz pytanie, czy wybierzemy sami, czy mimo wszystko ktoś lub coś podejmie tę decyzję za nas.

Być może mąż bohaterki serialu „Lioness" miał rację. Będziemy mieli szczęście, jeśli umrzemy przez klimat.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Miękka siła Chin

Stankomir Nicieja



Niedawny spór o to, jak promować Polskę, miał wiele cech kolejnej rodzimej awantury politycznej. Kryło się za nim jednak ważne pytanie: czy wizerunek państwa można świadomie zaprojektować, a następnie skutecznie sprzedać światu? Wiele krajów próbuje dziś przekonać zagraniczną publiczność do swoich osiągnięć i uwolnić się od krzywdzących stereotypów. Szczególnie interesującym przypadkiem są Chiny. Trudno bowiem o bardziej spektakularny przykład kraju, który tak wiele osiągnął, tak dużo wydaje na promocję, a zarazem ma tak potężne trudności z przekuciem sukcesów w międzynarodowe zaufanie i prestiż.

Pekin ma się czym chwalić i nie marnuje żadnej okazji, by to robić. Metropolie z supernowoczesną infrastrukturą, największa na świecie sieć kolei dużych prędkości, awans technologiczny i wydobycie z ubóstwa setek milionów obywateli składają się na obraz bezprecedensowej w historii ludzkości przemiany. Jednak powszechne uznanie dla tych osiągnięć nie przekłada się automatycznie na sympatię do państwa, które ich dokonało, ani na poparcie dla jego polityki. Można podziwiać chińską infrastrukturę i korzystać z chińskich technologii, a jednocześnie odnosić się do tamtejszych władz z głęboką nieufnością. Właśnie ten rozdźwięk między potęgą materialną a ograniczoną atrakcyjnością od lat pozostaje jednym z największych wyzwań dla chińskiej obecności w świecie.

Problem ten nie wynika z braku rozmachu promocyjnego i pieniędzy. Chiny od lat rozwijają międzynarodową sieć medialną, finansują ośrodki języka i kultury, organizują wymiany akademickie oraz prowadzą kolejne kampanie wizerunkowe. Szacuje się, że chiński rząd przeznacza na budowanie miękkiej siły co najmniej 10 mld dol. rocznie. Efekty tych działań pozostają jednak skromne w stosunku do ponoszonych nakładów. Wybitni znawcy Chin, jak choćby David Shambaugh czy Susan Shirk, piszą o „niepełnym mocarstwie" lub „kruchym supermocarstwie", potężnym na zewnątrz, lecz obciążonym słabościami wewnętrznymi.

Chiński rząd przeznacza na budowanie miękkiej siły co najmniej 10 mld dol. rocznie.

Potęga, która nie potrafi zafascynować

Koncepcję miękkiej siły (soft power) sformułował pod koniec XX w. amerykański politolog Joseph Nye. Rozumiał ją jako zdolność państwa do osiągania celów nie poprzez groźby militarne czy nacisk ekonomiczny, ale dzięki atrakcyjności własnej kultury, wyznawanych wartości, modelu społecznego i polityki zagranicznej.

W Chinach koncepcja soft power zyskała rozgłos z co najmniej trzech powodów. Pierwszym był wspomniany bolesny dla chińskich decydentów rozdźwięk między materialnymi osiągnięciami kraju a jego prestiżem międzynarodowym. Drugim – lekcja wyciągnięta z upadku Związku Radzieckiego.

Chińscy przywódcy uważnie analizowali rozpad ZSRR i utratę władzy przez tamtejszą partię komunistyczną. Za jedną z naczelnych przyczyn tej klęski uznali erozję wiarygodności ideologicznej państwa i atrakcyjności jego systemu, a więc słabość tego, co można określić mianem miękkiej siły. Trzecim źródłem popularności tej koncepcji była rodzima tradycja polityczna. Chociaż soft power ma wyraźnie amerykański rodowód, dobrze wpisuje się w konfucjańskie przekonanie, że najdoskonalsza forma rządzenia opiera się na autorytecie moralnym i sile przykładu.

Najistotniejszym powodem nieufności wobec Chin pozostaje ich model polityczny. Dla społeczeństw demokratycznych jest on nie tylko nieatrakcyjny, ale wręcz postrzegany jako zaprzeczenie naszych wartości. Silne skojarzenia z cenzurą, inwigilacją, ograniczeniami wolności i represjami wobec niepokornych obywateli sprawiają, że nawet najbardziej spektakularne osiągnięcia gospodarcze i infrastrukturalne tracą na wizerunkowym blasku.

Tradycyjna kultura chińska cieszy się szacunkiem, ale współczesna kultura popularna nadal nie ma globalnego zasięgu. Odstaje nie tylko od amerykańskiej, ale też od japońskiej czy południowokoreańskiej. Chińskie hity kinowe mogą osiągać imponujące wyniki na rynku krajowym, lecz pozostają zupełnie nieznane poza ChRL. Oficjalna propaganda jest mało przekonująca, a polityka Pekinu wobec sąsiadów i własnych obywateli nadal wywołuje sprzeciw.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e6ffbd3fc1

W ten sposób powstał swoisty trójkąt ograniczeń chińskiej miękkiej siły. Produkcje kulturowe akceptowane i wspierane przez państwo są zwyczajnie zbyt zachowawcze i natrętnie dydaktyczne, aby porwać zagraniczną publiczność. Twórcy zdolni do przedstawienia bardziej oryginalnego, krytycznego lub prowokacyjnego obrazu rzeczywistości nie mają szans przejść przez sito cenzury. Z kolei oficjalne instytucje promocji kultury, od mediów po Instytuty Konfucjusza, budzą nieufność właśnie dlatego, że ich działalność jest tak wyraźnie związana z państwem.

Hollywood, od dekad podziwiane przez Chińczyków, stanowi pod tym względem znamienny kontrast. Jego siła rażenia nie wynika jedynie z prostego afirmowania amerykańskiego stylu życia. Filmy amerykańskie nierzadko krytykują własne państwo, administrację, dowódców wojskowych, korporacje i normy społeczne. Bohaterami hollywoodzkich produkcji są zwykle samotnicy występujący przeciw niewydolnym instytucjom, skorumpowanym urzędnikom albo społecznej hipokryzji. Możliwość opowiadania historii niejednoznacznych i krytycznych zwiększała ich wiarygodność.

Tymczasem w Chinach narkotyki, seksualność, przestępczość, konflikty społeczne czy niewydolność instytucji to tabu i jeżeli ich pokazywanie jest możliwe, wymaga odpowiedniego moralnego lub politycznego ujęcia. Nie oznacza to całkowitego braku interesujących produkcji, ale ogranicza swobodę tworzenia niejednoznacznych bohaterów i konfliktów, które mogłyby przemawiać do międzynarodowej publiczności.

Ameryka traci, Chiny zyskują

Dzisiejsze Chiny najwyraźniej pożegnały się już z ambicją stworzenia przemysłu filmowego zdolnego zagrozić globalnej pozycji amerykańskiej fabryki snów. Swój prestiż budują poprzez osiągnięcia technologiczne, ekspansję marek konsumenckich, sprawność organizacyjną, turystykę i stopniowo umacniającą się kulturę cyfrową.

Tradycyjna kultura chińska cieszy się szacunkiem, ale współczesna kultura popularna nadal nie ma globalnego zasięgu.

Ale chyba największym sojusznikiem w misji poprawy chińskiego wizerunku na świecie okazał się nieoceniony Donald Trump. Chiny nie stały się nagle państwem liberalnym (wręcz przeciwnie) ani nie rozwiązały swoich problemów wizerunkowych. Zaczęły jednak korzystać na tym, że Stany Zjednoczone coraz częściej podważają wiarygodność własnej opowieści o świecie.

Polityka administracji Donalda Trumpa wyraźnie wzmocniła transakcyjny charakter amerykańskiej dyplomacji. Presja celna, publiczne upokarzanie sojuszników, groźby pod adresem partnerów oraz instrumentalne traktowanie zobowiązań międzynarodowych podważyły obraz Stanów Zjednoczonych jako przewidywalnego przywódcy zachodniego świata. Dla miękkiej siły USA to katastrofa. Chiny mogą tylko na tym korzystać, prezentując się jako aktor bardziej przewidywalny, stabilny i zainteresowany długoterminową współpracą gospodarczą.

Potwierdzają to najnowsze badania opinii publicznej. W sondażach Instytutu Gallupa mediana aprobaty dla światowego przywództwa Chin wzrosła w 2025 r. do 36%, natomiast ocena przywództwa USA spadła do 31%. Była to jedna z największych przewag Chin nad Stanami Zjednoczonymi w historii tych badań. Według innego ważnego wskaźnika, Global Soft Power Index 2026, Stany Zjednoczone nadal zajmują pierwsze miejsce z wynikiem 74,9 pkt, a Chiny z wynikiem 73,5 pkt pozostają na drugim miejscu, jednak różnica jest niewielka. W dodatku Chiny wyprzedzają już USA pod względem ogólnej reputacji. Jeszcze kilka lat temu taki rezultat byłby trudny do wyobrażenia.



Miejski krajobraz Kantonu w prowincji Guangdong.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Badanie Pew Research Center przeprowadzone w tym roku w 36 państwach pokazuje podobną tendencję. W większości analizowanych krajów Chiny były oceniane korzystniej niż Stany Zjednoczone. Nadal nie oznacza to powszechnego zaufania do Pekinu, a w wielu społeczeństwach oceny obu mocarstw pozostają negatywne, lecz zmieniła się proporcja nieufności. Chiny przestały być automatycznie postrzegane jako mniej atrakcyjna strona rywalizacji, ale niemal wszystko wskazuje na zmniejszanie się dotychczasowej przewagi Stanów Zjednoczonych.

Innym wymiarem zachodzącej obecnie zmiany w naszym podejściu do Chin jest rosnąca widoczność tamtejszej technologii. Przez lata Chiny kojarzono z tandetą i kopiowaniem zachodnich rozwiązań. Dzisiaj coraz częściej występują jako źródło własnych marek, technologii i wzorców konsumpcyjnych.

Zmiana ta ma oparcie także w rosnącym potencjale naukowym Chin. Według najnowszej edycji Critical Technology Tracker, zestawienia opracowywanego przez Australian Strategic Policy Institute, Chiny zajmują pierwsze miejsce pod względem udziału w najbardziej wpływowych publikacjach naukowych w 66 spośród 74 analizowanych technologii krytycznych. Nie oznacza to jeszcze bezwarunkowej dominacji technologicznej, ale pokazuje skalę przesunięcia dokonanego w światowych badaniach i innowacjach.

Najlepiej widać to na rynku motoryzacyjnym. Do niedawna chińskie samochody były w Polsce niemal nieobecne i kojarzyły się z produktami niskiej jakości. Jeszcze w listopadzie 2024 r. stanowiły zaledwie 1,48% nowych rejestracji. W sierpniu 2026 r. ich udział w polskim rynku nowych samochodów osobowych osiągnął już 15,9%. W ciągu kilkunastu miesięcy pojazdy takich marek jak MG, BYD, Omoda, Jaecoo czy Geely przestały być egzotyczną ciekawostką.

Podobne procesy możemy obserwować w przypadku elektroniki, sprzętu gospodarstwa domowego, dronów, robotów sprzątających i platform cyfrowych. Huawei, Xiaomi, DJI, Temu czy AliExpress sprawiają, że kontakt z Chinami nie odbywa się już wyłącznie poprzez wiadomości polityczne. Chiny stają się elementem codzienności.

Nie możemy jednak automatycznie utożsamiać popularności produktów z miękką siłą. Konsument może kupić chiński samochód albo telefon ze względu na korzystną cenę i jednocześnie nie ufać chińskiemu państwu. Widoczność marek ma natomiast znaczenie pośrednie – oswaja z chińskim pochodzeniem produktów i podważa stereotyp kraju zdolnego wyłącznie do wytwarzania tanich imitacji. Kompetencja technologiczna może z czasem przekształcać się w prestiż – i chyba to zaczynamy obserwować.

W akceptacji kultury popularnej zza Wielkiego Muru też rysuje się nieśmiały przełom. Największy chyba potencjał widać w grach komputerowych. Również globalna popularność lalek Labubu dowodzi, że chińskie firmy mają coraz większą zdolność tworzenia rozpoznawalnych marek, a nie wytwarzania produktów według zagranicznych projektów.

Atrakcyjność kraju budują jednak nie tylko eksportowane produkty kultury, lecz także możliwość jego bezpośredniego poznania. Rozszerzenie ruchu bezwizowego na obywateli kilkudziesięciu państw, w tym Polski, pomaga przekraczać barierę. Nie jest to wyłącznie ułatwienie administracyjne. Bezpośrednie doświadczenie może osłabiać stereotypy, choć nie musi prowadzić do bardziej pozytywnej oceny chińskiego systemu politycznego.

Polska jest interesującym przykładem współistnienia politycznej nieufności i konsumpcyjnej normalizacji Chin. W badaniu Pew Research Center z 2023 r. 67% Polaków deklarowało nieprzychylny stosunek do tego państwa. Jednocześnie polscy konsumenci coraz chętniej kupują chińskie samochody, telefony i sprzęt elektroniczny. Bez większych oporów robią zakupy na platformach Temu i AliExpress. Jakoś udaje się nam godzić otwarcie deklarowane obawy przed inwigilacją czy zależnością technologiczną z przekonaniem, że chińskie produkty są funkcjonalne, innowacyjne i konkurencyjne cenowo.

Nie obserwujemy zatem prostego triumfu chińskiej miękkiej siły. Jesteśmy raczej świadkami przejścia od świata zdominowanego przez atrakcyjność USA do takiego, w którym źródeł prestiżu, fascynacji i zaufania można szukać w kilku ośrodkach. Największym sukcesem Chin nie jest jeszcze to, że świat chce je naśladować. Jest nim to, że coraz większa część świata przestaje uważać je za państwo, które z definicji nie może być atrakcyjne.

Przypadek Chin przypomina zarazem, że wizerunku kraju nie da się zbudować samymi kampaniami promocyjnymi. Miękka siła powstaje wtedy, gdy atrakcyjna opowieść znajduje oparcie w rzeczywistych osiągnięciach, wiarygodnych instytucjach i polityce, która nie przeczy deklarowanym wartościom. To lekcja, o której warto pamiętać również w polskiej dyskusji o promocji kraju.

Największym sojusznikiem w misji poprawy chińskiego wizerunku na świecie okazał się nieoceniony Donald Trump.

Chiny zajmują pierwsze miejsce pod względem udziału w najbardziej wpływowych publikacjach naukowych w 66 spośród 74 analizowanych technologii krytycznych.

Prof. Stankomir Nicieja – doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Opolskiego, językoznawca i kulturoznawca. Zajmuje się wielokulturowością, dialogiem międzykulturowym oraz tym, jak różne kultury postrzegają siebie nawzajem i na siebie oddziałują. Szczególne miejsce w jego badaniach zajmują Chiny oraz ich relacje z Europą

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Tam berlingowcy, tu korowcy

Drogi pamięci potrafią być bardziej zadziwiające i nieodgadnione niż wydarzenia, które są przywoływane. Na ile można się poruszać w spójnym, konsekwentnym pakiecie wspomnień, nie popadając w niezrozumienie z nieporozumieniem? Nie były to zasadnicze pytania, kiedy w ubiegłym tygodniu brałem udział w upamiętnieniu wydarzeń z najnowszej historii Polski. Jedno to 50. rocznica powstania Komitetu Obrony Robotników, pierwszej w PRL jawnej grupy opozycyjnej, której powstanie i działania są dziś elementem historycznej ciągłości i spójności: KOR, Solidarność, 1989, NATO, Unia Europejska. Nie jest to jedyna opowieść historyczna o KOR, to ta oficjalna, dominująca.

KOR to pierwotnie grupa kilkanaściorga sygnatariuszek i sygnatariuszy Komunikatów kierowanych do ówczesnej władzy i społeczeństwa. Sam KOR, przekształcony po roku w Komitet Samoobrony Społecznej KOR, formalnie reprezentowało dwadzieścia kilka osób z bardzo różnymi życiorysami politycznymi (więcej pisałem o tym w poprzednim felietonie „Pół wieku KOR"). Wokół KOR uformowała się grupa kilkudziesięciu, w porywach do kilkuset współpracowników i współpracowniczek, narodził tzw. drugi obieg wydawniczy, czyli zaczęły się ukazywać poza cenzurą pisma i książki. Udział korowców w wydarzeniach sierpnia 1980 r. zasługuje na osobną opowieść. KOR i jego dalsze dzieje mają swoich kronikarzy, pisali o tym Jan Józef Lipski, członek KOR, i historycy: Andrzej Friszke czy Jan Skórzyński. Podczas obchodów rocznicowych pokazano fragmenty powstającego trzygodzinnego filmu dokumentalnego w reżyserii Marii Zmarz-Koczanowicz i Jacka Petryckiego (scenariusz Barbara Hrybacz) o Jacku Kuroniu. Już to, co obejrzeliśmy, daje wyobrażenie, jak ważny będzie to film o tej nietuzinkowej postaci, mającej w życiorysie wieloletnie odsiadki: za List otwarty do partii napisany z Karolem Modzelewskim, za tzw. wydarzenia 1968 r., potem w latach 80. za Solidarność.

Wciąż żyje kilkoro członków i członkiń KOR, dziesiątki, setki współpracowników. W jakiejś mierze nawet ja się do nich zaliczam, bo pod koniec lat 70. jako licealny nastolatek byłem kolporterem „Biuletynu Informacyjnego KOR", „Robotnika" czy książek NOWej i innych powstających wówczas wydawnictw bezdebitowych. To zaangażowanie ukształtowało mnie w aktywnościach politycznych na całe życie.

Dobrze było wyrazić wdzięczność ludziom, którzy mieli odwagę 50 lat temu stanąć w obronie strajkujących, a potem represjonowanych robotników Ursusa i Radomia, a tym samym rozpoczynali nowy rozdział aktywności politycznych poza systemem. W kolejnych dniach rocznica doczekała się nawet uroczystości państwowych z udziałem premiera Tuska. Tyle o KOR, chylę czoło.

Ale wziąłem też udział w skromnych, kameralnych można rzec, upamiętnieniach wydarzeń z września 1944 r. w Warszawie. To wówczas żołnierze 1. Armii WP pod dowództwem gen. Zygmunta Berlinga, po zdobyciu i wyzwoleniu prawobrzeżnej Warszawy, z jednej strony na wyraźny rozkaz Stalina, z drugiej z głębokim przekonaniem o słuszności i konieczności podjęcia takiej walki, dokonali desantu na lewy brzeg Wisły, gdzie trwało powstanie warszawskie. Desanty wylądowały w dniach 17-22 września na Czerniakowie, Powiślu i Żoliborzu. Berlingowcy byli w kontakcie z oddziałami walczącymi wciąż w Śródmieściu, na Mokotowie i Czerniakowie. Byli wśród nich m.in. powstańcy ze zgrupowania „Radosław" pod dowództwem płk. Jana Mazurkiewicza: z batalionu „Zośka", „Parasol", „Czata 49", oddziały Polskiej Armii Ludowej i Armii Ludowej.

Desanty w zgodnej ocenie historyków wojskowości były przygotowane niedostatecznie, chaotycznie, w konsekwencji zakończyły się krwawym niepowodzeniem. W tych dramatycznych kilkudniowych walkach zginęło ponad 2 tys. żołnierzy Berlinga, więcej niż w bitwie o Monte Cassino. Śmierć berlingowców domaga się naszej pamięci, nie ma wątpliwości, że walczyli i ginęli za Polskę i Warszawę, choć dziś jaskiniowy antykomunizm uważa ich za stalinowców.

W obchodach zainicjowanych przez organizacje kombatanckie wzięło udział kilkadziesiąt osób, w towarzystwie asysty Kompanii Reprezentacyjnej WP, Straży Miejskiej i Związku Kadetów RP. Przemówienia były krótkie, rysowały jednak opis realnych walk i ich tragicznego przebiegu, ale i sensu.

Przemawiając na Płycie Desantu Czerniakowskiego, Krzysztof Rinas, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych, przywołał słowa walczącego na Czerniakowie żołnierza 3. Dywizji, Tadeusza Targońskiego: „Krew polskiego żołnierza poległego za Ojczyznę na wszystkich pobojowiskach świata jest tego samego koloru, a rany zadane przez wroga jednakowo bolą". Podobną ocenę wyraził walczący na Czerniakowie gen. Zbigniew Ścibor-Rylski ze zgrupowania „Radosław", zmarły w 2018 r. wieloletni prezes Związku Powstańców Warszawskich: „Nie było między nami żadnych różnic, czy to byli z AK, z AL czy innych formacji, czy z Wojska Polskiego. Wszyscy walczyliśmy o jedną sprawę, żeby tylko zwyciężyć, żeby jak najwięcej móc ocalić jeszcze konającej Warszawy". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Jak Duce uwiódł Włochy

Artykuły Mussoliniego zwiastowały politykę prowadzoną za pomocą tweetów

Antonio Scurati



Mussolini podczas marszu na Rzym, 24 października 1922 r.

Populizm jest terminem niejasnym i ogólnikowym, często używanym nieprecyzyjnie, czasem wręcz mylnie. To wyraz amulet, po który się sięga za każdym razem w obliczu rzeczywistości niepokojącej, nieuchwytnej i groźnej, jakby służył do lingwistycznych egzorcyzmów. Obnosimy go wszędzie tak samo, jak niegdyś nosiło się w procesjach figury świętych patronów, by zażegnać kataklizm lub głód, podczas gdy należałoby posługiwać się nim ostrożnie i oszczędnie.

Jeśli o mnie chodzi, to starając się od wielu lat zrozumieć fenomen Mussoliniego i patrząc na niego z punktu widzenia pisarza XXI w., dysponując zatem podwójnym obrazem, jakbym miał dwuogniskowe soczewki i widział jednocześnie przeszłość i teraźniejszość, dostrzegłem w nim cechy charakterystyczne dla politycznej fizjonomii populizmu, zwłaszcza w sposobie sprawowania przywództwa. Właściwie bardziej niż „cechy" są to reguły, normy działania. Zidentyfikowałem procedury i techniki polityczne, które 100 lat temu pozwoliły przywódcy faszyzmu uwieść Italię po tym, jak ją zgwałcił (albo nawet równocześnie), posługując się swymi paramilitarnymi bojówkami.

Personalizacja autorytarna

„Ja jestem narodem". To pierwsza reguła populizmu Mussoliniego. Mussolini populista – i po nim wszyscy inni populistyczni przywódcy aż do naszych dni – zaczyna się od tego stwierdzenia. Jest aroganckie, pretensjonalne i nielogiczne, ale Duce na nim nie poprzestaje. Nie przejmując się tym, że popada w logiczno-gramatyczną sprzeczność, formułuje także stwierdzenie odwrotne: „Naród jest mną". O ile w pierwszej konstatacji zapędza się w przesadzoną synekdochę, o tyle w drugiej, redukując wielość do pojedynczej figury charyzmatycznego lidera, dokonuje zabiegu jeszcze bardziej niebezpiecznego. Termin „populista" jest jednym z tych wyrazów, które same w sobie wyjaśniają wszystko. Wszystko i nic. Utożsamienie jednostki ze zbiorowością jest tym samym co zredukowanie „wszystkiego" do „prawie niczego" pojedynczego bytu. Ja jestem narodem, naród jest mną. Zachłanne „ja" populisty poprzedza każdą myśl, argumentację czy każdy program, nadaje silne personalistyczne piętno wszystkim propozycjom politycznym.

W przypadku Benita Mussoliniego wejście do polityki tego „wszechżernego ja" zapowiedziała rewolucja w jego języku dziennikarskim. Widać ją w jego artykułach prasowych – błyskotliwych i skutecznych, na swój sposób doskonałych, które miały niewiele wspólnego z ówczesnym stylem dziennikarskim, zwłaszcza zaś z dominującymi na początku XX w. tekstami pozostającymi jeszcze pod wpływem XIX-wiecznej kultury literackiej. Benito Mussolini nigdy nie zapomniał, że zaczynał jako dziennikarz (przez 20 lat swojej dyktatury zachował prawo własności i – za pośrednictwem osób trzecich – kierownictwo założonej przez siebie gazety). Nam też nie wolno o tym zapominać.

Agitator z Predappio zadebiutował w życiu publicznym jako dziennikarz.

FOT. WIKIMEDIA/DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Zanim założył „Il Popolo d'Italia", wezwano go w 1912 r. z prowincji do Mediolanu, do kierowania organem prasowym socjalistów, dziennikiem „Avanti!", tym samym, którego siedzibę w kwietniu 1919 r. pierwsi faszyści, zdemobilizowani ardyci, doszczętnie zdemolowali i podpalili.

Przyszły Duce zasłużył sobie na powierzenie mu tej funkcji sensacyjnym wystąpieniem na krajowym kongresie socjalistycznym w Reggio Emilia, gdzie brutalnie zaatakował paru sędziwych przedstawicieli umiarkowanego skrzydła partii za to, że złożyli wizytę rannemu w zamachu królowi. Zmusił ich publicznie do przyznania się do sprzeczności, obrażał ich, a nawet znieważał. Wpadł w ekstazę retoryczną i podkreślał jeszcze ten swój stan przesadną gestykulacją. Wrzeszczał i złorzeczył, walił pięściami w trybunę i przeklinał. Publiczność się podzieliła. Niektórzy uznali go za szaleńca (…). Inni widzieli w nim przyszłość (…).

Tak czy owak, Mussoliniego powołano do kierowania gazetą socjalistów. I z pewnością nie było przypadkiem, że siedem lat później pierwszym znaczącym aktem przemocy faszystowskich squadrystów zjednoczonych z nacjonalistami, ardytami i futurystami, przy biernym udziale sił porządkowych, była napaść na siedzibę „Avanti!" w Mediolanie. Były ofiary w ludziach.

Po akcji napastnicy przynieśli Mussoliniemu trofeum, drewniany szyld wyrwany znad wejścia do redakcji gazety „Avanti!", jakby to był sztandar zdobyty w bitwie. Mussolini, jak to on, czekał na wynik akcji, nie narażając się osobiście, w swoim biurze w redakcji „Il Popolo d'Italia", oddalonej zaledwie o kilka ulic. „To dzień naszej rewolucji. Rozegrał się pierwszy epizod wojny domowej", ogłosił później przyszły dyktator, gdy przemawiał do garstki rozszalałych morderców. Pokazał im szyld redakcji dziennika, dla którego do niedawna pracował. Tym samym zadeptał do końca trupa swej przeszłości. Tak wyglądała trzecia kluczowa scena początków faszyzmu. Albo ściślej – populistycznego uwodzenia, które zawsze faszyzmowi towarzyszyło. Pojawiły się w tej scenie przedmioty symbolizujące oba narzędzia, dzięki którym Benito Mussolini zdobył władzę: agresję squadrystów oraz retorykę masowej komunikacji – pałka i szyld redakcji gazety.

Przyjrzyjmy się przeprowadzonej przez Mussoliniego rewolucji w języku prasy. Na czym polegała? Zdania budował krótkie. Bardzo krótkie, z najprostszą składnią. Podmiot, orzeczenie, dopełnienie bliższe. Każde zdanie miało być zapadającą w pamięć maksymą, nadawać się do zacytowania. Ale to nie wszystko. Pojedyncze zdania powinny funkcjonować także poza kontekstem. Miały to być zdania slogany. Język Mussoliniego dziennikarza był swobodny, nieskrępowany, wolny od obowiązku koherencji; przyszły Duce nie dbał w swoich tekstach o spójność z tym, co sam powiedział dzień, miesiąc czy rok wcześniej, ani tym, co powie nazajutrz czy za tydzień. Nie troszczył się też o spójność ontologiczną, o to, czy słowa oddają rzeczywistość. Jego retoryczne stwierdzenia były pompatyczne i szumne, a orzeczenia poprzedzał najczęściej podmiot „ja". Obiecuję, mówię, ostrzegam… Ja, ja, ja… Znów ta personalizacja. Towarzyszy myśleniu totalitarnemu, które zastępuje mozolną, wieloaspektową pluralistyczną debatę społeczną. Woluntaryzm zamiast racjonalnego rozumowania. Charyzmatyczny przywódca zamiast gorzkiej rzeczywistości. Nie pomyliłby się ten, kto by powiedział, że artykuły Mussoliniego były zwiastunami polityki prowadzonej za pomocą tweetów.

Ja. Ja jestem całym narodem, ja jestem ludem. Mussolini był bez wątpienia synem ludu. Od razu po przybyciu do Mediolanu i objęciu stanowiska redaktora naczelnego „Avanti!" wykonał gest typowy dla demagogów, to znaczy obniżył sobie wynagrodzenie. Poza tym zaczął pisać językiem mającym przypominać język ludu, sprawiając, że nakład dziennika powiększył się czterokrotnie. (…)

Ja. Ja jestem narodem. I uwaga! – jak już powiedzieliśmy, temu stwierdzeniu towarzyszyła zawsze jego odwrotność: naród jest mną. Miliony pojedynczych bytów zostały sprowadzone do poziomu masy, a następnie utożsamione z jedną osobą. To oczywiste, że już ta pierwsza reguła wystarczy, by uznać populizm Mussoliniego za zdecydowanie antydemokratyczny styl polityczny. Populistyczny, wręcz hiperpopulistyczny, a więc antydemokratyczny, bo jeśli przywódca przedstawia się jako cały naród i twierdzi, że naród jest nim, to ktokolwiek, kto nie stoi po jego stronie, oraz każdy, kto nie należy do jego narodu, jest wrogiem.

Benito Mussolini nigdy nie zapomniał, że zaczynał jako dziennikarz. Nam też nie wolno o tym zapominać.

W zgodzie z tą pierwszą regułą lider populistyczny będzie piętnował każdą pozycję polityczną sprzeczną z jego stanowiskiem – nie tylko jako sprzeczną z interesami narodu, ale wręcz jako wrogą całemu narodowi. Jako antywłoską we Włoszech, ale i jako antyamerykańską w Ameryce, antyfrancuską we Francji itd. To wystarczy, by ogłosić tę uznaną za wrogą pozycję polityczną nielegalną, a nawet bezprawną. Jej przedstawiciele obok oskarżeń politycznych doświadczą napaści osobistych, będą obrażani, nazywani wrogami ludu i zdrajcami. W krańcowych przypadkach ogłosi się publicznie, że „zasługują na śmierć".

Krucjata antyparlamentarna

Zanim jednak populizm Mussoliniego osiągnął ten poziom, w swej fazie wzrostu prowadził ostrą nagonkę na parlament. Nie ma w tym nic niezwykłego, że retorycznemu atakowi na demokrację towarzyszy propaganda antyparlmentarna. Dlaczego? Ponieważ parlament to wieloraka mnogość, to miejsce tysiąca różnic, przeciwstawnych interesów, odrębnych stanowisk, często ze sobą sprzecznych i nieprzejednanych. Parlament jest sanktuarium nieśpiesznej, długotrwałej sztuki demokracji, świątynią jej kruchego

eprasa.pl e6ffbd3fc1

piękna. Ale jeżeli „ja jestem narodem, a naród jest mną”, to parlament jest jedynie stratą czasu, miejscem korupcji i przywilejów kastowych, niekompetencji i patologicznej degeneracji, kradzieży i oszustw, jest ośrodkiem chronicznego chaosu. Czeka go los słabeuszy i nieudaczników.

Nie przypadkiem ostra krytyka instytucji parlamentu, przedstawiająca go jako zbędną komplikację i hamulec procesu decyzyjnego, znajduje się u źródeł wszystkich ruchów populistycznych, zarówno dawnych, jak i współczesnych, prawicowych i lewicowych.

Pierwsi faszyści szydzili z systemu wyborczego i przeciwstawiali fałszywy, ich zdaniem, zaszczyt reprezentowania narodu w parlamencie autentycznemu honorowi posiadania medali zdobytych na polach bitewnych. To nie przeszkodziło ich przywódcy, pozbawionemu skrupułów oportuniście, w wystawieniu Związków Bojowych w wyborach, gdy tylko uznał, że przyniesie mu to korzyść. Jednakże parę lat później fakt, że zasiadał w parlamencie z „mumiami”, ze „zramolałymi truchłami oderwanymi od rzeczywistości”, jak mówił o posłach, nie powstrzymał go od zadania ostatecznego ciosu w samo serce demokracji.

Mussolini populista zaczyna się od stwierdzenia: „Ja jestem narodem”.

Benito Mussolini, ten archetyp wszystkich populistycznych przywódców, już w 1919 r. nazwał nowy ruch Związków Bojowych „antypartią”, i to określenie odbija się echem także w naszych czasach, po upływie stu lat. Założyciel faszyzmu mówił o sobie: „Ja nie uprawiam polityki, uprawiam antypolitykę” – który to slogan sprzed wieku jest często używany również w nowym tysiącleciu; przyrównał parlament w Rzymie do ponurego domu pogrzebowego, a parlamentarzystów nazwał „mumiami z Montecitorio” i obiecał „poddać je likwidacji” (jeszcze jedno określenie pobrzmiewające w naszym świecie polityki). Obraz liberalnej klasy politycznej przedstawianej jako „kasta” zamknięta w bańce swoich przywilejów, skupiona na samej sobie, głucha na głos ludu, który ostatnio odnosi duże sukcesy, też ma już sto lat. (…)

W odróżnieniu od populistów współczesnych, którzy ograniczają się raczej do dyskredytowania przeciwników i powodowania powolnej erozji parlamentarnych fundamentów demokracji liberalnej, Mussolini od początku deklarował pogardę dla parlamentu i dla systemu demokratycznego opartego na parlamentaryzmie, a przy tym otwarcie mówił o swoim zamiarze zniszczenia go.

W 1922 r. zorganizował jednocześnie prawdziwy i symboliczny marsz na Rzym i osiągnął władzę w państwie. Kiedy zaś uzyskał już od króla mandat do utworzenia rządu, w pierwszym przemówieniu w Izbie Deputowanych upokorzył i znieważył tę instytucję, którą jako jej przedstawiciel powinien szanować i której w razie potrzeby powinien bronić. (…)

Prowadzić, pozostając z tyłu

Antyparlamentaryzm u charyzmatycznego przywódcy jest zapowiedzią jego stosunku do bazy społecznej niezgodnego z zasadami demokracji przedstawicielskiej. Jak widzieliśmy, przywódca populistyczny nie ogranicza się do reprezentowania narodu, on twierdzi, że sam jest narodem. Pozostaje zatem pytanie, jaką relację nawiązuje taki przywódca z elektoratem, z którym się utożsamia. I tutaj wchodzi w grę trzecia reguła, czy też prawo populizmu wymyślonego przez Mussoliniego. Często podkreśla się jego wybitną zdolność do wynajdywania korzystnych posunięć taktycznych, jego bezwzględny oportunizm, cyniczny pragmatyzm, koniunkturalizm i gotowość do zmiany stanowiska, kursu i sojuszów w zależności od sytuacji.

To wszystko prawda. Ale jego „amoralności” politycznej nie można sprowadzać do zwykłego braku skrupułów czy do karierowiczostwa, cała linia postępowania Mussoliniego „zwierzęcia politycznego” wzięła się bowiem z jego dalekowzrocznej intuicji, a ta pozwoliła mu przewidzieć, czym się stanie polityka w epoce mas, która wtedy się zaczynała i dzisiaj wkroczyła w fazę dojrzałości.

Pod koniec wielkiej wojny Mussolini był jednym z pierwszych, którzy przeczuli, że w nadchodzących czasach liderzy ludzkich mas nie będą kroczyć przed nimi, nie będą – jak sugeruje etymologia angielskiego słowa *to lead* – prowadzić ich, znajdując się na czele. Przeciwnie: będą kierować masami, pozostając z tyłu, o krok za nimi. Trzecia reguła populizmu Mussoliniego wprowadza nowy typ przywódcy, kondotiera, który nie prowadzi mas, krocząc na ich czele, ale robi to, podążając za nimi.

Przypomnijmy jeden z najsławniejszych i najwznioślejszych sloganów faszyzmu (…): „Jeśli będę szedł przodem – idźcie za mną, jeśli się cofnę – zabijcie mnie, jeśli polegnę – pomścijcie”.

Co mówiło to hasło o wodzu faszystów? Wydaje się przedstawiać Mussoliniego prowadzącego naród niczym oficer żołnierzy na polu bitwy – na ich czele. Nic podobnego. To tylko oficjalna retoryka. Prawdę o przywództwie Mussoliniego znajdziemy w innym jego zdaniu, powtarzanym nie głośno, ale raczej szeptem. „Ja jestem człowiekiem następstw”, powtarzał z dumą, szczycąc się swym sprytem politycznym. Ja jestem człowiekiem następstw, bo pojawiam się na scenie zawsze chwilę po politycznych wydarzeniach. Nie poprzedzam ich, ale podążam za nimi.



Fragmenty książki Antonia Scuratiego *Faszyzm i populizm. Mussolini dzisiaj*, przeł. Alina Pawłowska-Zampino, Post Factum/Sonia Draga, Katowice 2025

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Oko w oko Tomasz Jastrun

Ślimak i „Lalka”

Ukazał się w Austerii mój tomik wierszy „Ślad ślimaka”, błyskawicznie, ten, którego druk zablokowano mi w PIW z powodów politycznych. Można chwalić liberałów za wiele rzeczy, ale nie wyczyścili Polski po PiS, ledwie musnęli suchą szmatką. Nas oni będą wycierać na mokro.

Miałem w miesięczniku „Zwierciadło” na ostatniej stronie „Okno z wierszem”. Publikowałem tam wiersz znanego poety i krótki eseik o nim. Trwało to dwa i pół roku. W grudniu kończę ten cykl. Wdzięczny jestem pismu za ten czas. Nakłady tomików są teraz małe, księgarnie nie chcą poezji. A paradoksalnie dziesiątki tysięcy ludzi pisze wiersze, jestem teraz w jury dwóch dużych konkursów poetyckich. Ludzie piszą, bo poezja ma w sobie coś pierwotnego, jest choćby u źródeł myślenia dziecka. „Dlaczego jabłko ma tylko głowę?”, zapytałem jako trzylatek ojca. Nie napiszę lepszego wiersza. Co się więc dzieje?

Poeta Andrzej Dębkowski trafnie napisał o zjawisku, nie potrafię lepiej, więc go cytuję: „Mamy coraz więcej poetów i coraz mniej czytelników poezji. Coraz więcej książek i coraz mniej ludzi, którzy mają czas i potrzebę, żeby je czytać. Coraz więcej konkursów, nominacji, dyplomów, wyróżnień, antologii i spotkań autorskich, a jednocześnie coraz mniej rzeczywistego społecznego oddziaływania literatury. Można niemal odnieść wrażenie, że literatura zaczyna funkcjonować sama dla siebie. Poeci piszą dla poetów. Poeci czytają poetów. Poeci spotykają się z poetami. Poeci przyznają sobie nagrody, publikują w kolejnych antologiach, uczestniczą w kolejnych konkursach, a potem wracają do swoich miast i zastanawiają się, dlaczego społeczeństwo nie czyta poezji”.

Z jednym się nie zgodzę. Poeci nie czytają dzisiaj innych poetów. Najchętniej czytają własne wiersze (narcystyczna osobowość naszych czasów). Tak liczni przecież nie kupują tomików innych poetów. „Kurczą się, kurczą nasze wyspy”, powiedział kiedyś Miłosz.

Gdy „Ślad ślimaka” już był po korekcie, zrodził mi się nagle wiersz, jakby sam z siebie. Czasami – rzadko – wiersze rodzą się już gotowe. Ten jest krótki, więc go zacytuję. Zamyka tomik.

Szklanka

Ja umrę pierwszy
Ty pójdziesz po mnie
Niosąc mi w szklance
Wodę z listkiem mięty
Jak zniknę pierwszy
Ty znikniesz po mnie
Za nami znikną
Nasze dzieci wnuki

Zostanie szklanka
Z listkiem mięty
Na stole dla tych
Co po nas przyjdą

•

Krystyna Janda zwierza się: „Dopóki nie rządziło PiS, to ja myślałam, że wszyscy ludzie są dobrzy. I nagle potem zrozumiałam, że wcale tak nie jest. My jesteśmy spolaryzowani do tego stopnia, że PiS odbieram jako zło. Myślałam, że może ja jestem nienormalna, ale jak zaczęłam czytać te hejty w telewizji, radiu… Po prostu wszędzie. To był dla mnie szok. Myślałam, że wszyscy myślą tak jak ja i Andrzej Wajda”.

Krysiu, znamy się od wielu lat, był stan wojenny, też byliśmy skrajnie podzieleni, to była wojna domowa z jej emocjami. Pamiętasz, jak czytałaś moje wiersze polityczne w pierwszych tygodniach stanu wojennego w mieszkaniu Izy S.? Był tam taki podziemny salon, zawsze pełno ludzi. Jakże znamienne, że Iza, która go prowadziła, jest teraz podobno gorącą zwolenniczką PiS. Wielu ludzi, którzy wtedy byli z nami – a to była silna więź – teraz jest po drugiej stronie, jak piszesz, po stronie zła. Czuję tak samo, ale może to nie jest takie proste?

•

Serial „Lalka” podzielił Polaków na pół, niemal jak PiS. Mamy talent do biegunowych, toksycznych podziałów. Filmem rządzą inne prawa niż literaturą, film nie musi być wierny powieści, która była inspiracją. To mogą być wariacje i taki jest ten serial. Są wybitne filmy, wierne adaptacje literatury i wybitne luźne interpretacje. Ten film wciąga w swój świat, a o to chodzi kinu. Oczywiście nie używano wtedy w dobrym towarzystwie wulgaryzmów, a w filmie ich bez liku. Jeszcze jak byłem dzieckiem, nie robiono tego, to znak naszych czasów. Ale wybaczam to, film chce być aluzją do naszych czasów, punktując też nasze wady narodowe. Poza tym świetna scenografia i aktorzy dobrze grają. A ja w słuchawkach słucham sobie na spacerach i w autobusach „Lalki” i zachwycam się tą powieścią, którą udało mi się gruntownie zapomnieć. Chyba jedyna zaleta mojej słabej pamięci. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Dyktatura sztucznej inteligencji

Oddajemy AI coraz więcej. W końcu oddamy jej siebie



AGNIESZKA SMOCZYŃSKA
– reżyserka i scenarzystka filmowa, w kinach możemy już oglądać jej najnowszy film „Hot Spot”

Rozmawia Wojciech Tutaj

Myślisz o przyszłości z lękiem czy z nadzieją? Jak sobie ją wyobrażasz?

– Kiedy wyobrażam sobie przyszłość, towarzyszy mi coraz wyraźniejszy lęk. Właściwie im większą mam świadomość zmian politycznych na świecie i gwałtownego rozwoju AI, tym bardziej rosną moje obawy.

Ważnymi punktami odniesienia przy realizacji „Hot Spotu” – filmu opowiadającego o niedalekiej przyszłości – były więc teksty o sztucznej inteligencji i nowych technologiach?

– Punktem wyjścia dla mnie i scenarzysty Roberta Bolesty była książka „21 lekcji na XXI wiek”. Yuval Noah Harari pisze, że sztuczna inteligencja będzie dynamicznie się rozwijać i dojdzie do zawiązania umowy społecznej, w której ludzie zgodzą się, by nimi zarządzała. Harari ostrzega przed oddawaniem swoich danych AI i zachęca do podejmowania rozważnych wyborów w sieci. Wszyscy dobrze wiemy, że big techy rządzą teraz w sferze internetowej i decydują, jak ma wyglądać komunikacja za pomocą sztucznej inteligencji. W 2023 r. liderzy branży technologicznej i badacze AI podpisali nawet list otwarty nawołujący wielkie firmy do wstrzymania prac nad nowymi modelami sztucznej inteligencji.

Kiedy zaczynaliśmy pracę nad „Hot Spotem”, myślenie o wpływie AI wydawało się fantazjowaniem. Teraz coraz częściej sugerujemy się podpowiedziami sztucznej inteligencji, korzystając z wyszukiwarki internetowej. Albo dzielimy się z nią prywatnymi danymi. Zastanawialiśmy się też z Robertem, co będzie, gdy fake newsy zdominują przekazy medialne. Dzisiaj fake news w pewnym sensie staje się faktem – jest powtarzany tyle razy, że przenika do rzeczywistości.

Czerpaliście z tradycji kina i literatury science fiction czy chcieliście pójść własną drogą?

– Nie myśleliśmy o dziedzictwie gatunku ani o konkretnych tytułach. W ogóle nie postrzegaliśmy „Hot Spotu” jako opowieści science fiction, bo wykorzystujemy zarówno elementy tej konwencji, jak i rozwiązania charakterystyczne dla antykryminału, horroru czy komedii. W trakcie przygotowań do filmu w mediach pojawił się temat fake newsów, więc jeżeli próbujesz o nim opowiadać, historia staje się bliska rzeczywistości. Bardzo nam zależało, żeby nie budować świata zupełnie oderwanego od współczesnych realiów. Chcieliśmy raczej się pobawić retrofuturystyczną estetyką i kiczem, by zrobić pastisz kina SF, jednocześnie poruszając ważne dziś tematy.

Portretujecie głównego bohatera z przymrużeniem oka. Dlaczego Dżony ma tak nietypowy wizerunek jak na detektywa?

– Dla mnie to rodzaj gry i zabawy z figurą mężczyzny oraz twardego,

FOT. ZUZA KRAJEWSKA, SO FILMS

eprasa.pl e6ffbd3fc1

smutnego i pokiereszowanego detektywa. Przy tworzeniu rysów postaci wiele rzeczy przychodzi do nas intuicyjnie, ale już z lektury scenariusza wiedziałam, że Dżony ubiera się w biały strój cyklisty, nosi kolczyki koła i ma fryzurę typu mokra Włoszka. Dopiero gdy Robert dopasował do bohatera odpowiedni kostium i wymyślił dla niego piosenkę „The Final Countdown" zespołu Europe, kolejne elementy historii zaczęły się układać. Jego wygląd i sposób bycia narzucają też konwencję filmu. Powłoka sugeruje pastisz, żart i ironię, ale przeżycia wewnętrzne mężczyzny są poważne. Jako widz nie wiesz, czego po nim się spodziewać, a to pozwala nam na narracyjną swobodę. Od strony reżyserskiej ważne było dla mnie jednak, by Dżony mierzył się z prawdziwym lękiem, a jego emocje nie zostały spłaszczone lub wyśmiane.

Film jest rozpięty między skrajnościami. Całą historię otwiera wątek kryminalny, ale po drodze konwencje się zmieniają. Humor i ironia sąsiadują z atmosferą niemal paranoiczną. Jak zachować balans między tak różnymi elementami?

– To duże wyzwanie, ale staram się po prostu podążać za tekstem. Scenariusz zakładał, że skoro mamy postać detektywa, to fabuła zaczyna się jak kryminał. Traktujemy jednak konwencję i bohatera z dystansem, więc zagadka szybko się rozwiązuje. Widz może poczuć rozczarowanie, bo kocha odkrywać tajemnice zbrodni, a tu musi wejść w zupełnie inną historię. Później skupiamy się na samym bohaterze i próbujemy odpowiedzieć na pytanie, co dało mu spotkanie z Raną – przywódczynią grupy religijnej NeoSoul, którą przesłuchiwał w sprawie morderstwa, i kobietą, która go pociąga. Takie rozwiązanie wydało mi się odświeżające. Na końcu mamy jeszcze trzeci akt, który bardzo przyśpiesza, dzieje się w nim wiele rzeczy naraz. Pamiętam, że chcieliśmy wymieszać wszystkie gatunki jak w anime, by oddać chaotyczność i skomplikowanie filmowego świata, który też zaczyna gwałtownie pędzić. Nasze podejście brało się więc z intensywnej analizy scenariusza.


Kadr z filmu „Hot Spot".

Agnieszka Smoczyńska – (ur. w 1978 r.) absolwentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim, reżyserii na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach oraz Szkoły Wajdy. Od 2023 r. jest członkinią Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej (AMPAS). Jej pełnometrażowy debiut „Córki dancingu" zdobył m.in. Nagrodę Specjalną Jury na festiwalu Sundance, nagrodę za debiut w Gdyni i Orła w kategorii Odkrycie roku. „Fuga" miała światową premierę w Cannes, a za „Silent Twins" reżyserka otrzymała Złote Lwy w Gdyni.

Ekranowy świat nie jest supernowoczesny. Widać to na przykładzie samochodu bohatera, który wygląda jak z lat 80.

– Od początku wiedzieliśmy, że nie chcemy i nie będziemy mogli zbudować żadnych pojazdów przyszłości. Postanowiliśmy więc zabawić się tym, że ludzie przetwarzają modele samochodów kultowych w latach 80. i używają ich w świecie „Hot Spotu". Nasz pomysł dobrze obrazuje jedna z pierwszych scen, gdy Dżony wyjeżdża starym Citroënem spod gmachu starożytnego teatru greckiego. Zaraz jednak orientujemy się, że samochód jest automatyczny. Wszystkie porządki się mieszają. Na podobnej zasadzie projektowaliśmy mieszkania bohaterów czy obóz dla uchodźców. Wiele starych miejsc i przedmiotów w „Hot Spocie" – jak odpady, relikty lub pomniki – zostaje po prostu dostosowanych do nowych czasów. Ważną zasadą dla mieszkańców filmowego świata jest oszczędność, dlatego przerabiają dawne modele albo zmieniają funkcję urządzeń, z których już korzystają. Analogicznie działają teraz strony typu Vinted, gdzie sprzedaje się używane ubrania. Dotyczy to też mebli, samochodów, domów – przetwarzamy dziś wszystko.

Fake news staje się faktem – jest powtarzany tyle razy, że przenika do rzeczywistości.

Co okazało się największym wyzwaniem przy kreowaniu świata przyszłości?

– Czytając scenariusz „Hot Spotu", wyobraziłam sobie suchy krajobraz bez zieleni, roślinności i zwierząt. Moim pierwszym skojarzeniem była Grecja, kolebka naszej cywilizacji. Kiedy tam polecieliśmy, mieliśmy jasne założenie, że musimy zbudować wszystkie scenerie wokół Aten. Zależało mi głównie na znalezieniu lokacji wolnych od miejskiej zabudowy, aby postać poruszająca się z jednego punktu do drugiego widziała tylko wyschnięte tereny i kamienie. Choćby mieszkanie Dżony'ego – znajduje się gdzieś na pustkowiu, nie jest częścią żadnego osiedla. Grecję wybrałam też ze względu na legendarne lotnisko Ellinikon, które symbolizowało potęgę kapitalizmu,

eprasa.pl e6ffbd3fc1

ale po zamknięciu w 2001 r. zostało przekształcone w obóz dla uchodźców. Miejsce swobodnego transferu między Wschodem i Zachodem stało się rodzajem więzienia dla ludzi przybywających do Europy. Wiedziałam, że chcę tam kręcić.

„Hot Spot" jest filmem anglojęzycznym, ale obsadę tworzą aktorzy z różnych stron świata. W dialogach słychać obce akcenty. Te wybory były podyktowane wątkiem uchodźców, wśród których Dżony prowadzi śledztwo?

– Zanim podjęliśmy decyzję o realizacji zdjęć w Grecji, planowaliśmy dialogi mówione po polsku. Potem zaczęliśmy się zastanawiać, jak Rana ma się porozumiewać z Dżonym, skoro należy do grupy uchodźców przybyłych spoza systemu. Ważna była też obserwacja, że we współczesnym świecie rośnie liczba związków i małżeństw wielonarodowych. Dodatkowo wydało mi się fascynujące, że Rana przychodzi z zewnątrz, ale jeszcze 30-40 lat temu za obcych uznawano Dżony'ego i jego żonę Ajkę. Ich syn Zen reprezentuje już pokolenie ludzi wychowanych tutaj, ale mających imigranckie korzenie. Właśnie dlatego obywatele ekranowego świata mówią w Broken English. Nikt nie musi udawać, że posługuje się perfekcyjną angielszczyzną. Dla niektórych ten język jest trudny do zrozumienia, część komunikatów zostaje siłą rzeczy spłaszczona, ale sądzę, że i tak będzie obowiązywał w przyszłości. Coraz łatwiej się w nim odnajdujemy, a zwykłe, codzienne życie nie wymaga zaawansowanej znajomości angielskiego. Nawet na planie mówiliśmy w Broken English. Sposób komunikacji bohaterów metaforycznie odbija więc charakter współczesnej rzeczywistości.

Pokazujecie system, w którym rządzi sztuczna inteligencja zwana Głową, a obywatele są jej podporządkowani. To nowa forma totalitaryzmu?

– Totalitaryzm jest ustrojem, w którym jednostki są zniewolone i nie mogą zmienić swojej sytuacji. W „Hot Spocie" mamy raczej do czynienia z nową formą dyktatury albo nową formą zarządzania. Zależało nam na stworzeniu systemu, w którym ludzie czują się dobrze, bo sami wybrali podporządkowanie, nic nie zostało im narzucone. Konsekwencje podłączenia pod sztuczną inteligencję są jednak takie, że ona ich coraz bardziej obezwładnia. Myślę, że opisana sytuacja jest realna. Współcześnie przekazujemy już w ręce AI nasze dane osobowe, takie jak PESEL czy miejsce urodzenia. Ale dzielenie się własnymi myślami i uczuciami, z proszeniem o poradę włącznie, to coś zupełnie innego. Rozmawiamy wtedy o bardzo intymnych informacjach. W „Hot Spocie" metaforą wchodzenia w sferę intymną staje się akt wnikania do cudzej głowy. W imię obrony systemu niektórzy na pewno będą chcieli ujawniać nasze prywatne dane. Jeszcze kilka lat temu szokowało nas, że ktoś może wejść w skasowane SMS-y lub mejle i użyć ich jako dowodów w sprawie sądowej. A co, jeśli będzie można sięgać po intymne fakty, które przekazaliśmy w rozmowie z Chatem GPT?

> AI rozwija się w tempie, którego trudno było doświadczyć w przypadku wcześniejszych rewolucji technologicznych.

Ważnym tematem filmu staje się konformizm Dżony'ego. Wierzysz, że w walce o przetrwanie i bezpieczeństwo człowiek łatwo odda swoją wolność, nawet technologii?

– Wydaje mi się, że już to robimy, ale chodzi nie o raz podjętą decyzję, tylko o stopniowy proces oddawania autonomii. Jeżeli wiemy, że wszystkie wiadomości na Gmailu i WhatsAppie są skanowane, ale nadal korzystamy z tych narzędzi, to nie ma mowy o oszustwie. Sami zgadzamy się na podobne działania. Często słyszymy, że są one podejmowane w imię bezpieczeństwa, postępu lub polepszenia naszych warunków życia. Zwłaszcza jeśli mają służyć nauce, medycynie czy obronności. Niezależnie od stojących za tym idei świadomie poświęcamy część naszej wolności.

W czasach wielkiego przyśpieszenia technologicznego kino science fiction może służyć do opisywania rzeczywistości?

– Tak, zgadzam się. Gdy pojawiły się telefony komórkowe, mieliśmy kilka lat na oswojenie się z nimi. Dopiero potem weszły smartfony. Sytuacja ze sztuczną inteligencją jest diametralnie inna, bo zmienia się w ciągu miesięcy, a nawet tygodni. AI rozwija się w tempie, którego trudno było doświadczyć w przypadku wcześniejszych rewolucji technologicznych. Wydaje mi się, że to nagłe przyśpieszenie technologiczne jest czymś nowym dla nas i dla naszych mózgów. Nie wspominając o starszych osobach, które nie rozumieją następujących zmian i czują się wykluczone z rzeczywistości.

Mam nastoletnią córkę i sama czasem czuję się wykluczona, kiedy obserwuję, jak porusza się w internecie, budując tam swój świat i relacje ze znajomymi. Oczywiście da się też wskazać przeciwne tendencje, bo ludzie teraz się spotykają, aby grać w planszówki lub po prostu wspólnie posiedzieć i porozmawiać. W filmie pokazujemy radykalną grupę NeoSoul, której członkowie odmawiają łączenia się z maszynami, sprzeciwiają się władzy sztucznej inteligencji. Ich bunt jest dla nas odzwierciedleniem alternatywnych postaw w świecie zdominowanym przez technologię.

Oderwanie się od technologii ma jednak minusy.

– Zdecydowanie tak. Zalety korzystania z technologii są ogromne, bo ona pozwala sięgać po wiele dóbr współczesnego świata. Bez niej traci się dostęp do informacji, rozrywki, kultury. Nie można też wykorzystywać licznych narzędzi usprawniających pracę. Z drugiej strony wiemy, że AI błyskawicznie się rozwija i trudno przewidzieć, do czego ten proces doprowadzi. Najbardziej martwię się nie perspektywą inwigilacji, kontroli czy zmian w komunikacji międzyludzkiej, ale wizją rzeczywistości, w której będziemy odcięci od naszych uczuć. Możemy już nie wiedzieć, czy coś faktycznie odczuwamy, czy te emocje podpowiada nam sztuczna inteligencja.

Wojciech Tutaj

eprasa.pl e6ffbd3fc1

KURTYNA W GÓRĘ

Ciąg dalszy

To nie jest tylko gra literacka, choć punkt wyjścia na to wskazuje. Oto spotykają się, po wielu latach od zakończenia obu sztuk, czechowowscy bohaterowie: Sonia Serebriakow z „Wujaszka Wani" (Monika Krzywkowska) i Andriej Prozorow z „Trzech sióstr" (Mariusz Jakus). Nie znają się, ba, nic o sobie nawzajem nie wiedzą – przecież nie oglądali sztuk ze swoim udziałem.

Przypadkowe spotkanie staje się dla nich nieoczekiwaną szansą odrodzenia, odzyskania nadziei na odmianę losu. Przeradza się ono niemal w spowiedź, zaskakującą bliskość. Krok po kroku oboje zdejmować będą maski, oczyszczać swoje relacje z wygodnych zmyśleń, nawet jeśli to porozumienie może się okazać ryzykowne i gorzkie.



Świetnie napisana sztuka Briana Friela, partytura na dwoje aktorów, od których kunsztu zależy teatralny rezultat, rozgrywa się przy stoliku, nie ma tu żadnego wspomagania efektami filmowymi, prawda tkwi w dopracowanym szczególe. W kreacjach Krzywkowskiej i Jakusa subtelności i zasadzki tekstu znajdują idealny wyraz – wyłuskiwanie prawdy, choć to zabieg bolesny, przebiega z chirurgiczną precyzją. Od samego początku, zanim padnie pierwsze słowo, widać, jaka przepaść charakterów, sposobu bycia i obycia dzieli tę parę. Najpierw poznajemy Sonię, przeglądającą stos papierów, nad którymi – najwyraźniej przytłoczona – nie może zapanować. Ciągle je sortuje, nie znajdując ładu ani pewności, ale siedzi wyprostowana, maskując niepokój chłodną izolacją od otoczenia. Wtedy otwierają się drzwi kawiarnianego, zagraconego saloniku. Andriej niezgrabnie przedziera się z talerzem kapuśniaku i kromką czarnego chleba na mniejszym talerzyku, ze skrzypcami, w kapeluszu. Mimo wszystko dotrze do stolika, aby podjąć rozmowę – bo, jak się okaże, rozmawiali już dzień wcześniej. I tak będzie aż do końca tego spotkania, biegnącego powolnym rytmem, z przyśpieszeniem w chwilach, kiedy opada kolejna maska.

Bogdan Michalik po raz trzeci sięgnął po tę jednoaktówkę Friela – poprzednio zrealizował ją w teatrze lalek i w teatrze radiowym. Teraz w wirtuozerskim wykonaniu tekst zyskał siłę poruszającej opowieści o losie, którego nie da się oszukać.

Tomasz Miłkowski

Brian Friel, „Afterplay", tłumaczenie Anna Wołek, reżyseria Bogdan Michalik, Teatr Współczesny w Warszawie, Scena w Baraku, premiera 9-10 września 2026

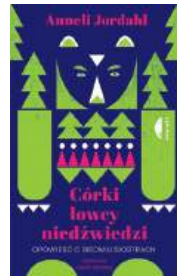
MIĘDZY OKŁADKAMI

Anneli Jordahl

Córki łowcy niedźwiedzi Opowieść o siedmiu siostrach

tłum. Agata Teperek

Czarne, Wołowiec 2026



Siedem sióstr i siedem żyć. Jednak zamiast tradycyjnej historii przygodowej szwedzka pisarka i dziennikarka proponuje poruszający feministyczny manifest nieposłuszeństwa. Jej bohaterki to postacie spoza cywilizacyjnych ram – gwałtowne, pijące porter i kłusujące w głębi lasu, zmuszone ewolucyjnie przekształcić się „z młodych lisic w wilczyce". Zderzenie trudnych warunków bytowych z prozą wewnętrznych konfliktów tworzy niezwykle gęstą atmosferę. Autorka balansuje na granicy brutalnego realizmu i nordyckiego mitu. Choć jej proza charakteryzuje się oszczędnością, bije z niej surowy powab dawnych sag. To nie tylko studium ludzkiego okrucieństwa i natury bez upiększeń, ale przede wszystkim fascynujący hymn na cześć absolutnego braku uległości.

Rafał Pikuła

Magdalena Majcher

Podcaster

W.A.B., Warszawa 2026



Magdalena Majcher sama jest autorką kilku książek o prawdziwych zbrodniach, a i w niedawnej trylogii „Kryminalny Śląsk" inspirowała się autentycznymi wydarzeniami. Bodźcem do nowej powieści stał się natomiast kanał Olgi Herring Ślady. Podcasterzy true crime wykazują się nie tylko dociekliwością, ale i nieraz dużą odwagą. Analizując sprawy na potrzeby kolejnych odcinków, zwracają uwagę na to, co w śledztwach przeoczono, gdzie doszło do nieprawidłowości – i kto może być winny. Jeśli zbytnio zbliżą się do ukrywanej prawdy, ściągną na siebie zagrożenie. Ale o tym bohater „Podcastera" przekonuje się, dopiero gdy zamordowany zostaje jego rywal w branży. Do tej pory liczyły się zasięgi i pieniądze. Bo początkowo Łukasz Płonka odzwierciedla negatywne postrzeganie swojej i profesji, i pasji – buduje popularność na cudzych tragediach, rzucając jako wymówkę: ludzie mają prawo wiedzieć. Ale nie jest postacią płaską, jednowymiarową, a true crime nie musi być jedynie szukaniem sensacji. Autorka zresztą stawia więcej pytań o etyczne zachowania w zderzeniu ze zbrodnią. A przy tym nie gasi zaangażowania czytelnika ani na moment.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Znów zstąpił Duch Puszczy

Alkoafera w PZPN przed startem Ligi Narodów

Wojciech Kuczok



Prezydent FIFA Gianni Infantino i prezes PZPN Cezary Kulesza na meczu Polska-Argentyna mistrzostw świata U-20 kobiet. Katowice, 5 września 2026 r.

Próby obalenia obecnego prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej są jak strzały przeciętnych polskich ligowców – intencja może i słuszna, ale wykonanie pokraczne. Cezary Kulesza to człowiek z Podlasia, choć urodzony nieco poza jego granicami, w Wysokiem Mazowieckiem, co teoretycznie mogłoby mu przysporzyć mojej sympatii, albowiem niewielu może o sobie powiedzieć, że przyszło na świat w mieście Ruchu – oprócz Chorzowian jeszcze tylko cidry z Radzionkowa, Zdzieszowiczanie i obywatele Ryk. Owóż, prezes Kulesza to swój chłop, wręcz chłop swojski, podlaskie tradycje szanuje i pielęgnuje jako człek duchowości puszczańskiej. Duch Puszczy zstępuje na niego często i rumieni jego oblicze, wkracza wtedy prezes w stan, by tak rzec, intensywnego uduchowienia.

Że Cezary Kulesza nie lubi się spotykać z ludźmi „tak bez niczego", tajemnicą nie jest, wiemy nawet, co lubi zanucić, jak już trunek porządnie krtań rozgrzeje: a to za-zu-zić wokalizę z „Kariery Nikodema Dyzmy" (przypadek to, czy podświadome utożsamienie?), a to dołączyć do chóru tak zacnych osobistości jak Mejza i Bortniczuk i wespół w zespół odśpiewać „Barkę".

Jeśli ktoś myśli, że ze stołka można go zrzucić, dowodząc światu, że prezes spożywa, a nawet nadużywa, musi być skrajnie naiwny albo mieć refleks Kuczoka piszącego o Boguszu (najgoręcej biję się w piersi i najserdeczniej państwa przepraszam, żem przed tygodniem, zachwalając wyczyny polskiego napastnika w lidze meksykańskiej, zapomniał, że on już od ubiegłej zimy strzela gole w Teksasie dla Houston – mamy problem…). To jakby wsłuchać się w odległy dzwon, lecz nie wiedzieć, z jakiego kościoła – owszem, piłkarska afera alkoholowa ostatecznie wpłynęła na to, że Kulesza stracił stanowisko, ale było to 46 lat temu i chodziło o trenera Ryszarda, a nie o prezesa Cezarego, w dodatku to nie on się schlał do spodu, ale zawodnicy, jego zaś zwolniono za to, że okazał się wobec pijaków nie dość surowy.

Prezes Kulesza gościł samego Gianniego Infantina w Katowicach podczas inauguracji młodzieżowego mundialu kobiet (na którym notabene Polki rozczarowały, bo po wyjściu bez straty punktu z silnej grupy odpadły z Kolumbijkami) i trudno mieć do niego pretensje, że się napił – ja też bym na trzeźwo kolacji z łysym z FIFA nie wytrzymał. Do pokoju hotelowego pomogli mu dotrzeć dwaj uczynni, bo już powiedzieć, że zaufani, byłoby strzałem kulą w płot. Jeden z asystentów prezesa jedną ręką go podtrzymywał, drugą zaś rejestrował jego niedyspozycję za pomocą telefonu komórkowego. A okazał się tym pomocnym… sekretarz generalny PZPN Łukasz Wachowski, o którym wiadomo, że ma ambicje przejęcia w związku władzy najwyższej. To już zalatuje tragikomedią, której wynik łatwo przewidzieć – trafiony był prezes, ale zatopiony zostanie sekretarz, bo kopać, choćby i dołki pod kimś, w związku piłki kopanej też trzeba umieć.

Skądinąd polska piłka od czasów niepamiętnych zionęła wódą, przez co słabości prezesa Kuleszy mogą mieć dla gawiedzi raczej wymiar nostalgiczny niż skandaliczny. Od legend o Erneście Pohlu, który nawet znaleziony nad ranem w zaspie potrafił odtajać i wytrzeźwieć na tyle, by strzelać gole w Górniku, przez aferę na Okęciu, zakrapiane lata 90. (Radosław Kałużny opowiadał, jak to wyglądało z początkiem lat 90. w Zagłębiu Lubin, gdy stoper Wadim Rogowskoj nauczył go chłeptać samogon bez zapitki – „trzeba wąchać chleb"), po Atmosfericiów reprezentacyjnych ze Sławomirem Peszko vel Flaszko na czele, który u szczytu kariery wylądował nawet w kolońskiej izbie wytrzeźwień z wydmuchanym wynikiem 1,5 promila (wyciągnął go stamtąd

eprasa.pl e6ffbd3fc1

kolega z drużyny Lukas Podolski, który w Köln miał status półboga).

O tragicznych losach wielkich talentów, którym wóda złamała albo karierę (Dawid Janczyk), albo życie po karierze spełnionej (Stanisław Terlecki, Andrzej Iwan), także wspomnieć należy. Nie zawsze było wesoło, nie zawsze tak smutno, najczęściej całkiem zwyczajnie ponuro: 20 lat temu swoje pierwsze zerwane więzadło leczyłem na urazówce w Piekarach Śląskich u wybitnego specjalisty od kolan. W sali leżał ze mną wielki talent piłkarski, który leczył się po ciężkiej kontuzji odniesionej… po pijaku w nierównym boju ze schodami. Nieustannie wymykał się o kulach do pobliskiego spożywczaka na piwko. Potem karierę kontynuował w Ekstraklasie, wystąpił nawet dwukrotnie w reprezentacji Leo Beenhakkera, ale od zachodnich klubów się odbił – wybrał ligę, w której i pograć, i popić sobie można. Ilu naszch kozaków dokonało podobnego wyboru, nie sposób dociec, mniemam, że dramatycznie wielu.

Tymczasem rozpoczęła się kolejna edycja Ligi Narodów, w której walczymy o… baraże do mistrzostw Europy, a Jan Urban o pozostanie na stanowisku selekcjonerskim. W ciągu niespełna dwóch miesięcy, podczas ledwie dwóch zgrupowań Urban może sobie zapewnić niemal półtora roku świętego spokoju. Zwycięzca grupy B ma zagwarantowany udział w barażach turnieju mistrzowskiego, które zostaną rozegrane na wiosnę 2028 r. W Belfaście 6 grudnia moglibyśmy więc ze stoickim spokojem przyglądać się losowaniu grup eliminacji do Euro ’28. Będziemy losowani z drugiego koszyka, na pewno trafimy na jedną z europejskich potęg, o bezpośredni awans będzie zatem szalenie trudno.

W razie sukcesu w Lidze Narodów walczyć o drugie miejsce już byśmy nie musieli, a jaki ma to wpływ na postawę drużyny, najlepiej pokazują losy Szwedów, z którymi zagramy kluczowy mecz. Jako zwycięzcy grupy C mieli gwarantowane play-offy – eliminacje zupełnie sobie odpuścili, a potem wystarczyło im pokonać Ukrainę i Polskę, by pojechać na mundial. Tam z grupy wyszli głównie za sprawą wysokiej wygranej ze słabiutką Tunezją, potem dostali lanie od Holendrów, wyrwali remis z Japonią i pożegnali się gładkim 0:3 z Francuzami. Nie tylko wyniki każą postrzegać Szwedów jako drużynę na naszym poziomie, a zarazem naszego najgroźniejszego rywala (piszę te słowa, nie znając jeszcze wyniku piątkowego meczu Polska-Bośnia i Hercegowina, przeczucia nie dają mi spokoju, łatwym zwycięstwem Polaków byłbym zaskoczony, ale na jednobramkowy triumf chyba nas mimo wszystko stać).

Pocieszać się tym, że wskutek kontuzji nie zagra przeciw nam Anthony Elanga, który wiosną nas skarcił fantastycznym golem, nie ma sensu, bo zastąpi go największa obecnie gwiazda szwedzkiej piłki, podówczas nieobecny napastnik Liverpoolu Alexander Isak. Szansę gry przeciw Polakom dostanie być może najlepszy w tym sezonie gracz poznańskiego Lecha, Patrik Wålemark, po raz pierwszy powołany do reprezentacji Trzech Koron.

Gramy tej jesieni wciąż jeszcze z Robertem Lewandowskim, ze świadomością, że reprezentacyjna epoka Lewego w każdej chwili może się skończyć i nastąpi czas żałoby, wielkiej smuty w ataku, bo tej klasy napastnika być może nie doczekamy już nigdy.

Nieoczekiwany problem pojawił się jednak tam, gdzieśmy go nie mieli nigdy. Kiedy zacząłem dojrzewać, polska piłka zaczęła się rozkładać, im byłem starszy, tym niżej spadała w rankingach reprezentacja i tym mniej znaczyły w Europie nasze kluby. Tylko nasi bramkarze wyrabiali sobie markę międzynarodową, niczym nasi operatorzy w Hollywood. Mecze reprezentacji bywały solowymi popisami golkiperów z drużyną przeciwną, jak w przypadku Andrzeja Woźniaka, który tak bronił w meczu z Francją, że go obwołano księciem Paryża. Albo Artura Boruca, który przeciw Austrii na Euro zagrał mecz życia, a kiedy Wojciech Szczęsny w końcu odczynił prywatną klątwę imprez mistrzowskich, zaczął seryjnie bronić karne.

W ciągu dekad reprezentacja radziła sobie różnie, ale w bramce zawsze mieliśmy jakiegoś pewniaka – jak się Szczęsnemu powinęła noga, miał równorzędnego zastępcę w postaci Fabiańskiego. Jak przyszła kryska na Matyska, zajął jego miejsce Dudek, wiadomo było, że między polskimi słupkami stoi fachman, któremu można zaufać. Bodaj raz tylko zdarzył się mecz, w którym błędny wybór trenera sprawił, że lepszy bramkarz przesiedział spotkanie na ławce, a gorszy zawalił mecz – kiedy Antoni Piechniczek przed 30 laty na Wembley postawił na Woźniaka kosztem Macieja Szczęsnego (szkoda, bo nigdy potem nie byliśmy bliżej zwycięstwa na tym przeklętym stadionie).

Nasi bramkarze wyrabiali sobie markę międzynarodową. Mecze reprezentacji bywały solowymi popisami golkiperów.

Dobre czasy polskiej bramki chwilowo się skończyły. Katastrofa Kamila Grabary – zerwanie ACl na treningu u progu sezonu, w którym miał wywalczyć sobie jedynkę w składzie (od kiedy Szczęsny opuścił Juventus, to i nomen omen szczęście Polaków w Turynie opuściło) – fatalna forma Skorupskiego i niedyspozycja Drągowskiego sprawiły, że został nam wybór między Marcinem Bułką, grającym już na szczęście, ale w niepoważnej lidze, a dwoma debiutantami. Bułka skądinąd także niemal dokładnie przed rokiem zerwał więzadła – to jest jakaś wczesnojesienna plaga egipska naszych bramkarzy. To, że Polak został ostatnio uznany za najlepszego gracza na swojej pozycji w lidze saudyjskiej, niekoniecznie jest wartościowym miernikiem.

Mam nadzieję, że bramkarz nie został bohaterem piątkowego starcia z Bośnią, bo oznaczałoby to, żeśmy nawet przeciw przeciętnej reprezentacji europejskiej stosowali taktykę księdza Kordeckiego i bronili w Warszawie Częstochowy. Tak czy owak, nie mamy już spokoju między słupkami. ■

FOT. PAP/JAREK PRASZKIEWICZ

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Nie bójmy się kryzysów, bo one prędzej czy później do nas przyjdą

Rozmawia
Ewa Podsiadły-Natorska



ROBERT KOWALCZYK I KATARZYNA WASZYŃSKA

– psychologowie i terapeuci

Zdecydowanej większości z nas kryzys kojarzy się jednoznacznie negatywnie. A psychologom?

Robert Kowalczyk: Dla nas, psychologów, kryzys nie musi automatycznie wiązać się z zagrożeniem czy katastrofą. (...) Z punktu widzenia psychologicznego pojawia się on wtedy, gdy dotychczasowe sposoby radzenia sobie z trudnościami przestają wystarczać. Wskutek tego następuje dezintegracja naszego życia. Jednak w perspektywie klinicznej kryzys sam w sobie jest zjawiskiem neutralnym. Najważniejsze jest bowiem, co z nim zrobimy.

Katarzyna Waszyńska: Kryzys bywa momentem zatrzymania i poszukiwania nowych możliwości, jest też procesem adaptacji do zmieniającej się sytuacji w życiu. Dobrym przykładem jest zmiana lub utrata pracy po wielu latach spędzonych w jednym miejscu. To moment, który pozwala zastanowić się, w jakim kierunku chcemy iść. Czasami dopiero przy takiej okazji odkrywamy, że przez wiele lat wykonywaliśmy zajęcie, które nie dawało nam satysfakcji.

Od czego zależy, czy kryzys odbije się na nas negatywnie, czy wprost przeciwnie – będzie szansą zmiany na lepsze?

R.K.: Od tego, jak i czy w ogóle go przepracujemy. Oczywiście sytuacja kryzysowa wiąże się z ogromnymi emocjami, chodzi jednak o to, żeby spojrzeć na nią z innej perspektywy – jak na szczególny, nierzadko zwrotny moment w życiu, na którym można zbudować coś wartościowego.

K.W.: Kryzysy są nieodłączną częścią ludzkiej egzystencji, ponieważ nasze życie składa się z nieustannych zmian. Nie na wszystko możemy się przygotować. A nawet jeśli wydaje nam się, że nad wszystkim panujemy, to i tak każdy przełom w życiu oznacza zakłócenie dotychczasowego sposobu funkcjonowania. Dobrym przykładem są narodziny dziecka, które z jednej strony mogą być wyczekiwane i radosne, a z drugiej mogą wiązać się z bardzo silnymi emocjami i trudnościami.

R.K.: Dlatego nie bójmy się kryzysów, bo one prędzej czy później do nas przyjdą. Pytanie brzmi, czy zdołamy wyjść z nich obronną ręką i zbudować na nich coś, co nas wzmocni.

Czyli musimy przyjąć do wiadomości, że nie zdołamy przejść przez życie bezboleśnie. Powinniśmy się więc przygotować na różne trudne, kryzysowe sytuacje.

K.W.: Kryzys może pojawić się właściwie na każdym etapie naszego życia. Może obejmować jedną osobę, parę lub całą rodzinę i – co warto podkreślić – nie zawsze jest wywołany przez jedno wielkie wydarzenie: wypadek, problemy zdrowotne, rozstanie. Może być również efektem splotu szeregu drobnych, codziennych trudności, które nawarstwiają się i w pewnym momencie przekraczają nasze możliwości radzenia sobie z nimi. Co więcej, nasza reakcja na aktualny kryzys nie

FOT. WERONIKA KOSIŃSKA

eprasa.pl e6ffbd3fc1

dotyczy wyłącznie tego, co dzieje się tu i teraz – jest także wypadkową wcześniejszych doświadczeń i tego, jak poradziliśmy sobie (lub nie) z poprzednimi tego typu sytuacjami.

Jakie kryzysy mogą nas dotknąć? I jakie zdarzają się najczęściej?

R.K.: W praktyce gabinetowej spotykamy się z kilkoma typami. Kryzysy w związkach i małżeństwach to jedna z najczęstszych kategorii. Obejmują zarówno konflikty partnerskie, jak i sytuacje związane z rozstaniem, separacją bądź rozwodem. Są też kryzysy zawodowe, które mogą wynikać z konieczności podjęcia decyzji o zmianie pracy, wiążą się z jej utratą lub dotyczą bankructwa. Do powszechnych doświadczeń należą kryzysy zdrowotne: trudna diagnoza, nagła choroba, uraz czy wypadek, które wywołują konieczność adaptacji do nowych okoliczności i zmiany dotychczasowego sposobu funkcjonowania jednostki czy rodziny. Są wreszcie kryzysy sytuacyjne o charakterze niemożliwym do przewidzenia i traumatycznym, np. katastrofy.

K.W.: Kryzysy mogą mieć charakter ogólnospołeczny – mówimy wtedy o kryzysach ekologicznych, ekonomicznych, związanych z konfliktami zbrojnymi albo dotyczących społeczności, w ramach których funkcjonujemy.

R.K.: Nie zapominajmy o kryzysie wiary czy kryzysie egzystencjalnym, kiedy pojawiają się pytania o sens życia.

K.W.: Kryzys egzystencjalny, często obserwowany w gabinetach, może wynikać z uświadomienia sobie własnej śmiertelności. Taką refleksję wywołuje np. śmierć kogoś bliskiego. Pamiętam osobę w gabinecie, która po odejściu rodziców doświadczyła intensywnego poczucia, że życie jest kruche i nieprzewidywalne, a ona zupełnie nie umiała sobie z tym poradzić. Psychologia wyróżnia także kryzysy rozwojowe związane z naturalnymi etapami życia – np. kryzys wieku dojrzewania czy związany z przejściem na emeryturę.

Na myśl przychodzi mi również kryzys wieku średniego.

K.W.: Należy on do tzw. kryzysów tożsamościowych, egzystencjalnych. Charakterystyczne jest to, że pojawiają się wówczas pytania: „Kim jestem?", „Co jest dla mnie ważne?", „Jakie są moje rzeczywiste potrzeby?", „Czego chcę?". Kryzysy tożsamościowe są wpisane w wiele faz życia. Na przykład w okresie dojrzewania takie pytania są wręcz potrzebne, aby młoda osoba mogła „oddzielić" się od rodziców czy opiekunów, zyskać autonomię i wykształcić własną tożsamość. Kryzysy egzystencjalne mogą jednak pojawiać się niezależnie od wieku. Zdarzają się w różnych momentach w reakcji na istotne wydarzenia lub zmiany. Dochodzi wtedy do sytuacji, w której kryzys tożsamościowy nakłada się na kryzys sytuacyjny.

Ten stan, choć trudny, może być siłą napędową naszego rozwoju, bo daje szansę na odkrycie swoich zasobów i przewartościowanie życia.

R.K.: Jeszcze raz warto tutaj podkreślić, że kryzys nie zawsze ogranicza się do jednej, wyraźnie zdefiniowanej kategorii. Często zdarza się, że przychodzi do mnie osoba, która doświadcza jednocześnie kilku kryzysów. Może to być równoczesna utrata pracy i rozstanie z partnerem albo kryzys wieku średniego połączony z rozwodem. Dla osoby, na którą coś takiego spada, jest to niebywale trudne. Taka sytuacja wymaga indywidualnego podejścia i odpowiedniego postępowania terapeutycznego.

Czy osoby, które przychodzą do waszych gabinetów, mają świadomość, że są w kryzysie?

K.W.: Bywa różnie. Czasami przychodzą z pełną świadomością kryzysu. Mówią, że sytuacja, w której się znaleźli, jest dla nich bardzo obciążająca. Mają świadomość, że wymaga to od nich wypracowania zupełnie nowych sposobów radzenia sobie z trudnościami. Tematem, który pojawia się w moim gabinecie w kontekście kryzysu, jest też ciężka choroba, diametralnie zmieniająca dotychczasowe funkcjonowanie osoby lub pary. Ale bywa też inaczej. Część osób nie do końca uświadamia sobie, co tak naprawdę się z nimi dzieje.

Co mówią?

K.W.: Na przykład: „Mam dom, dobrą pracę, dzieci, kochającego partnera, czyli wszystko, czego zawsze pragnęłam. Powinnam być szczęśliwa, a jednak nie czuję radości. Nie wiem, czy to jest życie, którego naprawdę chcę". Wtedy zaczynamy szukać przyczyny tego stanu. Zdarza się też, że ludzie dopiero z czasem uświadamiają sobie, że znaleźli się w kryzysie. Na początku dostrzegają swoje emocje – np. bezradność, lęk, złość, smutek – ale dopiero kumulacja sygnałów prowadzi do refleksji, że są w trudnej sytuacji i potrzebują wsparcia.

R.K.: Warto w tym miejscu powiedzieć o różnych przejawach kryzysu.

Wyjaśnij.

R.K.: U niektórych osób przejawia się on przede wszystkim w bardzo silnych emocjach – pojawiają się poczucie chaosu, natłok myśli, trudność w ich uporządkowaniu czy uczucia wymienione przed chwilą przez Katarzynę. Ale kryzys może wiązać się także z emocjonalnym odrętwieniem, tzn. nieodczuwaniem uczuć, lub nagłymi zmianami nastroju. Mamy więc zestaw objawów związanych z emocjami i wewnętrznym poczuciem dezorganizacji.

A jak kryzys wpływa na zachowanie?

R.K.: Tutaj również występuje konstelacja zachowań. Mogą to być wycofanie się z życia społecznego, zaniedbywanie obowiązków, utrata dotychczasowego poczucia sensu tego, co się robi. Zdarza się, że sytuacja kryzysowa prowadzi do braku apetytu, zaburzeń snu czy sięgania po używki, które – co trzeba wyraźnie podkreślić – niczego nie rozwiązują, a mogą wręcz kryzys pogłębić. Ludzie o takich doświadczeniach mówią bardzo konkretnie: „Nie śpię, nie jem, nic mnie nie cieszy". Nie zawsze jednak od razu łączą te symptomy z sytuacją kryzysu i mogą nie

eprasa.pl e6ffbd3fc1

dostrzegać źródła problemu, który go wywołał.

K.W.: W kryzysie oprócz odczuwanych emocji zmienia się też sposób myślenia – mózg skupia się na zagrożeniach. Pojawiają się czarne scenariusze, rozpamiętywanie trudnych wydarzeń lub pytania: „Czy moje życie ma sens?", „Po co żyję?", „Co dalej?".

I wtedy szukają pomocy?

K.W.: Część ludzi na różnych etapach radzenia sobie z poważnym kryzysem próbuje korzystać z profesjonalnej pomocy. Czasami robią to z własnej inicjatywy, bywa, że są kierowani przez innego specjalistę lub przychodzą za namową bliskich osób. Zdarza się, że do gabinetu terapeuty trafiają w fazie zaprzeczania temu, co dzieje się w ich życiu. Przykładem może być związek, w którym jedna osoba komunikuje wprost, że chce się rozwieść, podczas gdy druga nie przyjmuje tego do wiadomości, myśląc: „To chwilowe", „Przejdzie jej/mu", „Nic poważnego się nie dzieje". Bywa, że rozmowy o rozwodzie toczą się od miesięcy, sprawa już jest w sądzie, mimo to druga strona wciąż żyje w iluzji, że kryzys jakoś się rozwiąże. I w gabinecie pyta, co może zrobić, żeby było jak dawniej.

Takie pary przychodzą do waszych gabinetów razem?

K.W.: Rzadko, bo dla kogoś, kto podjął decyzję o rozstaniu i wprowadza ją w życie, związek już jest zamknięty. Natomiast osoby, które dopiero to rozważają, przychodzą w zupełnie innym momencie. Mają świadomość kryzysu, brakuje im jednak siły, energii czy mobilizacji, aby realnie zacząć działać. Często potrzebują też wsparcia edukacyjnego: rozmowy o tym, jakie mają możliwości i jakie strategie rozwiązania mogą wybrać. Niekiedy okazuje się, że wcale nie chodziło o kryzys w związku, tylko o kryzys indywidualny.

R.K.: Dochodzimy do bardzo ważnej kwestii: słowo „kryzys" ma w języku potocznym inne znaczenie niż w języku psychologii. Na co dzień używamy tego określenia bardzo szeroko – mówimy o kryzysie w pracy, związku, życiu osobistym – nie zawsze mając na myśli to, co w kategoriach psychologicznych rzeczywiście ten kryzys stanowi. Natomiast dla terapeutów oraz psychologów pojęcie kryzysu ma bardziej precyzyjne znaczenie i w tej książce będziemy odwoływać się do jego psychologicznego i naukowego rozumienia.

Bywa, że ludzie celowo wchodzą w sytuacje, które kryzys wywołują. Robią to, by sprowokować zmianę.

Dlaczego słowo kryzys używane potocznie kojarzy nam się tak bardzo negatywnie?

R.K.: W kulturze zachodniej dominuje narracja stabilności i kontroli. Kryzys oznacza ich utratę, a więc coś niepożądanego, rodzaj zamieszania, nieporządku. Powszechnie funkcjonuje ideał stabilności. Współczesna tożsamość jest projektem wymagającym stałego monitorowania i optymalizacji. Człowiek to solidny architekt własnej biografii. W tej logice stabilność to kompetencja, przewidywalność daje bezpieczeństwo, a kontrola – dojrzałość. Kryzys zaburza te wszystkie trzy wartości.

K.W.: Chodzi o to, aby uporządkować pewne pojęcia, bo dla wielu osób kryzys to słowo nacechowane tylko negatywnie, podczas gdy z perspektywy psychologicznej nie zawsze tak jest. Ten stan, choć trudny, może być siłą napędową naszego rozwoju, bo daje nam szansę na odkrycie swoich zasobów i przewartościowanie życia.

R.K.: Podsumowując: kryzysy mieszczą się w ramach rozwojowych na różnych etapach życia, mogą być skutkiem wielu wydarzeń, a niekiedy powstają w wyniku świadomego działania.

Jak to świadomego działania?

R.K.: Myślenie, że kryzys zawsze jest przypadkowy, to uproszczenie. Bywa, że ludzie celowo wchodzą w sytuacje, które kryzys wywołują. Robią to, by sprowokować zmianę, przyśpieszyć konfrontację, zmusić kogoś do rozmowy albo postawić sprawy jasno w relacji. Paradoksalnie, kryzys staje się wtedy niejako narzędziem służącym do rozpoczęcia dialogu, którego do tej pory nie udawało się nawiązać. Słyszę to w swoim gabinecie: „Świadomie doprowadziłam/em do kryzysu" albo: „Zdradziłam/em" – nie dlatego, że „tak wyszło", ale dlatego, żeby coś się w relacji wreszcie zmieniło.

K.W.: Można powiedzieć, że kryzys związany jest wtedy z pukaniem do drzwi drugiej osoby. Sytuacja zdrady jest tego adekwatnym przykładem. Bywa, że przez wiele lat jedna strona próbuje dobić się do partnera – prosi o rozmowę, sygnalizuje potrzebę zmiany w związku, chce coś naprawić – a druga strona reaguje dystansem, bagatelizowaniem problemu czy ucieczką od tematu. Wówczas zdrada zaburza dotychczasową równowagę. To, co do tej pory było zamiatane pod dywan, wypływa na wierzch. Dochodzi do sytuacji, o której wspomniał Robert, bo zdrada wywołuje konieczność poważnej rozmowy o tym, co się stało i dlaczego. Nie zmienia to faktu, że wiąże się ona ze złamaniem zaufania. (…)

Kryzys może dać szansę na zmianę?

R.K.: (…) Kryzys rzeczywiście bywa początkiem zmiany, pewnym rodzajem przebudzenia. Jego przebieg może być oczywiście różny i nierzadko trudno się po nim podnieść. W psychologii istnieje jednak pojęcie posttraumatic growth, czyli wzrostu potraumatycznego, kiedy kryzysowe doświadczenie staje się czynnikiem prowokującym rozwój, zmianę i dojrzalsze funkcjonowanie. (…)



Fragmenty książki Roberta Kowalczyka, Katarzyny Waszyńskiej i Ewy Podsiadły-Natorskiej *Całe szczęście to kryzys. Rozmowy o trudnych momentach, które zmieniają nasze życie*, Wydawnictwo Zwierciadło, Warszawa 2026

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Chemia z Cieszyna

Jak inżynier Józef Ziętek zbudował Lakmę

Marek Czarkowski



Jest rok 1988. W Polsce jeszcze obowiązują kartki, ale słynna ustawa Wilczka pozwala już robić w biznesie wszystko, czego prawo wprost nie zabrania. W tym właśnie roku w Cieszynie inż. Józef Ziętek zakłada firmę o nazwie Lakma, która zajmuje się produkcją maszyn i urządzeń do wytwarzania farb i lakierów.

Na początku lat 90. XX w. Ziętek zrozumiał, że w Polsce ruszyła wielka fala remontów, budów i modernizacji. Mieszkania wymagały odświeżenia, nowe domy potrzebowały materiałów wykończeniowych, a klienci coraz częściej oczekiwali nie jednego uniwersalnego produktu, lecz rozwiązań dopasowanych do konkretnego zadania.

W roku 1993 spółka przekształciła się w samodzielnego producenta chemii budowlanej, ruszając z produkcją silikonów i klejów montażowych. Potem pojawiły się tynki, farby dekoracyjne, pianki poliuretanowe, uszczelniacze, impregnaty do drewna itp.

Sukcesem było uruchomienie produkcji Sidoluksu, płynu do mycia i nabłyszczania podłóg. W roku 2014 w mediach pojawiły się informacje, że jego udział w polskim rynku osiągnął 43%! Na tym polu rodzinna polska firma z Cieszyna pokonała globalnych gigantów mających do dyspozycji ogromne budżety reklamowe.

Jednocześnie rozwijała produkcję chemii budowlanej, w tym farb, które zyskały bardzo dobrą opinię. Tu obok wysokiej jakości produktów za rozsądną cenę pojawiły się te z najwyższej półki, takie jak powłoki sygnowane marką Francesco Guardi Collezione, dające efekt aksamitu, rosy czy rdzy, w kolorach takich jak stare złoto, stal szlachetna, czarna perła czy cegła szlachetna.

Ponadto inż. Ziętek wpadł na pomysł uruchomienia produkcji kapsułek do prania Perlux, które łączyły w sobie środek piorący, odplamiacz, żel i odkamieniacz. One także okazały się sukcesem.

Znamienne, że produktów Lakmy nie znajdziemy w wielkich sieciach marketów budowlanych. Można je kupić w sklepach internetowych z chemią budowlaną, na platformach handlowych takich jak Allegro czy Erli, w niezależnych hurtowniach farb i lakierów oraz składach budowlanych i oczywiście w firmowym sklepie internetowym. Firma eksportuje swoje produkty do 20 krajów.

Jej przepis na konkurowanie z zachodnimi koncernami nie jest prosty – to konsekwencja w działaniu.

Lakma ma własne laboratorium i chronione patentami receptury. Jakość jej produktów spełnia wszystkie normy europejskie przy cenach, których globalni gracze z ich strukturą kosztów nie są w stanie zaproponować. I najważniejsze – mała firma potrafi dostosować produkty do potrzeb klientów szybciej niż wielkie korporacje z centralami w Berlinie, Amsterdamie czy Helsinkach. Co ciekawe, deklaruje ona współpracę badawczo-rozwojową z renomowanymi zachodnimi koncernami chemicznymi, rywalizacja nie wyklucza zatem kooperacji.

Sukcesem było uruchomienie produkcji płynu Sidolux do mycia i nabłyszczania podłóg. W 2014 r. jego udział w polskim rynku osiągnął 43%!

22 września 2018 r. zabrakło inżyniera Józefa Ziętka. Zaskakujące, jak niewiele o nim wiadomo. Nie udzielał wywiadów, jego zdjęcia nie pojawiały się na okładkach gazet i tygodników, a on sam nie budował marki miliardera. Interesowały go praca, produkty i rynek. Po jego śmierci nie doszło do sprzedaży Lakmy zewnętrznemu inwestorowi. Z dostępnych danych rejestrowych wynika, że pięcioro członków jego rodziny nadal kontroluje spółkę.

Józef Ziętek zbudował coś, co przetrwało jego samego, a to w polskim kapitalizmie wciąż rzadkość. I nadal jest to w 100% rodzinna polska firma, która skutecznie konkuruje z największymi. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/LAKMA

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Trasy kłusowników zbiegają się w Neapolu i na Sycylii

CZERWONE ZŁOTO MORZA ŚRÓDZIEMNEGO

Tomasz Skowronek

Szlak cennego korala zaczyna się w głębinach Morza Egejskiego, a prowadzi do pracowni jubilerskich w Neapolu i na Sycylii. Nawet niewielkie fragmenty koralowca są wyceniane na tysiące dolarów. Dlatego stał się celem międzynarodowych handlarzy i kłusowników.

Na początku sierpnia greckie służby przejęły u wybrzeży Skopelos jacht wykorzystywany, jak ujawniło śledztwo prowadzone przez jednostkę specjalną Dyrekcji ds. Egzekwowania Zgodności Podatkowej (DEOS) i Niezależnego Publicznego Urzędu Skarbowego (AADE), do nielegalnego połowu czerwonego korala. Wartość zatrzymanego ładunku oszacowano na ok. 800 tys. euro.

Sprawa zaczęła się od podejrzanych faktur wykrytych przez cyfrowe systemy AADE w jednej z firm transportowych. Greccy śledczy podejrzewają, że za operacją może stać międzynarodowa siatka przemytnicza. Wspólnie z włoskimi władzami próbują ustalić, kto miał odebrać nielegalny ładunek.

Koral rośnie niespiesznie…

W Grecji legalny połów czerwonego korala jest ściśle kontrolowany. Generalna Dyrekcja Rybołówstwa Ministerstwa Rozwoju Wsi i Żywności rocznie wydaje najwyżej 10 zezwoleń na jego wydobycie. Dokumenty są ważne przez pięć lat, po czym następuje 20-letnia przerwa, która pozwala populacji na odbudowę.

Przepisy zostały sformułowane bardzo rygorystycznie. Zabronione jest używanie niszczącego rafę sprzętu holowniczego. Koral może być zbierany tylko ręcznie, przez nurków, którzy muszą rejestrować m.in. lokalizację połowu, głębokość, na jakiej do niego dochodzi, zagęszczenie kolonii oraz ilość pozyskanego materiału. Ale to nie wymysł urzędników. *Corallium rubrum*, czyli koral czerwony, rośnie niezwykle wolno. Tempo jego wzrostu mierzy się w milimetrach na rok!

„Różnorodność greckiej rzeźby morskiej sprzyja rozwojowi czerwonego korala, który niestety jest zagrożony przez nielegalne połowy i obecnie uważany za gatunek wyjątkowo wrażliwy”, wyjaśnia Maria Salomidi, badaczka i nurek naukowy w Instytucie Oceanografii Greckiego Centrum Badań Morskich (HCMR), cytowana przez portal Voria.gr. Według badań prowadzonych w zachodniej części Morza Śródziemnego płytkie populacje koralowców potrzebują ok. 30-35 lat, aby osiągnąć minimalny dopuszczalny do połowu rozmiar. Greccy naukowcy szacują, że trzeba dziesięcioleci, by niektóre odmiany osiągnęły kilka centymetrów. Zdaniem dr Salomidi „grecka populacja czerwonego korala wykazuje współczynnik potencjału tarłowego na poziomie zaledwie 18%, co stanowi wartość znacznie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e6ffbd3fc1

niższą od progu 40%, uznawanego za bezpieczny dla gatunków o niskiej odporności. Odkrycie to sugeruje, że rozrodczość koralowca jest ograniczona, co jest cechą charakterystyczną dla populacji nadmiernie eksploatowanych". Dojrzałych osobników zdolnych do rozmnażania jest zbyt mało.

Grecja nie ma przy tym dokładnej mapy występowania czerwonych korali w swoich wodach. Lokalni dziennikarze zauważają gorzko, że „to, czego nie wiedzą naukowcy, zdają się wiedzieć nielegalni zbieracze koralowców – i to z niezwykłą dokładnością".

Czerwony koral zajmuje w greckiej kulturze miejsce szczególne. Według mitu po zabiciu Meduzy Perseusz wrzucił jej głowę do morza. Krew potwora miała skamienieć i zamienić się w koral. Ten w tradycji funkcjonował jako symbol ochronny, miał także posiadać moc leczniczą.

…a włoscy przemytnicy działają szybko

Greckie służby podejrzewają, że ładunek przejęty w pobliżu wyspy Skopelos miał trafić do Włoch. Zgodnie z ustaleniami AADE wynajęty przez Włochów jacht był powiązany z powtarzającymi się przesyłkami – za pośrednictwem konkretnej firmy transportowej – przede wszystkim do włoskich portów.

„Połowami zajmują się osoby posiadające specjalistyczną wiedzę – informacje o lokalizacji koralowców, a sonar umożliwia im precyzyjne umiejscowienie kolonii. Ludzie, którzy poławiają koralowce nielegalnie, zazwyczaj transportują je do Neapolu i na Sycylię, gdzie rozwija się przemysł jubilerski", mówi dziennikowi „Kathimerini" Dimitris Poursanidis, naukowiec specjalizujący się w ekologii morskiej i bioróżnorodności. „Nasze informacje o tym, gdzie występują populacje koralowca czerwonego, są ograniczone", przyznaje zarazem i dodaje, że nie przypomina sobie nielegalnego połowu na tak dużą skalę, jak ma to miejsce obecnie.

Włochy są jednym ze światowych centrów obróbki czerwonego korala. Szczególne znaczenie w tym procederze zyskało Torre del Greco, położone niedaleko Neapolu. Od początku XIX w. rozwija się tam przemysł zajmujący się przetwarzaniem koralowca i produkcja biżuterii. To niewielkie miasto nad Zatoką Neapolitańską uchodzi za światową stolicę handlu koralami. Działają tu liczne firmy rodzinne, które z surowego korala wyrabiają biżuterię dla najbardziej ekskluzywnych marek, takich jak Gucci czy Bulgari.

Corallium rubrum, czyli koral czerwony, rośnie niezwykle wolno. Tempo jego wzrostu mierzy się w milimetrach na rok!

Biznes kwitnie, ponieważ czerwony koral ponownie stał się w świecie luksusowej biżuterii bardzo modny, choć coraz więcej firm podkreśla znaczenie ochrony środowiska i potrzebę zrównoważonego pozyskiwania surowca. Problem w tym, że na rynku często współistnieje koral pozyskiwany legalnie i nielegalnie.

Jesienią 2025 r. włoska straż celna zatrzymała w Cieśninie Sycylijskiej łódź płynącą w kierunku Trapani. Pod pokładem znaleziono 700 kg czerwonego korala. Trzej mężczyźni znajdujący się na łodzi nie mieli dokumentów potwierdzających legalne pochodzenie ładunku. Śledczy ocenili, że przemytnicy mogli liczyć na co najmniej pół miliona euro zysku.

Warte każdej ceny

Popyt jest ogromny, bo czerwony koral to materiał rzadki, efektowny i stosunkowo łatwy w obróbce. Wartość „czerwonego złota" – jak nazywają go jubilerzy – zależy od jego jakości. Najtańsze korale kosztują ok. 10-40 dol. za karat, średniej jakości – od 50 do 150 dol. W przypadku korala klasy premium jego cena we Włoszech może przekraczać 1 tys. dol. za karat. W sklepach internetowych gotowa biżuteria kosztuje od kilkuset do kilkudziesięciu tysięcy euro.

Tam jednak, gdzie zaczyna się historia luksusu, pojawia się problem ekologiczny. Corallium rubrum jest parzydełkowcem żyjącym w Morzu Śródziemnym i w niektórych rejonach Atlantyku. Jego kolonie tworzone przez małe polipy mogą się rozwijać przez dziesięciolecia, a niektóre nawet prawie sto lat. Główne ryzyko dla koralowców to jednak nie tylko przełowienie. Coraz większym zagrożeniem są również zmiany klimatu. Fale upałów powodują utratę gęstości i biomasy kolonii, w niektórych przypadkach sięgającą nawet 90%. Naukowcy wskazują także szkody wyrządzane przez rybołówstwo, nawet wtedy, gdy nie koral jest bezpośrednim celem połowu.

Nielegalny handel koralem nie jest zjawiskiem nowym. Przemyt był bardzo powszechny już w latach 80. i 90., a włoska mafia, by zdobyć cenny ładunek z innych statków, uciekała się nawet do morderstw. Ale problem nie kończy się na Grecji i Włoszech. Kłusownictwo czerwonego korala od lat trapi również Algierię i Tunezję. Oszacowano, że ok. 3 ton korala pochodzącego z tamtych okolic trafia nielegalnie co roku do Europy, przede wszystkim na rynek włoski.

Szczególnie trudna sytuacja występuje w rejonie Annaby i El Kala na wschodzie Algierii. To właśnie El Kala nazywana jest lokalną stolicą koralowców. Brak legalnego przemysłu koralowego na tych terenach spowodował rozwój kłusownictwa i przemytu. Algierskie służby regularnie informują o przejęciach przestępczych łupów.

Mimo surowych przepisów regulujących pozyskiwanie korala i okresowo zakazujących jego połowu, by kolonie mogły się zregenerować, wciąż konfiskowane są setki kilogramów tego surowca, a także łodzie, skafandry i specjalistyczne kompresory wykorzystywane przy połowach.

Ponieważ przemyt czerwonego korala to obecnie działalność o skali międzynarodowej, konieczna jest ponadpaństwowa koordynacja służb pozwalająca śledzić jego drogi: od połowu, przez rozładunek i sprzedaż, aż po przeróbkę na biżuterię i inne wartościowe przedmioty. ■

eprasa.pl e6ffbd3fc1

O biedzie w górach różne są opinie

Na Głównym Szlaku Sudeckim



Michał Zabłocki

Można mówić o Śląsku wiele, że to ziemie odzyskane, przysposobione, ziemie zachodnie. Ale granice państw, co uparcie tłumaczę płaczącym ciągle po Trianonie węgierskim kolegom, nie są dane raz na zawsze – to raz. A dwa to fakt, że Polska posklejała państwo z kilku fragmentów i wyszło to wyjątkowo dobrze. Przyłączenie Śląska zaledwie ćwierć wieku po złączeniu ze sobą cząstek dawnych zaborów nie wydaje się więc tu niczym nadzwyczajnym na tle kraju i Europy, choć całkowicie zmieniła się ludność i etnos. Lecz to czynnik tworzący cywilizację – w miejscu niemieckiej czy polskiej – nową, jeszcze nieznaną. Longobardowie, gdy weszli do Italii, dali początek Włochom. Być może dzięki nim narodzili się potem da Vinci i Puccini.

(…) Drobne przyjemności zostawiam sobie na lubawski rynek, lecz po drodze, gdzieś przy skrzyżowaniu Wojska Polskiego i Wodnej, podziwiam ostatki zabytkowego domu wiejskiego, który z każdym dniem coraz bardziej zapada się w ziemię i w siebie. Ale jego bryła, owalne boczne okienka na piętrze oraz połamany, kryty omszałym gontem długi polski dach pozostają wyjątkowe w otoczeniu nowszych, kanciastych bloków i różnorodnych fabrycznych budowli. (…)

Rynek pięknie nazwany Placem Wolności sprawia bogate wrażenie i pozwala poczuć czasy świetności miasta, dziś już tylko przygranicznej osady na jednym ze szlaków z północy na południe, a dawniej prężnego ośrodka rozwoju śląskiego tkactwa, górnictwa i kupiectwa, przerywanego od czasu do czasu to wojną, to pożarem, to powodzią. Rzędy dwu- i trzypiętrowych kamieniczek nie noszą może wybitnych zdobień, lecz na zachodniej pierzei zachowały boniowane podcienia, w których chowają się sklepiki i kawiarenka. Z niej zaś z gorącą kawą w dłoni i drożdżówką wciąż oddającą ciepło piekarskiego pieca mogę podziwiać siedzibę władz miasta oraz cały plac, na którym coraz aktywniej toczy się miejscowe życie.

Nad okolicą dominuje klasycystyczny, biały ratusz, oznaczony spiczastą i symetrycznie wkomponowaną w bryłę budynku wieżą zegarową. Tło dla wieży stanowi zaś wybijająca się w niebo zalesiona Święta Góra. W prawym narożniku ratusza skrywa się figura Jana Nepomucena z palcem na ustach, z krucyfiksem oraz księgą w ręku i koroną z pięciu gwiazd (…). Oprócz urzędu na rynku są też hotel, bank, sklepy z obuwiem i odzieżą, kantor, drogeria, kwiaciarnia i – ku mojej wielkiej radości – relikt czasów sprzed ery cyfrowej – wciąż działająca księgarnia. (…)

Maszeruję wzdłuż cmentarza i wychodzę na podmiejskie mokradła, brutalnie rozjeżdżone przy budowie przechodzącej obok autostrady pomimo obowiązującej w Unii Europejskiej zasady *do not significant harm,* czyli nieczynienia poważnej szkody środowisku. Budowa jeszcze trwa, ale już wzbudza ironiczne komentarze, bo droga, w zamyśle prowadząca znad Bałtyku do Pragi, tradycyjnie dla Czech kończy się w szczerym polu na granicy państwa. (…) My nie umiemy budować ośrodków narciarskich, Czesi i Słowacy nie potrafią stawiać autostrad. Za to mamy w Polsce doskonałe wędliny oraz dania jarskie, Czesi – rewelacyjne piwo. Gdyby dodać do tego słowackie sery i węgierskie wina, stworzylibyśmy prawdziwie środkowoeuropejską kulinarną potęgę, wykraczającą poza obecne przymierze duszonej kapusty. Prawdziwe Międzymorze stołu.

Pokonuję budowlane przeszkody w hałasie wożących gruz i asfalt ciężarówek, a potem przechodzę szosą pod rusztowaniem nowego wiaduktu. I najpierw moim oczom – oprócz coraz bardziej urozmaiconego krajobrazu – ukazuje się drogowa tablica kierunkowa, wskazująca, że do Kowar jest stąd zaledwie 20 km, a do Jeleniej Góry – 35, a potem przekraczam mostem Bóbr (…). Wchodzę pieszo w Sudety Zachodnie.

Do Bukówki (Buchwald), kolejnej ciągnącej się jak kiszka dolnośląskiej

Walończycy w Sudetach szukali złóż i minerałów, a interesujące ich miejsca oznaczali tajemniczymi znakami. Teraz ich śladami podążają łowcy tajemnic.

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Szlak na Śnieżkę.

ulicówki, wprowadza mnie dębowa aleja, obok której co rusz obok drzew pojawiają się przydrożne krzyże i kapliczki, zdobione drgającymi na wietrze wstążkami czy kolorowymi bukietami kwiatów polnych i plastikowych. Na łące spośród drewnianych marchewek szczerzy się dożynkowy królik, zrobiony ze słomy wielki chochoł o siekaczach, których nie powstydziłaby się kapibara, i mimowolnie wzbudzający radość. Spadziste dachy wiejskich domów próbują naśladować góry i tak wtapiają się w otoczenie. Przez chwilę z ulicy słyszę szum rzeki zmieszany z szelestem liści, ale zaraz szlak odbija od wsi, wchodzi w iglasty las i pośród krzewów malin ostro wspina się na porośnięte świerczyną zbocze. Przypadek sprawia więc, że zaliczam kolejny szczyt Korony Gór Polski. Pierwszą górą, na którą żwawo dzisiaj wskakuję, jest mierzący 724 m nad poziomem morza skalisty szczyt Zadziernej, tuż za Bukówką.

Widok stamtąd wprawia mnie w uniesienie: przy pięknej pogodzie oprócz położonego poniżej i srebrzącego się w słońcu zalewu na Bobrze dokładnie widać Śnieżkę. Właściwie to już wczoraj byłem w stanie rozróżnić na jej wierzchołku poszczególne budowle: czeską pocztę, Kaplicę św. Wawrzyńca oraz dyski. Podbudowało mnie to po ciężkim marszu. (…)

Jakieś 200 m pode mną znajduje się wieś Paprotki (Städtisch Hartau) albo raczej to, co z niej zostało po zamknięciu zbiornika retencyjnego tamą na Bobrze w latach 70. i 80. XX w. Przed wojną wioska liczyła 140 mieszkańców, dziś ma 93. Znów stare chaty się walą, a obok wyrastają nowe, katalogowe domy. Zaletą nowych jest spójność, bo te dawne mieszkańcy, jeśli jeszcze żyją, posklejali i podparli budulcem, jaki wywalczyli i uzbierali po wojnie, aby osłonić mieszkające w nich od prawieków duchy.

Szlak oczywiście zamiast prowadzić naprzód, meandruje między gospodarstwami, koło kempingu i kapliczki, a potem, już za Paprotkami, biegnie szosą do odizolowanej osady w granicach Starej Białki (Alt Weissbach). Od drogi odbija w miejscu, gdzie łatwo się zgubić – w bezdroże na styku lasu i łąki, pośród wysokich, porastających podnóże Chełmczyka traw.

W górę i w dół, jeszcze raz, na kolejne niewysokie szczyty Świerczyny i Rudzianki. Słońce prawie w zenicie, piecze, coraz bardziej narasta skwar. (…) Na wschód wychodzą przecinki, gdzie oprócz najwyższych młodych choinek, średnich brzóz i najniższych jarzębin wystaje z zieleni Dolina Bobru i pofałdowane pola Kotliny Kamiennogórskiej, a dalej szczyty Trójgarbu i Chełmca, już koło Wałbrzycha. Miast nie widać, kryją się za wzgórzami (…).

Kilka tygodni później dowiem się, że mój wrocławski kolega, który ruszył na GSS (Główny Szlak Sudecki) po mnie, idąc z zachodu na wschód, ze Świeradowa-Zdroju do Prudnika, piątego dnia marszu, po ok. 120 km, właśnie gdzieś tu padnie z przegrzania pomimo dobrego przygotowania i dużo większego ode mnie doświadczenia na szlakach długodystansowych. Andrzej, podobnie jak ja, robił codzienną relację w mediach społecznościowych.

(…) Na skraju wyczerpania znalazłem się w Długopolu-Zdroju po zejściu ze Śnieżnika, gdzie prawie się poddałem z odwodnienia przy Skalnych Grzybach, lecz tego dnia szedłem w cieniu drzew, a dodatkową wodę podarował mi napotkany mężczyzna. Od tamtej pory największy kłopot sprawia odklejająca się podeszwa. Ale zrozumiałem, że w tych górach zabija nie tylko krajobraz.

Rytm kroków mącą nagle inne dźwięki. Jeszcze wśród drzew na skraju wzgórza Łysunia dochodzą mnie tarcie, stukot i wyraźne przekleństwa. Gdy wychodzę na otwarty teren, dostrzegam park i zabudowania pałacowe w Szarocinie (Pfaffendorf) oraz rozłożone przy starym budynku naprzeciw bramy do pałacu wysokie rusztowanie. Obok kręci się kilku robotników, czyszczą cegły fasady i kamienie podmurówki, uzupełniają cementem spoiny. Polecenia wydaje stojący pod wejściem mężczyzna, mocno zgrzany i spocony, ale pomimo wyraźnego zmęczenia dostojny.

Nasze głosy walczą z nierównym brzękiem młotków i drapaniem kielni.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e6ffbd3fc1

– Wspaniale, że ratujecie to cudo!

– To stary browar. Chce pan zobaczyć wewnątrz?

– Pewnie! Niech pan prowadzi!

Ściany tłumią hałasy dochodzące z dworu, a z remontowego zamętu w wielkiej sali wyłania się scena i audytorium dla gości. Okna dają wystarczająco światła, by w dzień było widno, a wieczorem – klimatycznie. Jeszcze wiele pozostaje do zrobienia, ściany są mokre od tynku, czuć wilgoć i cięte drewno, stolarka niegotowa, ale wnętrze – pomimo zmiany funkcji – odzyskuje charakter.

– Trochę się użeram z konserwatorem zabytków, bo czepialski jest i to materiał nie taki, to kształt niewłaściwy, a to inaczej coś wygląda niż za Niemca. Jakby beze mnie miał za mało pracy! Ale, jak pan widzi, robota idzie naprzód. Pod koniec września robimy festiwal jazzowy. Zapraszam!

– To już za niecałe dwa miesiące! Zdążycie?

– Powinniśmy, jeśli urzędy nas nie zatrzymają. Proszę zapamiętać: Szarocin, 23 września! (…)

Wiejska uliczka prowadzi mnie leniwie do skrzyżowania, do mostu nad potokiem Świdnik, a dalej do drogi wojewódzkiej łączącej Jelenią Górę, Kowary, Kamienną Górę i Wałbrzych. Tam przystaję pod sklepem z parą piechurów ze Śląska i wędrującą z nimi na przyczepkę dziewczyną. Informują mnie, że dalej ciężko o prowiant i picie. To ostatnia możliwość uzupełnienia zapasów przy szlaku aż do Mysłakowic, czyli do końca mojego dzisiejszego odcinka.

Opieram plecak o murek smutnego, odrapanego pawilonu, postawionego tu pewnie z okazji XXX-lecia PRL, o oknach oklejonych całkiem współczesną folią reklamową z kiełbasą, sałatą i chlebem, zwieńczonego falą z tworzywa sztucznego w kolorze rozwodnionej benzyny, a po rewolucji zmienionego z gieesu przy gieesesie na franczyzę Lewiatana. (…) Dziewczyna jest wyczerpana, płacze ze zmęczenia, nie chce już dalej iść. To jej czwarty albo piąty dzień marszu od wyjazdu z Wrocławia. Nad wielkimi butami widać opuchliznę, brud, siniaki i zadrapania. Nogi odmawiają posłuszeństwa, pot cieknie z niej strugami. (…)

– Chcę przejść cały szlak sudecki w czasie krótkiego urlopu. To takie moje małe marzenie – chlipie.

– Naprawdę rozumiem! Tymczasem relaksuj się, ile wlezie! Chyba po to są wakacje. No i od tych widoków chyba też. – Wskazuję na góry. – Może oglądałaś „Dziką drogę"? Albo czytałaś książkę, na podstawie której nakręcono później film? Jej bohaterka traci buty i z plecakiem większym od siebie przemierza kawał gór zachodniej Ameryki. (…)

– Łatwo ci mówić, jesteś prawie na końcu. Ja nie wiem, czy dam radę – rzuca łamiącym się głosem na pożegnanie. (…)

Celem jest sama droga, rodząca się opowieść, a nie jej finał.

Przechodzę ślad, którym kiedyś wiodła odnoga Śląskiej Kolei Górskiej. W Szarocinie była niewielka stacja, zniknęła wcześniej niż tory, a później niż trakcja elektryczna. Jako dziecko jechałem tędy pociągiem, wracając z letniego obozu we wschodnich Niemczech, składem zaprzęgniętym w kopcący parowóz, najprawdopodobniej w ostatnim roku funkcjonowania linii. Z podróży pamiętam tylko gryzący dym, ciągłe postoje i ślimacze tempo. Potem kolejarze rozebrali szyny, podobno na czas remontu, który nie skończył się do dziś.

Dawny tor wyznacza teraz granicę Rudawskiego Parku Krajobrazowego. Pnę się ostro w górę na szczyt Liściastej, wbrew nazwie porośniętej świerczyną. Las na górze choruje. Zieleń ogarnia rdza, ścieżkę oraz poszycie bombardują szyszki i suche igliwie. (…) W czasie zejścia wpadam na samotnego wędrowca. Na twarzy młodego chłopaka wyraźnie maluje się zaniepokojenie.

– Nie widziałeś może dwóch dziewczyn z plecakami? To moje kuzynki. Idziemy razem po GSS i mamy się odnaleźć w Szarocinie. Gdyby były za mną, powiedz, żeby się trochę pośpieszyły. Szliśmy razem, ale się odłączyły. I od tamtej pory nie wiem, gdzie się podziały. Mamy spać w Paprotkach.

– No tak, stanica.

– No, domki nad zalewem. Może nawet na parę dni.

– Jak się na nie natknę, przekażę, że się spotkaliśmy. (…)

Spokojnym marszem docieram do Rozdroża pod Bobrzakiem, przy którym krzyżuje się kilka szlaków i pojawia się więcej ludzi, najprawdopodobniej dlatego, że po obu stronach drogi leżą wsie Czarnów (Rothenzechau) i Leszczyniec (Haselbach), gdzie letnicy mogą liczyć na nocleg. Turystów, oprócz przyrody, przyciągają tajemnicze dawne sztolnie, legendy, pamiątki po średniowiecznych Walończykach oraz innych poszukiwaczach skarbów.

Walończycy wbrew nazwie nie pochodzili z Walonii, przybywali raczej z Włoch i innych krajów południa. W Sudetach szukali złóż i minerałów, interesujące ich miejsca oznaczali tajemniczymi znakami, potem opisywali je w enigmatycznych notatkach. A że pośród miejscowych nikt ich nie rozumiał, wyrosła wokół przybyszy pełna niedopowiedzeń legenda. I teraz jej śladami podążają współcześni łowcy tajemnic.

Skrajem Bobrzaka docieram do następnej przełęczy, z której rozpoczynam kulminacyjną wspinaczkę. Droga pnie się w górę po coraz większych kamieniach, między poskręcanymi korzeniami, przez zwietrzeliny i blokujące przejście granitowe głazy. Roślinność pomału rzednie, aż ukazują mi się Konie Apokalipsy, zwiastun nie tyle nieszczęść, ile tego, że już blisko szczytu.

200 m pode mną jest wieś Paprotki albo to, co z niej zostało. Stare chaty się walą, a obok wyrastają katalogowe domy.



Fragmenty książki Michała Zabłockiego *Znikająca kraina. Wędrówka przez góry Śląska*, Wydawnictwo Sploty, Gliwice 2026

eprasa.pl e6ffbd3fc1



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Paszport zbrojny

Lata całe paszportu nie miałem. Stary się unieważnił i zagubił gdzieś przy przeprowadzkach, nowego nie potrzebowałem, bo nie wyjeżdżałem poza Unię Europejską, zarazem jednak zaciekle podróżując w jej obrębie. Lubię bowiem baczyć na okoliczności najbliższe, transatlantyckie podróże mnie nie interesują, co najmniej od kiedy przed ćwierćwieczem spędziłem miesiąc w Andach – wiem, że weltschmerz jest na drugiej półkuli dokładnie taki sam, dogania człowieka, choćby ten się wyprawiał z prędkością ponaddźwiękową na krańce świata.

Z Andów pamiętam rozczarowanie nadmiarem; wcześniej Alpy miałem za bezkresne morze gór, ale dopiero pod Aconcaguą poczułem ten odpychający bezmiar, w którym wszystko jest za duże, za wysokie na europejskie przyzwyczajenia; nie umiałem tak zadzierać karku, nie mieściły mi się te góry w kadrze ani w głowie. Na domiar złego niewiele było w nich życia, nie licząc trucheł padłych mułów, obżeranych do szkieletów przez kondory – wszystko suche, kruche, prawie żadnej roślinności, tylko skały i żwirowe pustkowia, miałem nieodparte skojarzenie z krajobrazem marsjańskim, znanym ze zdjęć przesłanych przez łazik. Po drodze pyliste ścieżki i silny wiatr, na szczęście błyskawicznie suszący przepocone koszulki, gdzieniegdzie mchy kolczaste, suche jak wiór, wyżej już nic poza żwirem i pyłem. Dołowały mnie brudne penitenty, przygnębiał łoskot wielkich wodospadów walących z topniejących lodowców, przerażał hałas lawin kamiennych odrywających się od lodu, przytłaczały wyschnięte korytarze i niekończące się piarżyska, wyglądające jak hałdy w gigantycznym kamieniołomie.

Życie odnalazłem dopiero na 4500 m, w bazie pod ścianą królowej Andów, ale niezupełnie takiego życia mi brakowało: w namiocie barowym napotkałem pełno rozwrzeszczanych, pijanych Polaków z wypraw komercyjnych – ci, którzy dopiero co zeszli ze szczytu, bratali się z tymi, którzy tyle co wdrapali się do obozowiska. Tęskniłem diablo za moją trzyletnią podówczas córeczką, która obchodziła akurat urodziny. W Refugio Plaza de Mulas stoją bodaj najwyżej na świecie położone budki telefoniczne, dzięki którym mogłem osobiście złożyć życzenia Zośce i usłyszeć: „Dobra, tatusiu, no to teraz przyjdź tu do mnie". To mnie już całkiem rozkleiło, do dzisiaj mam wyrzuty sumienia – dupa ze mnie, nie andynista, na termin eskapady wpływu nie miałem, a ten głosik rozczarowanego dziecka słyszę do dzisiaj. Teraz córka jest dostojną edynburską prawniczką, odwiedzałem ją częściej w czasach przedbrexitowych, ale po wyjściu Wielkiej Brytanii z Unii to ona odwiedza mnie regularnie.

Nadarzyła się okazja do odwiedzin, bo przyjaciel – fan whisky – jedzie na Islay kamperem, nieco tylko drogi trzeba będzie nadłożyć. Niestety, paszport konieczny, wiza, ceregiele, opłaty – Unia się skurczyła, a może się skurczyć jeszcze bardziej przez bęcwałów oddających głos na konfederatów i pisiorów; ach, ci to zamiast głosu dla ojczyzny mogliby oddać za nią życie.

Owóż, mam ten paszport i mnie trwoga zdejmuje, bo on wygląda jak książeczka wojskowa: legioniści, Orlęta Lwowskie, powstańcy śląscy, Bitwa Warszawska, Virtuti Militari, Grób Nieznanego Żołnierza. Jest to paszport z czasów kaczystowskich, edycja jubileuszowa, na 100-lecie niepodległości, zatem każdą stronę uczczono wizerunkami postaci zasłużonych dla II RP, która tyle co powstała na gruzach jednej wojny, a już przez kolejną zgruzowana została. Myślę sobie: jezusmaria, przecież ja jeszcze jestem w wieku poborowym! W wojsku nigdy nie byłem, miałem ataki paniki, zanim to było modne, domownicy zalecali modlitwy, psychiatra przepisywał relanium; załatwiłem sobie kategorię D – niezdolny do służby w czasie pokoju. Zaiste, w ówczesnym stanie umysłowym i emocjonalnym wzięty w kamasze mógłbym rychło skończyć jak rekrut Leonard w „Full Metal Jacket", popełniając zdecydowanie rozszerzone samobójstwo w koszarach.

W umyśle młodzieńca mającego szczęście dorastać w błogich czasach końca historii kategoria D brzmiała jak dozgonne zwolnienie z woja. Tymczasem wojnę mamy u bram, w razie powszechnej mobilizacji powołanie otrzymają wszyscy mężczyźni przed sześćdziesiątką – ja z takim powołaniem wolałbym się minąć. Nie wiem, jakim cudem niezdolność do pełnienia służby wojskowej w warunkach pokojowych miałaby automatycznie się przerodzić w zdolność do jej pełnienia w warunkach wojennych, ale tak stoi w regulaminie. Taki Szwejk jak ja ojczyzny nie obroni, choćby nie wiem jak się zaparł, no ale cóż, prawdopodobieństwo, że do 60. urodzin dociągnę bez doczekania karty mobilizacyjnej, maleje z każdym dniem, z każdym ruskim dronem czy śmigłowcem zabłąkanym na polskim niebie.

Wicepremier Sikorski, którego inteligentnie złośliwy język dyplomatyczny uwielbiam, brzmiał w ONZ już niestety trochę jak Józef Beck w Sejmie w maju '39 – odgrażamy się potworowi, ufni w zadekretowaną lojalność sojuszników. Potwór zapewnia, że jeśli się postara, Polska przestanie istnieć w kilkadziesiąt godzin. Ktoś już zdejmuje ze ściany strzelbę Czechowa. Mnie zdejmuje trwoga. ■

eprasa.pl e6ffbd3fc1





GRAND PRESS PHOTO 2026

Jacenty Dędek, freelancer, „Credo”, II miejsce w kategorii Documentary Project

„Przez sylwetki ludzkie, przez osobiste historie wplecione w historię miasta chciałem stworzyć wielowymiarową historię o tożsamości, tej indywidualnej, ale i szerszej, wynikającej z poczucia przynależności i wspólnoty losów. To osobista podróż do symboli, do obszarów oswojonych – ulicy, dzielnicy, przedmieść, centrum, ludzi bliskich i nieznajomych, z którymi połączyło mnie wspólne miejsce życia”, tłumaczy autor cyklu, pochodzący z Częstochowy dokumentalista i fotoreporter.



eprasa.pl e6ffbd3fc1



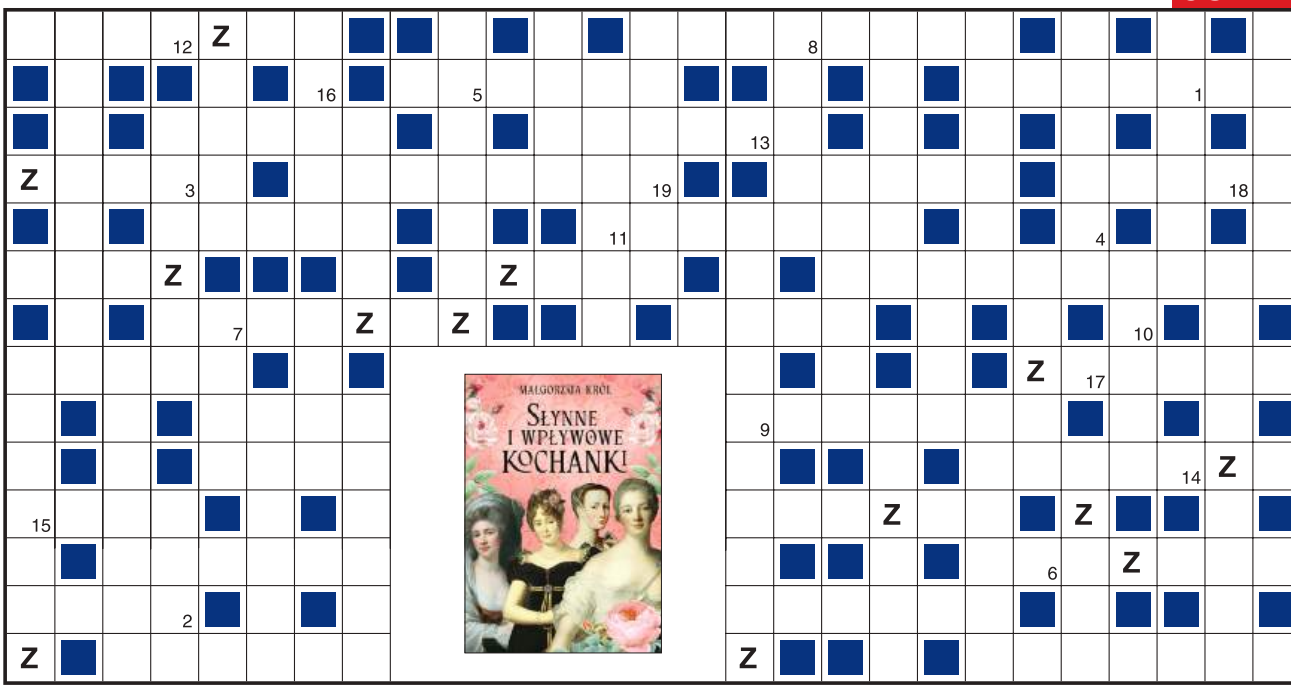






eprasa.pl e6ffbd3fc1

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- Edward, autor „Zagadnień socjalizmu”
- gdy kwitną, czas na wakacje
- zagrały z Mecwaldowskim i Popławską w reklamie banku
- wpada w niego furiat
- góry wzdłuż włoskiego buta
- kaszlu, śmiechu lub na wroga
- czerwony z uszkami
- zrzesza szewców lub kuśnierzy
- imię żony Mickiewicza
- przeciwieństwo żołnierza
- …mary, abrakadabra
- rdzawobrunatny ptak o terkoczącym głosie
- …św. Teresy – rzeźba Berniniego
- motyl z kreskówek o Makowej Panience
- tajny wysłannik polityczny
- otrzymywany ze spilśnionych włókien
- kuliste narośle na liściach dębu
- malarz Henryk, członek Formistów, Zwornika
- Artur, autor cykli „Polonia”, „Lithuania”
- montażowa w fabryce
- złudzenie, ułuda, fikcja
- przymiotnikowy czynny lub bierny
- duża, ozdobna pierwsza litera
- „Dwóch wilków jedno w lesie nadybali…”
- …Laskowice w aglomeracji wrocławskiej
- dokument tożsamości za okupacji hitlerowskiej
- mundurowa zieleń
- dodatkowa mała w dżinsach
- fałszywy ton, chybione uderzenie
- wielkie spółdzielcze gospodarstwo w ZSRR
- Rodzaju lub Wyjścia
- „…jednej nocy”, piosenka Alibabek
- dawna siedziba papieży w Rzymie
- pojedyncza, pierwsza albo pi
- dawna srebrna moneta francuska
- służący na dworze, w bogatym domu
- linia z odcinków
- stolica Mozambiku
- miasto słynące z porcelany
- „Moje serce to jest...” Ewy Bem
- ciągnie wilka do lasu
- miasto kojarzące się z camorrą
- zieleń na mapie
- kształt twarzy
- ten od smerfa Zgrywusa wybucha
- Dancewicz lub Przemyk
- …pruskie rozpoczęte w 1885 r.
- Śliczna Panienka nim Jezusa okryła
- Falkor z „Niekończącej się opowieści”
- przyrostek inaczej
- mowa do ucha
- komplet kart do gry
- …Telewizji w poniedziałki w TVP 1
- grekokatolik inaczej
- na dawnej planszy: „Przepraszamy za …techniczne”
- oficjalny pieniądz w danym kraju
- ramiączko w szafie
- otwór wejściowy do kanału, czołgu
- żłobek na pióro
- „…koszmarów” Guillerma del Toro
- bóg wiatru zachodniego
- powieść Zegadłowicza

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1293”. Do rozlosowania książki „Słynne i wpływowe kochanki” ufundowane przez Oficynę Wydawniczą Rytm. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 4 października 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1290” z nr. 37: *Serce i potok nikogo nie słucha*. Nagrody otrzymują: Tadeusz Dolik z Nosalina, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Jolanta Nowak z Bełchatowa.

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Gorąca krew

Radosław Sikorski pełni funkcję ministra spraw zagranicznych prawie 10 lat. I można spokojnie stawiać tezę, że im dłużej nim jest, tym mniej dyplomatyczny się staje. I jeżeli kiedyś mówił różne rzeczy przy winku w chambre séparée, o robieniu „łaski" itp., to teraz żąda szerokiej publiczności.

Są dwie teorie tłumaczące tę przypadłość. Pierwsza – że wychodzą Sikorskiemu na wierzch przywary młodości, bo czym skorupka za młodu… Więc nad tym, co mówi, nie za bardzo panuje. Druga – że robi to absolutnie świadomie, szukając zaczepek i awantur, bo uważa, że to mu pomaga. Że buduje w ten sposób swoją pozycję polityczną (w kraju, bo nie w szerokim świecie) jako tego twardziela, co się Rosjanom nie kłania. Dowodem na słuszność tej tezy mają być sondaże popularności polityków, regularnie w Polsce przeprowadzane. Okazuje się bowiem, że im mocniej Radosław Sikorski Rosjan strofuje, tym bardziej rośnie jego popularność. Znaczy się – Polacy lubią wyrazistych polityków.

Ale czy lubi ich dyplomacja? Tak rozmawiali sobie przy herbacie trzej emerytowani dyplomaci, kiwając z troską głowami.

Bo jaki ma sens wdawanie się w pyskówki z Marią Zacharową, rzeczniczką MID, czy z rzecznikiem prezydenta Dmitrijem Pieskowem? Przecież z nimi rozmawiać powinien Maciej Wewiór, rzecznik MSZ, ewentualnie Adam Szłapka, rzecznik rządu, to jest ten poziom. A nie wicepremier i minister rządu RP.

Poza tym jak to wygląda… Oto mówi Zacharowa, że Sikorski cierpi na „rusofobię umysłu". Cóż, sympatyczne to nie jest, raczej mocno banalne, więc czy trzeba odpowiadać na odlew? „Nie wiem, czy pani Zacharowa była trzeźwa wtedy, gdy to mówiła", ripostuje szef MSZ. Taka to mało europejska wymiana ciosów.

Przy okazji Sikorski pochwalił się, że na rosyjski najazd jest przygotowany, bo ma w domu zapasy ryżu, ręczną pompę do wody i konfitury, zrobione z owoców z własnego ogrodu. Ryż z konfiturami… I da sobie radę.

Przykładów werbalnych zmagań Radosława Sikorskiego z urzędnikami Federacji Rosyjskiej jest więcej. Raz straszy nas inwazją, innym razem mówi, że Europa Rosję pokona jedną ręką. To wszystko jest rozedrgane i nie sprawia wrażenia przemyślanych działań. Bo jaki cel temu przyświeca? Polityka, dyplomacja nie polega przecież na wymyślaniu sobie, na egzaltowanych okrzykach. To spokojne działania, obliczone na lata. Może więc te awanturki przynoszą Sikorskiemu poklask wśród (niektórych) wyborców. Ale to nie jest dyplomacja.

W tych rozgrywkach zimną krew, przynajmniej na razie, bardziej zachowuje Donald Tusk. Och, jak lamentują urzędnicy z Kancelarii Prezydenta, że dogadali się już w sprawie podpisów na nominacjach ambasadorskich z Sikorskim, a tu przyszedł Tusk i powiedział „nie". Wyjaśnijmy, skąd ta niezgoda. Nawrocki chciałby odwołania Bogdana Klicha z Waszyngtonu, chciałby tam mieć swojego ambasadora, więc i całą ambasadę. Czyli wyjąć z polskiej polityki kontakty z USA. Nie dziwmy się zatem, że premier powiedział „nie". Raczej należy się dziwić, że ktoś o takiej ewentualności dyskutował.

Attaché



Prezydent Chin Xi Jinping odbył trzydniową wizytę w Stanach Zjednoczonych. Nz. z Donaldem Trumpem na uroczystej kolacji w Białym Domu. Waszyngton, 24 września 2026 r.

FOT. EVELYN HOCKSTEIN/REUTERS/FORUM

eprasa.pl e6ffbd3fc1









PENETRACJE

RZECZPOSPOLITA

MAREK POL,
WICEPREMIER (2001-2004)

Od 2004 r. wybudowaliśmy najwięcej dróg ekspresowych i autostrad w całej Unii Europejskiej. Z zazdrością patrzą na to nasi sąsiedzi oraz kierowcy z dużo bogatszych od nas krajów. (…) Powód jest prosty i wynika z decyzji podjętej wiele lat temu, a dokładnie w 2003 r. Ówczesnej ekipie kierującej Ministerstwem Infrastruktury udało się przeforsować decyzję o stworzeniu poza budżetem państwa specjalnego funduszu na budowę i modernizację dróg oraz zapewnić mu stałe, potężne źródło zasilania w postaci tzw. opłaty paliwowej, uzupełnionej o skierowane do tego funduszu pieniądze z winiet od ciężarówek. Na głowę autora pomysłu, czyli moją, przez lata sypały się gromy ze wszystkich stron. Cóż zrobić?

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY KRAKÓW I ŚWIAT

ANDRZEJ SIKOROWSKI,
ŚPIEWAJĄCY POETA

Piosenka ma ogromny zasięg, znacznie większy niż książka czy inne produkcje artystyczne. Za pomocą dobrze napisanej piosenki można w 3-4 minuty poruszyć i zgłębić temat, na który pisarze potrzebują kilkuset stron. Ja śpiewam o codzienności, o kondycji faceta mieszkającego w konkretnym mieście, określonych warunkach geograficznych, politycznych i będącego przeciętnym zjadaczem chleba. Nie próbuję rozwiązywać tajemnic bytu ani nie poruszam zagadnień filozoficznych, bo na tym się nie znam. Dość dobrze natomiast znam się na ulicy, na otoczeniu, swoim mieście, sprawach rodziny. Te piosenki są bliskie ludziom, bo lubią słuchać piosenek o sobie.

PANI

MACIEJ MAKSELON,
POLONISTA

Do czego potrzebne nam są wulgaryzmy?

– Oj, one mają bardzo dużo funkcji. Przede wszystkim pozwalają nam wyrażać emocje. I to intensywniej niż cokolwiek innego. Jeżeli powiem, że muzyka napier***a, to znaczy coś innego niż że muzyka jest strasznie głośna. Wulgaryzm podkreśla mój emocjonalny stosunek do tejże muzyki. Jak komuś powiem, że ma spier****ć, znaczy to coś innego, niż żeby się oddalił. (…) W eksperymencie Richarda Stevensa badani mieli jak najdłużej trzymać rękę w lodowatej wodzie, co oczywiście łączy się z bólem. I osoby, które mogły wyrażać się wulgarnie w trakcie trwania tego eksperymentu, wytrzymywały kilkadziesiąt sekund dłużej. Przekleństwa pozwalały im pozbywać się napięcia związanego z bólem. Dlaczego? Bo przełamują tabu. Przekleństwo jest wykroczeniem poza to, co dopuszczalne.

naszczycie

BEATA SABAŁA-ZIELIŃSKA,
DZIENNIKARKA

Dla osoby z zewnątrz rozmowa z ratownikami TOPR może być trudna. Ja uczyłam się tego środowiska przez 12 lat pracy w radiu. Na początku sama słyszałam, że wielu rzeczy nie wiem. Ratownicy zdecydowanie chętniej współpracują z lokalnymi dziennikarzami, którzy znają realia gór i wiedzą o co pytać, niż z osobami dzwoniącymi z drugiego końca Polski bez podstawowej wiedzy. To bywa dla nich frustrujące, bo nie chcą za każdym razem tłumaczyć wszystkiego od początku. Przy pracy nad książką podeszli jednak do rozmów bardzo poważnie i tłumaczyli wszystko od podstaw. (…) To środowisko nie otwiera się łatwo, ale nie wynika to z arogancji, lecz ze skromności. Między ratownikiem a ratowanym tworzy się szczególna więź, a wiele emocji trudno ubrać w słowa.

FOT. BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW, SEKCJA GIMNASTYCZNA (2)

eprasa.pl e6ffbd3fc1

ZMIKSOWANE LITERY

Ułóż litery w każdym rzędzie, dodając jedną z podanych obok, tak by otrzymać wyrazy odpowiadające objaśnieniom.

* czasem jest wąska i kręta	A	I	K	L	U	Z	
* ma czarne i białe klawisze	A	I	N	N	O	P	
* nie brzęczy w kieszeni	A	K	N	N	O	T	
* daje oparcie przy stole	E	K	Ł	O	R	S	

Z I B C

ROZWIĄZANIA: ULICZKA, PIANINO, BANKNOT, KRZESŁO



Aby język giętki…

ANDRZEJ MLECZKO
O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI

Kiedyś używałem, ale już mi przeszło, bo sztuczna inteligencja nie dorosła do mnie.

PROF. ANDRZEJ FRISZKE
O KAROLU NAWROCKIM

Czeka nas konfrontacja między coraz starszym, coraz mniej sprawnym Jarosławem Kaczyńskim a prezydentem, który jest politykiem skrajnej prawicy.

PROF. PIOTR KULAS O ZAUFANIU

Ludzie stracili zaufanie do elit i ekspertów. System już się chwieje.

MANUELA GRETKOWSKA
O FELIETONACH

Zamawiano je u mnie w sieci i czasopismach, kiedy potrzebowano czegoś pod prąd. Przychodził nowy właściciel i mnie wyrzucał, woląc ładne, grzeczne teksty.

PAWEŁ DEMIRSKI O WOKULSKIM

Jest w nim coś z księdza i handlarza. Obyczajowo on jest święty. To człowiek, który dławi pożądanie.

ELŻBIETA JODŁOWSKA
O „KLIMAKTERIUM"

Chciałam przekazać kobietom, że istnieje życie po pięćdziesiątce, ale że jest ono strasznie krótkie, szybko leci i trzeba cieszyć się małymi sprawami.

ANITA LIPNICKA
O CÓRCE POLI PORTER

Obie mamy takie rozedrgane słowiańskie dusze. Nienawidzimy dokonywania wyborów, podejmowania decyzji.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Dział promocji:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl e6ffbd3fc1

Nieustające wakacje

Rafał Eret



Złota godzina



Labirynt 14



Jelenie na kąpielisku

„Nieustające wakacje” to malarski powrót do letnich wieczorów i nocy – chwil, w których rzeczywistość zwalnia, a codzienność ustępuje miejsca wyobraźni. Rafał Eret – rocznik 1970, absolwent Gerrit Rietveld Academie w Amsterdamie, mieszkający i pracujący w Lubartowie – czerpie z atmosfery wakacyjnego czasu, nasycając obrazy światłem, kolorem i wspomnieniem. Poprzez malarskie kadry i nastrojowe sceny przywołuje emocje związane z latem – jego intensywnością i swobodą.

Galeria Sztuki Wirydarz – Piotr Zieliński
Lublin, ul. Grodzka 19
do 30 listopada



Nieustające wakacje

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e6ffbd3fc1



eprasa.pl e6ffbd3fc1



eprasa.pl e6ffbd3fc1